

Marianne de Pierres

Pasożyt

Parrish Plessis tom I

Przełożył Dariusz Kopociński



2010

Pasożyt

tyt. oryg. *Nylon Angel*

ISBN 83-89951-42-8

Wydanie I

Agencja „Solaris”

Małgorzata Piasecka

ul. Warszawska 25 A, 11-034 Stawiguda

tel./fax: 089 541-31-17

e-mail: agencja@solaris.net.pl

Sprzedaż wysyłkowa:

www.solaris.net.pl

**CZEŚĆ
PIERWSZA**

ROZDZIAŁ 1

Zabiję Jamona Monda, jeśli mnie jeszcze raz dotknie. No, potem to mnie pogonią. Jego mściwe dingochłopy gdzieś mnie w końcu dorwą, w nagrodę dostaną moją krew do wyżłopania. Gadziny!

A więc co tu robić? Po drugiej stronie pokoju z odrapanymi ścianami stała moja półprzezroczysta replika: Meny 3. Popatrzyłam na nią z nadzieją na odpowiedź. Niestety, gaduła to ona nie była. Potrafiła tylko z bałamutnym uśmiechem informować, kto dzwonił i co tam z rachunków mam do zapłacenia. Zero pomocy z jej strony!

Bo widzicie, ja i Merry 3 siedziałyśmy po same wykolczykowane uszy w gównie.

Trzy lata z hakiem pracuję w Trójce, niedaleko Torleya. Najczęściej robię za bodyguarda. Pilnuję swojego miejsca na tej zatrutej ziemi, jadę na stymulantach i tanich substytutach proteinowych, haruję na kredyty lub towar.

I tak żyje mi się sto razy lepiej niż w domu, w którym dowodził obleśny ojczym do spółki z matką uzależnioną od romansideł. (Neuroendokrynologiczne symulacje były ostatnim krzykiem mody na przedmieściach). Kiedy moja siostra Kat wyprowadziła się, żeby grać w probasketa, „tатko” zaczął się do mnie dostawiać. Wolałam się wynieść z chaty, niż go zabić i złamać serce mamie.

Trójka wydawała się stworzona dla mnie, supermiasto nie miało tam wpływów. Była archaiczną ostoją zezwierzęconej ludzkości, gdzie podobno można przeżyć na swoich własnych zasadach.

Zaaklimatyzowałam się. Nie wszystkie kobiety mojej postury – niemałej, nawiasem mówiąc – potrafią tak zawodowo wprawiać w ruch pięści i nogi. Jeśli chciałam, umiałam grać wredną, zaborczą babę. Dawałam sobie radę w życiu, choć miałam zamkniętą drogę na okładki kolorowych czasopism, a to ze względu na krzywo zrosnięty nos i wgniecioną kość policzkową (pamiątka po ojczymie Kevinie). Pewnie mogłabym się doprowadzić do porządku, ale dobrze jest pamiętać przeszłość, od której się ucieka.

No więc nieźle mi szło... póki nie przypałał się Jamon Mondo. Czy raczej nie zauważył mnie, bo on tu przecież był od zawsze. To ja się zjawiałam nie wiadomo skąd.

Kiedy mnie zatrudnił, Doll Feast powiedziała, że trafiła mi się żyła złota. „Parrish Plessis ochrania gwiazdy największego formatu”. Prędzej już książęta ciemności! Tak czy owak, uwierzyłam jej, w czym pomogła mi reakcja pańienek na Torleyu. Nie miałam więc zahamowań. Wszystko, byle skończyć z proteinowymi substytutami i drętymi gogusiami w białych kołnierzykach, którzy chcieliby sobie pohulać na boku.

Już pierwszego dnia pracy u Jamona przejrzałam na oczy. Myślałam, że mnie zapoznają z listą obowiązków. Powiedzą, jak i przed kim mam go chronić. Zamiast tego wieczorem zabrał mnie do koszar na powitalne przyjęcie.

Dingochłopy sapaty i wyły tak, jakby wszystkie księżycy Jowisza ustawiły się w jednej linii; w każdym przypadku bujne dredy, tłusta skóra i wyszczerzone zębiska.

„Rozebrać ją!” – rozkazał Jamon.

Pięciu musiało mnie trzymać.

Gapiałam się na niego jak bezradne, nieszczęsne zwierzę przed wjazdem do ubojni. Ze strachu tak bardzo ścisnęło mnie w dołku, że jęknęłam. Takie zachowanie nie przynosiło mi chluby, ale cóż, to nie była uroczystość wręczenia dyplomów...

Później chciałam mu nawiać, lecz kazał mnie znaleźć i obić. Kto raz wszedł w układ z Jamonem, nie wychodził z niego nigdy. Chyba że nogami do przodu. Czemu nikt mnie nie ostrzegł?

– Parrish!!!

Nie od razu oderwałam się od rozmyślań nad swoim nowym życiem. Sprawdziłam drzwi i automatycznie zerknęłam na ekran komu.

Przyszła Mei Sheong; pukle jej absurdalnie różowych włosów oplatały głowę na podobieństwo korkociągu. Utrzymanie fryzury kosztowało ją tygodniówkę. Podsunęłam jej pomysł z przeszczepem, a nawet genetyczną modyfikacją, ale zasłania się złą karmą. Nie będę się spierać z chińską szamanką.

Mrugnęła okiem z loczkiem w ustach.

– Coś słyszałam, wiesz?

Rozbudziła moją ciekawość.

– Ile chcesz?

Chwilę jeszcze miętoszyła loczek, nim odpowiedziała:

– W zamian biorę twój pokój, kiedy umrzesz.

Westchnęłam.

– Tak bardzo go lubisz?

– Owszem. W każdym razie muszę myśleć przyszłościowo. Inaczej nici z usamodzielnienia się.

Ach tak, usamodzielnienie. Matka wszystkich mrzonek. Świadomość tego nie

powstrzymywała mnie jednak od dążenia do wolności, od szukania jej, od łudzenia się nadzieją, że kiedyś będę panią swego losu.

– Dobra, Mei, ale jeszcze nie planuję umierać. I wolę, żebyś mi w tym nie pomagała. Jeśli nie chcesz wejść w bliższą komitywę ze swoimi duchami.

Otworzyła szeroko oczy, zaskoczona.

– Grozisz chińskiej szamance?

– A jak ci się zdaje?

– Zdaje mi się, że jesteś w paskudnym nastroju.

Przyglądałam się uważnie jej twarzy.

– Mów, Mei. Co ci się obilo o uszy?

Odsunęła się od ekranu i spojrzała przez ramię.

– Za dziesięć minut u Heina.

* * *

Jakiś neopunkowy tradycjonalista przerobił wnętrze lokalu na staroświecki bunkier z kratami pod napięciem i surowymi ścianami z betonu. Jedynym ustępstwem na rzecz wygody były krzesła dotykowe. W dodatku panował klimat demolki, jakby lokal ostrzelano i zbombardowano.

Mei siedziała przy barze na stołku dotykowym. Wbita w różową, fluoryzującą sukieneczkę, z czerwonymi szpilkami zawiniętymi wokół nóg stołka, mogłaby uchodzić za perwersyjną siostrę Disneyowskiego Dzwoneczka. Stołek wydawał z siebie rozkoszne pojękiwania, kiedy wierciła się w czasie flirtowania z Mikeyem, serwitorem barmana.

Mikey był jednym z maluchów Jamona Monda – obrzydliwym rezultatem nielegalnych eksperymentów biorobotycznych. Cały urok Trójki. Widząc bliską zażyłość Mikeya z moją najlepszą informatorką, trochę się zaniepokoiłam.

No dobrze, pocieszyłam się zaraz, dlatego właśnie Mei jest niezastąpiona. Nawet autystyczna koza wyznałaby jej swój sekret.

Usiadłam w krześle moro, odwrócona plecami do południowej ściany. Wiem, że trąci to paranoją, ale gdziekolwiek jest południowa ściana, zawsze staram się mieć ją za sobą.

Jakoś mi wtedy lepiej.

Krzesło zadrzało i zaczęło mi szeptem ubliżać w obcym języku. Powiedziałam mu, że jeśli się nie zamknie, jego chip wyląduje w muszli klozetowej.

Mei przez parę minut chichrała się z Mikeyem, po czym ulotniła się z baru. Co było częścią jej planu. Zniknąć. I wrócić później drugimi drzwiami. Niby dziecinada, a jednak działało. Najczęściej gdy o nią pytałam, ludzie mówili: akurat wyszła. Całe szczęście, że wstawieni bywalcy lokalu ledwie widzieli koniec stołu.

Rozglądając się, można było dostrzec kilka znajomych twarzy i kilka bardziej związanych z tym miejscem niż krzesła. Za barem dwóch dingochłopów czekało na zadymę. Nawet nie musiałam widzieć przepisowych dredów i wydłużonych siekaczy, wyczuwałam ich na odległość. Nie powiem, że mnie nie wkurzali.

Gdzie ta Mei?

Szukałam sposobu, żeby uwolnić się ze szponów Monda. Bo inaczej przybędą dwa trupy w Trójce. Jego i mój.

– Naprawdę, źle z tobą. – Mei zmaterializowała się koło mnie z włosami upchanymi pod różowym, włóczkowym beretem, dość zresztą przybrudzonym. Niektóre kosmyki wychodziły na twarz, lecz ziemistej cery i tak nie ożywiały.

– Z daleka widać, co? Powiesz mi coś na poprawę humoru?

Uśmiechnęła się chytrze.

– To jak będzie z pokojem?

Doprawdy, co ją tak wzięło na ten mój kawałek wynajmowanej przestrzeni do oddychania? Ale cóż, zapłata wydawała się niewygórowana... jeśli dostanę dobry cynk.

– Dobra, umowa stoi.

Przypieczętowaliśmy ją tak, jak się to tutaj robi. Kostkami palców. Skrzyżowanie dłoni mogło przynieść pecha: chorobę lub śmierć.

Mówiła szeptem, więc się pochyliłam.

– Razz Retribution nie żyje. Zamordowana na przelotówce.

– Razz Retribution? Dziennikarka OneWorldu? I co z tego?

– Gliny szukają motocyklisty i jego pasażera. Mówi się, że prowadził ktoś ze Wspólnoty Coomera, a z nim siedział frajer, który miał tylko odwracać uwagę. Ten frajer ukrywa się w Trójce. Jeśli go znajdziesz, nim to zrobią gliny, może cię naprowadzi na trop Wspólnoty. Kto wie, może pójdą na współpracę? Wtedy koniec z robotą dla pana Monda. – W blasku poplamionych świetlówek jej migdałowe oczy lśniły, jakby się wszystkiego domyślała.

Tak łatwo mnie przejrzeć? A może ona umie czytać w myślach?

Zamiast się bezsensownie przejmować, podeszłam do tego logicznie. Czy inaczej Mei zarabiałaby na życie zbieraniem informacji? Umiała się poznać na drugim człowieku. Zresztą, nie trzeba być geniuszem, by się kapnąć, że nie cierpię Jamona Monda.

Tak czy owak, powinnam się mieć na baczności. Bo jakby się Jamon dowiedział, co knuję...

– Komu to jeszcze sprzedawałeś?

Rozpogodziła się.

– Nikomu prócz ciebie, mała. Dla mnie liczy się przyjaźń.

Roześmiałam się: niezły żart.

– Kiedy to się stało? Masz zamiar na gościa?

– Babkę sprzątnięto dziś rano. Chodzą słuchy, że zrobił to drobny przestępca. Nowy na Torleyu. Szwenda się z takim drugim gościem, Dark mu na imię.

– Dark? W życiu nie spotkałam takiego imienia!

Wytrząsnęła spod beretu różowe pukle i wzruszyła ramionami.

– Pewnie kamuflaż. Dobra, mam parę spraw do załatwienia. Pamiętaj o umowie, Parrish.

– Dzwon, jeśli coś usłyszysz.

Uśmiechnęła się promiennie i wyszła.

Pewnie kamuflaż... Tego rodzaju słowa w ustach walniętej żółto-różowej chińskiej szamanki, do tego wypowiedziane w barze pełnym wyrzutek i degeneratów – doprawdy budziły śmiech. Ale też chodziły mi po głowie inne rzeczy, mniej wesołe. Jak na przykład pogłoska, która właśnie do mnie dotarła.

Bo widzicie, chciałam się dostać do Wspólnoty Coomera. Co ja plotę, jakie „chciałam”? Pragnęłam tego z całej duszy!

To właśnie Wspólnota Coomera rozdaje karty w Trójce – tajemnicza, samodzielna klika, która drwi sobie z prawa. Niektórzy twierdzą, że to potomkowie kadaiczków, policjantów z opierzonymi stopami z dawnych tubylczych szczepów, ale ja wkładałam to między bajki. Dla mnie liczyło się, że oni tam bronią jeden drugiego. Gdyby przyjęli mnie do Wspólnoty, Jamon Mondo mógłby mi naskoczyć.

Nie byłam znowu aż takim żółtodziobem. Przez kilka miesięcy, zanim się spiknęłam z Jamonem, udzielałam się w straży obywatelskiej, ale zraziły mnie uprzedzenia rasowe. Dlatego wolałam skupić się na ochroniarstwie i powiększyć arsenał broni.

W Trójce trzeba umieć o sobie zadbać. Panienci faszują się na maksa gadżetami, mają na sobie tyle elektryki, że nawet półdupki działają jak kondensator.

Mnie to nie rajcuje. Wiadomo, bez pewnych rzeczy nie można się obyć, dajmy na to implantowanych kompasów czy węchowych nakładek (wędek), poza tym jednak jestem sobą. Prawie dwa metry wyrobionego ciała. W walce wręcz dorównam każdemu.

Tylko giwery są dla mnie ciałem obcym. I tu dochodzimy do jedynej korzyści, jaka bierze się z tego, że zgarnął mnie Jamon Mondo. Bić się umiem całkiem nieźle, ale gdyby ktoś mi przystawił do czoła smith&wessona, byłabym w tarapatkach. Kiedy Mondo został panem mojego życia, uparł się, bym trenowała na strzelnicy z jego dingochłopami. Miał mnie za taniego żołnierza, jednego z wielu w stadzie goryli.

Więc czemu nie sprzątnę Monda? Wierzcie, nieraz o tym myślałam. Ale to nie takie proste. Musiałam to załatwić w inny sposób.

– Parrish! Coś taka zadumana? O mnie myślisz?

Ten głos: aksamitny, wyraźny, podszyty szyderstwem. Znany z tylu koszmarów.

– O, Jamon... – Oddychaj spokojnie, Parrish. On nie wie, co ci siedzi we łbie.

– Gdzieś ty się podziewała? Potrzebowałem cię! – Pochylił się i uszczypnął mnie przez ubranie.

– Dorabiam sobie na boku – warknęłam i odsunęłam się od niego.

Jakby nigdy nic, pogłaskał mnie drugą ręką przy samym kroczu.

– Za mało ci płacę?

Spojrzałam mu prosto w oczy, tym razem bez lęku.

– Zawsze będzie za mało.

To go ubodło, bo mina mu zrzędała i cofnął dłoń. Tylko w oczach wciąż czał się wyraz chłodnej wesołości. Był ode mnie niższy, miał jasne włosy i szczupłą sylwetkę. Przystojniak. Na policzku połyskiwał holograficzny tatuaż: rozebrana dziewczyna okraciem na facecie. Kiwała na boki głową. Przyrzekłam sobie, że kiedyś mu wydłubię ten implant.

– Daj spokój, Parrish. Zazdroszczą ci wszystkie cizie. Opiekuję się tobą, okazuję ci względy... – Ostentacyjnie cmoknął w koniuszki palców.

Nie ruszało mnie to jego publiczne wystąpienie. Cały Jamon.

Jakby wypalał mi na dupie swoje piętno. Szczęściara ze mnie!

Uwiodłam jadowitą żmiję o zбочzonych skłonnościach.

Nie pierwszy raz malowałam sobie taki obraz Jamona. Sieciowe holozoo pokazywało jadowite żmije w serialu „Gatunki zagrożone wyginięciem”. Jamon ucieleśniał wszystkie cechy takiego gada. Był mały, zdradliwy i śmiertelnie niebezpieczny.

Człowiek bierze żmiję za niegroźną jaszczurkę, a ta rach-ciach i trucizna wstrzyknięta.

Ciarki mnie przeszły.

– Drżysz z podniecenia, maleńka?

Przywdziałam maskę obojętności. I tak już mu dużo zdradziłam.

Ogarnął wzrokiem męty, tłumnie zgromadzone w barze.

– Chcę się wieczorem rozerwać. Przyjdź wcześniej. I włóż na siebie coś... inspirującego.

W jego oczach nastąpiło rozszczepienie światła, jak w kryształach. Nowość u niego. Zastanawiałam się, ile kosztują takie tęczowe oczy. Co za ironia losu, wyć mi się chciało. Że też jedyna piękna i nieokiełznana rzecz na tym szarym świecie musiała mieć swoje odbicie w oczach Jamona Monda!

– Przyjdziesz, Parrish?

Kiwnęłam głową, wkurzona na samą siebie.

ROZDZIAŁ 2

Sfatygowany transpociąg wytoczył się ze stacji i ruszył na południe przez Fishertown, gdzie widoki za oknem nie należały do najpiękniejszych. Nieraz się zastanawiałam, kto komu płaci za utrzymanie linii. Pasażerami byli głównie ludzie stąd, jak ja, którzy chcą szybko, w ciągu dwóch godzin, dostać się na drugi koniec Trójki, na przykład z Torleya na Plastyk. Pozostałych pasażerów nie było stać na przelotówkę albo ubzdurali sobie pooglądać świat skrajnego ubóstwa.

Trójka rozciąga się na długość stu kilosów z okładem – od morza do krętej rzeki. Z lotu ptaka wygląda jak żółw i teoretycznie powinna być ziemią obiecaną. Tak się jednak składa, że załęgły się tutaj wszelkiej maści szumowiny, nie brakuje wykolejeńców i psychopatów. Przeciętnemu zjadaczowi chleba nie przyszłoby do głowy osiedlać się w Trójce, w tej niegościnniej krainie, wśród stukniętych ludzi.

Przed laty działały tu wielkie odlewnie, kwitł przemysł.

Nawet krążyły pogłoski o cudach techniki zakopanych gdzieś w okolicy. Do granic tętniącego życiem miasta Vivy jest dość daleko. Teraz Viva (oficjalnie Vivacity), rozrastająca się na wschodnim wybrzeżu Australii, zaliczana jest do najżarłoczniejszych molochów na świecie.

Zakłady przemysłowe dawno zostały wyburzone. Na ich szczątkach wyrosła imponująca metropolia, bezkresne szeregi plastikowych domów willowych. Wszędzie małe podwórka palmy, identyczne drzwi frontowe malowane czarnym lakierem.

Dopiero po pięćdziesięciu latach spędzonych w tej miejskiej ciasnocie ujawniają się negatywne strony życia na skażonej ziemi. W Trójce pokolenie starszaków składa się ze świrów i psycholi. Młodszy wydadają fortunę na zabezpieczenia lub czekają na to, co przyniesie los.

W metropolii nie da się już wyróżnić obiektów architektonicznych, wille zrosły się w jeden wielki urbanistyczny organizm. Dzielnica nadmorska nazywa się Fishertown, a wyróżnia ją przede wszystkim pas czarnobrunatnych, radioaktywnych piasków. Nędzne rudery rozrastają się na obrzeżach jak kępy wodorostów; rodziny zajmujące się rybołówstwem klepią tam straszną biedę. Nikt nie myśli o romantycznych spacerach w blasku księżycy.

Wyruszyłam w podróż do Armaments and Software, sklepu Minoja w południowej części Trójki. Wiedziałam, że „wycieczkowym” transpociągiem dostanę się tam najszybciej.

Ostatnio coraz więcej czasu spędzałam u Raula Minoja, mogłabym godzinami bobrować w tej jego zbrojowni. Przynajmniej tam miałam trochę spokoju, wytchnienia od takich spraw jak dzisiejsza „randka” z Jamonem.

Gapiałam się na swoje odbicie w chromowanej rurce.

Powiedział: „Włóż na siebie coś inspirującego”. Dobra spełnię jego zachciankę! Przebrałam się w odjazdową czarną kurtkę z ortalionu i również ortalionowe szerokie spodnie z żółtozielonymi zaszewkami. Pod kurtkę włożyłam skórzany bezrękawnik. Ubrałam się w strój nie tylko ciekawy, ale też niebezpieczny. W bezrękawniku miałam wszyte przegródki w których chowałam bestialsko długie, zatrute szpilki. W czasie burdy jak znalazł! W majtkach ukryłam tasiemkę, która z przodu i z tyłu rozciągała się jak pajęczyna. W tasiemce była linka garoty.

Ha, i jeszcze buciory! Bez nich czułam się naga. Kiedyś sprawiłam sobie takie ze stalowymi noskami, ale nie nadawały się do biegania. Teraz nosiłam buty z tytanowymi wkładkami.

Mogłam w razie konieczności szybko się ulotnić, ale też sprzedać solidnego kopniaka.

Pociąg wjechał do Pomme de Tuyeau na południowo-wschodnim krańcu Trójki. Drzwi na chwilę przed otwarciem zrobiły się przezroczyste. Podobał mi się ten bajer. Przynajmniej był czas zmienić zdanie, jeśli na peronie kręciły się podejrzane typy. Mój wzrost wszędzie przyciągał uwagę. Wnerwiało mnie to. Niscy wcale nie mają za czym tęsknić.

Wysokie chłopaki z Pomme były znane w całej Trójce.

Chutliwe świnię ze wzmacnianą muskulaturą i mieszaną karnacją. Ostatnim krzykiem mody na Plastyku była skóra w łąty: tu trochę z białego, tu z Murzyna, tu jeszcze z żółtka, a dla kontrastu kapkę albinosa. Wskaźnik zarażeń był wysoki wśród zygzaków.

„Kto by chciał wyglądać jak pieprzona zebra?” – spytała mnie kiedyś Doll Feast. I śmiała się do rozpuku.

Wyminęłam dryblasów bez płacenia. Jasnowłosy drągał z łąciatą buźką i naprężonymi tricepsami popatrzył na mnie z byka, ale się nie ruszył. Ciekawe, za kogo mnie uważali?

Za kochankę Doll Feast? Dziwkę Jamona Monda? Rzygać się chciało. Jeszcze przyjdzie taki dzień, kiedy będę po prostu sobą, Parrish Plessis.

W korytarzach między willami i w łączonych pomieszczeniach wszystko, co nadawało się do sprzedania, było wystawione na sprzedaż. Na każdym kroku spotykało się slumsiarzy z Fishertown, którzy wciskali ludziom afrodyzjaki z małży i olejki na długowieczność; ich eliksiry śmierdziały jak cały ich ten zafajdany interes. Łypali na boki żarłocznym wzrokiem, jakby od tygodni nie mieli nic w ustach.

W myślach odmierzałam drogę do willi, gdzie handluje się bronią; powtarzałam wszystko jak litanię. Piąty kompleks willowy na północ: prochy i przyjemności. Na podwórku Doll nie musiałam się nikomu spowiadać. Trzymałyśmy sztamę, poza tym panienki przychodziły tu po ozdóbki. Trzeci kompleks na wschód: organy do przeszczepu, zamienniki, trwałe makijaże.

Pieprzone zebry właśnie tu produkowano! I jeden kompleks na południe: kradzione technologie. Hm, śliska sprawa... Kto wie, jakie tu wchodzi w grę powiązania? No i wreszcie, na koniec... wyposażenie wojskowe.

Wspięłam się na dach po rozklekotanych schodkach, uważając na szczury, i pokonałam rusztowanie z desek. Następnie zeszłam schodami, dawniej ruchomymi, do czwartych drzwi na dole, gdzie kamery monitoringu przeskanowały mnie, by pobrać personalia, i gdzie zostałam zdezynfekowana pod kątem zanieczyszczeń krwi i pasożytów. Kiedy na wideoekranie pojawiła się facjata Minoja, szarpałam już dredy, zniecierpliwiona.

Jego naoliwiona twarz lśniła anielskim blaskiem, wykrzywiona obleśnym uśmiechem degenerata.

– Maleńka – Wiedział, że nie cierpię tego słowa – jak sobie poczekaasz, łatwiej z tobą gadać. No chodź już, pobaw się zabawkami.

– Wiesz, gdybyś nie był takim mądrałą... – Urwałam.

– A to co?

Podeszłam do stołu w głębi pomieszczenia i pochyliłam się nad blatem, żeby się przyjrzeć błyszczącej włóczni.

– Na specjalne zamówienie, maleńka. *Ne touchez pas*.

Aż mnie przytknęło. Z zazdrości zaniemówiłam. Co za linia, co za elegancja.

Minoj uniósł swoje wypielęgowane brwi.

– Może powiesz, co ci podać.

Nie zwracając na niego uwagi, gładziłam delikatną fakturę broni.

– Ile kosztuje to cudencko?

– Więcej, niż odłożysz w ciągu życia ze swojej skromnej pensji. Najnowszy grot wybuchowy. – Cmoknął przez zęby i zagwizdał, podjarany.

– Dla Wspólnoty Coomera, zgadłam? – spytałam beznamiętnie.

– Moje piękne usta milczą jak grób.

– Piękne usta? Moim zdaniem, są prawie tak samo odrażające jak zęby.

– Bardzo śmieszne, Parrish. – Minoj odsłonił blade, anemiczne dziąsła w tak samo bladym i anemicznym uśmiechu.

Po tradycyjnej przekomarzance na miły początek, targowaliśmy się już na poważnie. Wysłałam od niego z paskudnym krótkolufowym pistoletem i uaktualnieniem hakerskiego pakietu de luxe.

Ochroniarz musi być na bieżąco z technicznymi nowinkami.

Wracając tą samą drogą, zatrzymałam się na dłużej w kompleksie prochów i przyjemności P&P, żeby obejrzeć najnowsze preparaty na przedłużenie erotycznego podniecenia, w syropie i sprayu. Sprzedawca powiedział, że mogę je sobie wypróbować za darmo na zapleczu, ale

wyśmiała go, oblecha.

Wtedy wyczułam, że ktoś za mną łązi. Pewnie chłopcy Jamona, któżby inny? Dingochlupy mieszkają z tyłu na Torleyu w przemeblowanych koszarach. Coś jak dawni żołnierze. Przecucie ogona dokuczało mi jak nagły atak migreny. Sperma na żelazobetonie. Dingochlup udawał zwyczajnego klienta, gapił się na pornoautomat.

Jamon znowu kazał mnie śledzić!

W popłochu, bez zatrzymywania się, dobiegłam aż do kas na Pomme. I wsiadłam do pierwszego pociągu, który jechał na północ.

* * *

Nie miałam czasu się zastanawiać, czemu Jamon wysłał za mną ludzi, bo kiedy wróciłam, przed drzwiami czekała na mnie Mei.

Ubranie mnie swędziało, a majtki wżynały się w ciało jak w tanim kostiumie do seksualnego zniewolenia. Wprowadziłam Mei do mieszkania i posadziłam ją na łóżku, sama zaś rozebrałam się, wrzuciłam ciuchy do pralki chemicznej i weszłam do sanitariatki. Kiedy wyjdę czysta, ubrania będą gotowe.

Kocham te nowoczesne udogodnienia!

– Co słyhać, Mei?

Twarz różowowłosej szamanki zajaśniała rumieńcem.

– Ten facet, Dark! Widziałam go!

– Ile chcesz? – Cholera, spieszyło mi się! Jeśli się spóźnię, Jamon wyśle po mnie zbirów. Po części już to zrobił. Ale tej okazji nie mogłam zmarnować. Może tym razem dopisze mi szczęście? – Szybko, Mei! Jamon wzywa mnie do pracy.

– Muszę pomedytować. Mogę tu trochę zostać?

Spojrzałam na nią z ukosa, susząc się w sanitariatce. Co ją tak ciągnęło do mojego mieszkania? Do drogiej klitki bez wyjść ewakuacyjnych na najwyższym piętrze podupadłej willi? Kiedyś można było stąd zobaczyć identyczne mieszkanie w sąsiedniej willi, ale w oknie dzień i noc wisiała zasłona. W Trójce lepiej nie podglądać sąsiadów.

Wiedziałam, że w tej okolicy dobra meta to skarb, ale bez przesady.

– No dobra, tylko niczego nie ruszaj.

Swoje nędzne oszczędności schowałam tak, że nikt ich nie znajdzie, a jeśli Mei zechce poswawolić w mojej bieliźnie, to życzę powodzenia: tu prawie każdy łach potrafił ugryźć.

– Siedzi w jednej ze śluzowni Heina.

Zmarszczyłam nos. Śluzownie Heina były dla tych, którzy lubią to robić sami z pomocą materii nieożywionej.

– To on taki?

Wywróciła do góry swoje skośne oczy.

– Jak go poznam?

– Szeroki jak szafa. Zero włosów. Skóra. A, i jeszcze proteza.

– Gdzie?

Zachichotała.

– Ręka, a co myślałaś?

* * *

Przycupnęłam u Heina przy końcu baru, skąd miałam dobry widok na korytarz i boczne sale. Lany Hein, właściciel, nawet nie zamrugał do mnie sztucznymi rzęsami. Nie zdierał ze mnie za drinki, bo Jamon był także jego szefem. Prowadził najsympatyczniejszą spelunę na Torleyu. Szanowałam gościa i podziwiałam jego styl ubierania się. Na nim nawet szyfon wyglądał znakomicie.

Na Torleyu oprócz knajpy Heina zainstalowały się dziesiątki barów, tutaj również znajdowało się Shadoville i zakątek okupowany przez firmy w północnej części dzielnicy willowej.

Lukratywne, lecz cieszące się złą sławą terytorium Jamona.

Przyjemniaczki z Vivacity pielgrzymowały tu w poszukiwaniu mocnych wrażeń.

To, co miałam przy sobie, też mogłoby dostarczyć mocnych wrażeń. Pogłaskałam szpile i namacałam linkę do urzynania głowy, którą schowałam w majtkach. Pistolet od Minoja spoczywał w kaburze przy pasku, ledwie przykryty płaszczem. Po przyjsciu do Jamona na pewno go oddam, ale na razie fajnie mi z nim było. Minoj twierdził, że to glock, lecz coś mi mówiło, że zaopatrywał się w tańsze podroby u nielegalnego hinduskiego dostawcy. Ale co tam, kupiłabym ten pistolet nawet pod marką Barbie, byle nie strzelał krzywo.

Dopijałam drugiego drinka i zaczynałam się już niecierpliwic, kiedy korytarz wypełnił sobą łysy facet w czarnej skórce, z grubym łańcuchem na szyi. Zupełnie taki, jakim go opisała Mei. Jego masa zrobiła wrażenie nawet na mnie. Atrakcyjna, gładka twarz zaskakiwała łagodnym wyrazem. Rozejrzał się po wnętrzu, szukając wolnego krzesła, a gdy je wypatrzył, podszedł do niego i rozsiadł się przed dużym wideoekranem.

Za nim przypętał się drugi typek: wychudzony, błydy rudzielec w ciuchach R. M. Williamsa – w koszuli w kratę i... no brawo, w kurtce i spodniach z moleskinu! Trudno o bardziej niedopasowaną parę. Mogliby skumplować się z Mei i dawać przedstawienia.

Zaraz, zaraz, a ja to co? Szerokie ortaliony i garota w majtasach!

Kiedy się zastanawiałam, jaką przyjąć taktykę, na wideoekranie rozpoczął się serwis

informacyjny OneWorldu.

Wiadomością dnia było zabójstwo Razz Retribution.

Dark i jego koleżka wlepili oczy w ekran niczym małe zwierzątka śledzące ruchy matki.

Raport dziennikarza graniczył z histerią:

– OneWorld z bólem informuje widzów korzystających z sieci publicznej, że doszło dziś do brutalnego, bulwersującego morderstwa. Zginęła nasza niezwykle popularna reporterka Razz Retribution. Podobno pracowała nad reportażem na temat nielegalnych eksperymentów genetycznych. Jej samochód eksplodował na przelotówce nr 1049. Kamery monitoringu sfilmowały dwie osoby, uciekające z miejsca zbrodni. Jeśli ktoś z państwa zna tych mężczyzn, prosimy o kontakt z milicją. OneWorld liczy na was, na swoją wielką rodzinę. Wspólnymi siłami wyplenimy chwasty, które zatruwają nam życie w nowej epoce...

Przed przerwą w wiadomościach ekran wypełniło zbliżenie twarzy rudego towarzysza Darka. Wyrzeszczał oczy, siedząc z tyłu na siodle motocykla. Kierowca wyszedł na tym ujęciu jak ciemna, niewyraźna plama.

Wydarzyły się równocześnie dwie rzeczy. Rudy koleś grzmotnął o ziemię organizmem, a jego krzesło dotykowe wrzasnęło z bólu. Stopiło się całe oparcie, na którym przed chwilą trzymał głowę.

Nim zobaczyłam kanałą, po samej broni poznałam, że to łowca nagród. Normalny człowiek nie wytrzyma żaru miotacza ognia.

No i w barze zrobiła się draka, cała klientela padła plackiem na ziemię. Mimo zamętu zauważyłam, jak Dark, trzymając kumpla za szyję, ciągnie go za sobą i zarazem osłania własnym ciałem. Jasny gwint! Jednym ruchem przerzucił gościa za pancerny kontuar, a sam przetoczył się na bok.

Łowca nagród nie zdążył ponownie strzelić. Zmył się, lecz co bardziej nerwowi ludzie przestali nad sobą panować i wkoło świstały kule. Jamon się wkurzy, jak zobaczy zniszczenia.

Choć wiem, że to głupie, było mi żal krzesła.

Skuliłam się pod ścianą z pseudoglockiem w dłoni i boczkiem ruszyłam w stronę kontuaru. Chował się tam nie tylko Dark z facetem w moleskinie, ale też dwóch wyznawców kultu Szranga i slumsiarz z Fishertown, którzy już brali się do bitki.

Cholera, religijnych wojen tu jeszcze potrzeba!

Dark wsparł się plecami o ścianę i wsunął nogi pod kontuar.

– Dzień dobry – powiedziałam.

Popatrzył na mnie z tym swoim łagodnym wyrazem twarzy.

Miał ciemnobrązowe oczy, prawie czarne.

– Niezupełnie – odparł dźwięcznym, głębokim głosem.

Jego łysa czacha miała idealne kształty.

– Słuchaj no, musimy pogadać. Mam tu niedaleko spokojną przystań. Zdaje się, że twój kumpel musi trochę ochłonać.

Kule odbijały się od ścian, kiedy wyciągnęłam na powitanie wierzch dłoni.

– Parrish Plessis.

Na chwilę potulny wyraz zniknął z jego twarzy. Zlustrował mój rysztunek, a potem zajrzał mi w oczy jak jakiś psychomaniak. Kiedy wyciągnął wierzch dłoni, odwzajemniając powitanie, ogarnęła mnie dziwna fala gorąca, jakbym w upalny dzień połknęła wiadro pastylek kofeinowych. W efekcie zalałam się potem. Sztylety adrenaliny, które dźgały mnie po kręgosłupie, zamieniły się w wielkie maczety.

– Co mi robisz? – zapytałam.

– Nic.

W jego oczach dostrzegłam pytanie, ale nie to samo, które ja zadałam. Potem znów mnie mamił łagodnym wejrzeniem.

Chwycił za ramię przyjaciela i przewrócił go jak ojciec wystraszonego dzieciaka.

– Hej, Stolowski! Dziewczynka chce ci pomóc.

Dziewczynka, fuj!

Wsadziłam mu pod szczękę lufę pistoletu, aż zasprężynowała jego mięsista szyja.

– Jedno sobie wyjaśnijmy – burknęłam, nie kryjąc oburzenia. – Macie mnie tak nie nazywać!

ROZDZIAŁ 3

– Przecież pozwoliłaś mi medytować!

– Daj spokój, Mei, to moje mieszkanie. Przynajmniej jeszcze przez parę godzin.

Chińska szamanka przymrużyła swoje migdałowe oczy, aż wydawały się zamknięte. Ona była wnerwiona, ja byłam wnerwiona, a gdybym się stąd zaraz nie ruszyła w tych swoich fajowych ortalionach, wnerwiłby się jak diabli Jamon Mondo.

Domyślałam się, czemu jej nie pasi moje towarzystwo i czemu Dark przestępuje z nogi na nogę jak przerośnięty nastolatek.

Otóż Mei była naga; tylko na włosach miała rozsmarowany plaster różowej pasty. W dłoni trzymała przyborek do tatuowania paznokci. Takie tam dziewczęce drobiazgi.

Za plecami Darka rudowłosy Stolowski ożywił się jak pies z nadziejami na zaliczenie biskopka.

– Zbieraj się, Mei, i nie marudź, bo wywalę cię tak, jak tu stoisz! – zagroziłam.

Nieznacznie uniosła powieki. Zrozumiała, że to nie przelewki. Z przeciągłym westchnieniem, trzęsąc gołym pępkiem, odeszła w głąb mieszkania.

Wepchnęłam Darka do środka. Strasznie się wstydził jak na goliata w czarnej skórce i ciężkim łańcuchu. Stolowski natomiast nie potrzebował zachęty. Tylko nochal mu się marszczył.

– Muszę iść do pracy, ale wrócę po północy, wtedy porozmawiamy – zwróciłam się do Darka. – Nigdzie nie wychodźcie, tu nic wam się nie stanie. Jeśli będziecie głodni, Mei coś wam zamówi.

Gdy szłam do Jamona, chciało mi się śmiać. Pewnie Darkowi nie dopisuje apetyt.

* * *

Na błyszczącym mahoniowym stole stała srebrna zastawa; między sypiącymi się ścianami i niskimi, brudnymi sklepieniami wydawał się z całkiem innej bajki. Pasowałby do reprezentacyjnej sali w którejś z bogatych rezydencji w Vivacity, gdzie sufity wiszą dziesięć stóp nad głową, a psy obronne przypominają niedźwiedzie. Tymczasem marnował się w tej obskurnej

willi, zaścielony białymi serwetkami i tabunem świeczek. Gotyk, jedna z pasji Jamona, spotykał się tutaj z bezdusznym plastikiem.

Nie żebym nie lubiła ładnych przedmiotów! Nazywam jednak rzeczy po imieniu. Jamon mógł sobie być, kim chciał – mieszkał na skażonej ziemi w labiryncie zapuszczonych budynków. Oryginalny antyczny francuski stół niczego w tej kwestii nie zmieniał.

A może mu zazdrościłam?

Po drugiej stronie pokoju stały w grupce cztery osoby, od których bił odór perfumeryjnej chemii. Wzięłam się w garść i ruszyłam w ich stronę zdecydowanym krokiem. Kiedy odwrócili się do mnie, z zaskoczenia nieomal straciłam rezon.

W jednym pokoju znalazło się dwóch największych wrogów Jamona. Na domiar złego, w dość małym pokoju. Zastanawiałam się, gdzie zostawili ochronę.

– Spóźniłaś się, moja droga. – Jamon zaprezentował swój lisi uśmiech, który zawsze przyprawiał mnie o mdłości. – To Stellar. Znasz ją, oczywiście.

Wsunął mi rękę pod kurtkę i zaraz uszczyptał mnie między łopatkami.

Popatrzyłam z odrazą na tę wywłokę z niebieską czupryną. Stellar, pinda z body-shopu. Dziewczyna i chłopak Jamona w jednym.

– Pozwól, że przedstawię ci pozostałych – ciągnął Jamon.

– Topaz Mueno.

Mueno, który pociągał za sznurki na Hałdowisku, lekko się uklonił i tłustymi paluchami przeczesał włosy do pół biodra. Wśród jedwabistych pukli mrugały maciupkie światełka, co upodabniało go do bożonarodzeniowej choinki. Ciężki zapach kosmetyków tłumił smród jego ciała. Kolejny zapocony mięczak. I bubek. Od razu go rozszyfrowałam. Czasem można poznać słabości człowieka już przy pierwszym spotkaniu, zanim dłuższa znajomość wypaczy ocenę.

Hałdowisko znajdowało się w zachodniej ćwiartce Trójki, tak jak w południowej – Plastyk, a w północnej – Torley. Zewnętrzną granicę Hałdowiska wyznaczała zatruta rzeka Filder, zawałona wzdłuż mulistych brzegów stosami rupieci, którymi ktoś nieudolnie próbował przeciwdziałać osunięciom ziemi.

Zalegały tam tego całe hałdy.

– A to Road Tedder.

Tego znałam lepiej. Zażarcie walczył z Doll Feast o całkowitą kontrolę nad dochodowymi interesami na Plastyku, głównie nad handlem narzędziami, bronią i technologią. Jego podchody doprowadzały Doll do szewskiej pasji. Jej ludzie śledzili go dwadzieścia cztery godziny na dobę, a mimo to wciąż ją zaskakiwał... i miał swoje tajemnice. Chodziły słuchy, że zamordował i wtrąbił swoją pierwszą żonę. No cóż, jak to łowca: co złowi, to do gęby. Tedder mieszkał wtedy na przedmieściach.

Raul Minoj, mój ulubiony handlarz bronią, musiał lawirować między Doll a Tedderem, choć

czasem się zastanawiałam, czy nie bliżej mu do tego drugiego.

– No i oczywiście... Io Lang.

Ów niepozorny człowiek podał mi dłoń na powitanie.

Była zimna i pachniała czymś... trudno powiedzieć, czymś drażniącym jak środek antyseptyczny.

– Wystarczy „Lang” – rzekł uprzejmie.

Ścisnęło mi żołądek ze strachu, jakby zagnieździł się tam olbrzymi czerw piaskowy. Tego faceta znałam ze słyszenia. Lang władał sercem Trójki, zwanym Dis. Czasem się mówi, że to kolebka wszystkich interesów Trójki, ale ja nie podzielałam tego zdania. Nie dociera tam żaden środek komunikacji miejskiej.

I żaden człowiek stamtąd nie wychodzi. Jeśli komuś milicja depta po piętach, tam właśnie powinien się zadekować – nie znajdą go, choćby zrzucili bombę i zrównali z ziemią Trójkę.

Krążyły pogłoski, że Dis sięga w niezbadane głębiny, gdzie widać jeziora lawy. Lub piekło: może ono jest bliżej. Kwitły tam najprawdziwsze świry, samowystarczalne i odcięte od świata.

Społeczność poza marginesem naszej społeczności.

– No cóż, zapraszam do stołu.

Zapraszam do stołu? Jamon naprawdę starał się zrobić dobre wrażenie! Szczerze mówiąc, wyglądał na podjaranego faceta.

– Parrish, uprzyjemnisz czas Langowi. Stellar... ty, proszę, obok senora Mueno. – Sam zajął miejsce koło Road Teddera.

Kiedy usiadłam, nadal mogłam patrzeć z góry na Io Langa.

Wyglądała jak jego mamuska, ale że byłam ogólnie trochę nerwowa, nie odczuwałam takich rzeczy jak zażenowanie.

Lustrowałam go uważnie, gdy tymczasem maluch Mikey podawał do stołu.

Lang kazał sobie przystrzyc włosy po wojskowemu, wysoko nad uszami i kołnierzem. Miał niezwykle bladą cerę i trudno było określić jego wiek. Po ustach błąkał mu się zagadkowy uśmiezek. Może nie całkiem sztuczny, ale też niezupełnie naturalny.

Tylko raz w ciągu tego nudnego obiadu spojrział mi prosto w oczy. I całe szczęście, że więcej tego nie robił! Jeśli Mondo kojarzył się z wężem, to Lang przypominał najgorszego z drapieżników: człowieka bez duszy.

Co gorsza, Stellar, pinda z body-shopu, wisiała nad Muenem jak lewa woda kolońska. Mueno doceniał okazywane mu względy i pochwalił Jamona za gościnność. Stellar posłała mi pogardliwe spojrzenie, jakby chciała powiedzieć: Widzisz, cipo? Jestem lepsza od ciebie!

Jeszcze miesiąc temu rzuciłabym się na nią z pazurami jak dzika kocica, dzisiaj po prostu chciałam wyjść. Siedziałam przeważnie z pochyloną głową i wsłuchiwałam się w ton rozmów. Słowa padały starannie wyważone. Instynkt mi podpowiadał, że Lang sprzedaje jakiś towar, na

którym zależy Jamonowi i reszcie. Tylko co jest przedmiotem transakcji? Pewnie coś cennego, skoro cała czwórka usiadła przy jednym stole.

Kiedy Mikey zaserwował główne danie z mątwy, dostrzegłam drobne różnice w kolorze mięsa. Lang, Tedder, Mueno i Jamon mieli matowobiałe, natomiast ja i Stellar wyraźnie ciemniejsze, prawie szare. Gdyby nie chodziło o morskie żarcie, pewnie bym nie zwróciła uwagi, lecz ostatnimi czasy każdy wlepia gały w to, co mu trafia z morza na talerz. Dosłownie nikt, nawet największy idiota, nie włoży do ust czegoś, co zostało wyłowione z rzeki Filder lub w pobliżu Fishertown. Chyba że chce pożegnać się z życiem.

Spojrzałam na Mikeya, ale miał twarz robota, która nic nie zdradzała. To samo jego wścibskie, aż nadto ludzkie oczy.

– Przypuszczam, że to miecznik z importu – rzekł Road Tedder.

Lang i Mueno skierowali wzrok na Jamona.

– Oczywiście – odpowiedział pośpiesznie Mondo.

– W takim razie pozwolisz, Jamon, że sprawdzę.

– Jeśli chcesz wiedzieć, Road, to nie pozwalam. Obrażasz mnie jako gospodarza. Nawet po tobie nie spodziewałem się tak paskudnych manier.

Zapadła cisza jak makiem zasiał. Poruszały się tylko płomyki świec. Nie ściszałam już tak mocno stopki kieliszka, żebym w razie potrzeby mogła szybko chwycić linkę do garoty. Nie miałam pistoletu: zabrały mi go dingochłopy.

Wolnym, przekornym ruchem Tedder położył dłoń na piersi.

Z prawej strony wyczuwałam pomieszana woń potu i perfum, którą tchnęło rozlazłe ciało Monda. Dolatywał także zapach Stellar, w jej przypadku najzupełniej chemiczny.

– Zrozum, Jamon, dzięki tym manierom jeszcze żyję. Nie podejrzewam cię o złe zamiary, ale powiedz, sam to gotowałeś?

Błyskawicznie wyciągnął z kieszonki pewien przedmiot, co kazało mi sięgnąć po garotę. Mueno i Jamon też zdradzali nerwowość. Tylko Lang wydawał się niewzruszony.

Tedder z chichotem umaczał w potrawie detektor toksyn.

Napięcie minęło.

– Na moim miejscu zrobiłbyś to samo. Chyba że dobre maniery są dla ciebie ważniejsze niż *la morte vite*. – Zadowolony z odczytu detektora, pomachał nim nad talerzem Stellar i mrugnął okiem na uspokojenie. Potem kolejno podał przyrząd Langowi i Muenowi. Ten drugi skorzystał z propozycji.

– A ty, Lang?

– Lepiej stracić życie niż honor... czy nie tak się mówi, Road? Nie, dziękuję. Ufam Jamonowi.

Jamon wyraźnie się ucieszył z tej deklaracji zaufania.

A jednak Lang był szcwanym lisem. Posłyszałam cichutki szum jego osobistego detektora, umieszczonego, jak przypuszczam, w paznokciu. Od początku wiedział, że jeśli chodzi o zawartość trującej rtęci, to jego danie mieści się w granicach normy.

– Ech, do czego ten świat zmierza... – odezwała się ochryple Stellar, żeby przerwać krępujące milczenie. Potem przełknęła duży kęs głowonoga. Jej pocieszna uwaga rozładowała atmosferę.

Kiedy odciąłam kawałek mięsa i chwyciłam go w zęby, Lang po raz drugi tego wieczoru spojrzał mi prosto w oczy.

– Tedder kłamał, gdy mówił o jedzeniu Stellar – szepnął.

– Mój detektor wykrył, że jej i twoje różni się od naszego.

Widelec wypadł mi z dłoni. Widząc, jak Jamon wysiła się, żeby podsłuchać naszą rozmowę, wysiłkiem woli podniosłam go z uśmiechem.

Kiedy Jamon odwrócił się do Muena i Stellar, schowałam w garści odcięty kawałek mątwy, a potem włożyłam go do kieszeni do późniejszego zbadania. Od tej pory już tylko dziobałam po talerzu, póki nie zjawił się Mikey, żeby posprzątać ze stołu.

Stellar wymiotła wszystko z talerza i ze smakiem oblizała wargi. Pinda nie wiedziała, że jedną nogą jest już w grobie!

Nawet jej nie żałowałam. Po prostu byłam wkurzona. I mdliło mnie. Mdliło mnie dlatego, że musiałam być świadkiem tych porąbanych gier.

Podano deser, ale się wyłgałam, ściemniając, że muszę dbać o figurę. Wymówka trochę naiwna, skoro genetyczne uwarunkowania uniemożliwiały mi przekroczenie określonej wagi, lecz nikt się nie przyczepił.

Zaciągnęłam u Langa dług wdzięczności, a zarazem winiłam siebie za nieostrożność.

Mikey zaczął zbierać talerzyki po deserze i zrobił się mały zamęt, co wykorzystałam, żeby podziękować Langowi.

Uśmiechnął się swoim nieodgadnionym uśmiechem.

– Mam dla ciebie osobiste zlecenie. Skontaktuję się z tobą.

ROZDZIAŁ 4

Wróciłam do siebie koło drugiej nad ranem. Lang przeprosił towarzystwo i wyszedł przed północą, po rozmówieniu się w cztery oczy z Jamonem w jego jaskini. Zaraz po nim ulotnił się Tedder.

Ten wieczór musiał ułożyć się po myśli Jamona, bo nim pożegnał się z Topazem Mueno, pozwolił, żeby Stellar paradowała przed nimi półnago. Nic tak go nie bawiło jak zazdrość innych facetów. Niezłe jaja!

Po wyjściu Topaza, mimo że Stellar siedziała mu na kolanach, zwrócił się do mnie:

– Parrish, chodź no tu bliżej.

Stellar z nadąsaną miną liznęła go po policzku.

– Niepotrzebna nam ona.

W tym momencie byłam gotowa zabijać, gdyby któreś wyciągnęło do mnie łapska.

Na szczęście dla nas wszystkich Jamon przychylił się do prośby Stellar.

– Zachowam cię na rano, Parrish – powiedział. – Bądź co bądź, za dnia przyjemniej patrzeć na ciebie niż na Stellar.

Pinda ryknęła, słysząc tę zniewagę, i szarpnęła się w moją stronę z paznokciami wygiętymi na kształt szponów.

Jamon ze śmiechem podłożył jej nogę i rymnęła jak długa na podłogę. Chwycił ją za kudły i mocno pociągnął. Kiedy jej wściekle krzyki ustąpiły jękom rozkoszy, związałam z rezydencji.

Z trudem łapałam oddech: myślałam, że się uduszę.

Gdy odgrodziłam się od świata drzwiami mojego mieszkania, Mei leżała przy rudym Stolowskim z głową w jego chudych nogach. Przypominali nastolatków po powrocie z imprezy, na której każdy miał mieć obciachowy wygląd. Mei nieświadomie tarła palcami spodnie z moleskinu i ssała kciuka. Stolowski chrapał.

Dark siedział na moim jedynym krześle i oglądał biuletyn informacyjny. Ostentacyjnie ignorował koślawe, trzepotliwe podrygi Merry 3.

– Co z tobą? – Podniósł na mnie wzrok. Jego szeroka, gładka twarz błyszczała w poświacie ekranu.

Facet był całkiem do rzeczy, miał w sobie taką naturalną urodę. Żadnych sztucznych upiększeń, produktów inżynierii genetycznej. Chyba się domyślałam, czemu właśnie tak się ubiera. Człowiek jakoś musi bronić się przed światem.

Byłam chyba jeszcze rozkojarzona po wieczornym przyjęciu, bo nagle zachciało mi się usiąść mu na kolanach i wtulić się w jego ramię. No ale prawda jest taka, że nie robię tego już od ładnych paru latek. Zwłaszcza z nieznajomymi.

– Wszystko pod kontrolą – odpowiedziałam twardo.

Wzruszył ramionami, jakby moja oziębłość nic go nie obchodziła. Skupił się z powrotem na ekranie.

Odgrzałam pro-substa, żeby choć w minimalnym stopniu powetować sobie wyżerkę, która mnie ominęła, i zaczęłam grzebać w kredensie w poszukiwaniu detektora. Znalazłam go wreszcie: leżał wciśnięty między przeterminowane opatrunki witaminowe i butelkę zagranicznej wody. Kiedy prześwieciłam kawałek mątwy na obecność rtęci, dostałam czerwony odczyt.

– Jak on ś-śmiał! – zawołałam z wściekłością i zakrzusiłam się jedzeniem.

Dark odwrócił się, wybałuszył oczy, po czym zerwał się z krzesła.

Wyciągnęłam rękę, żeby go odegnać, ale mi ją odtrącił.

Szybkim ruchem obrócił mnie i grzmotnął w plery tak mocno, że zważyło mnie z nóg. Kęs jedzenia poluzował się w gardle i zebrało mi się na straszliwy kaszel.

– Co z tobą? – Nachylił się nade mną.

– Nie masz nic-c więcej do powiedz-dzenia? – wystękałam.

– Czy płyta ci ś-się zacięła?

Kiedy przetarłam załzawione oczy, dostrzegłam na jego pomarszczonej twarzy wyraz konsternacji. Capnął mnie za ramiona i doholował na krzesło. Mnie!

Wyplułam niedojedzone resztki, odskoczyłam na bok i stanęłam na ugiętych kolanach.

– Nie dotykaj mnie!

W moim ręku magicznym sposobem pojawiła się linka garoty. Machnęłam mu nią koło nosa. W kieszeni kurtki trzymałam podróbę glocka; w razie konieczności mogłam pistoletem poprzeć swoje racje.

Ku mojemu zdumieniu buchnął dzikim śmiechem. Aż trzymał się za brzuch, tak nim skręcało. Ludzie rzadko się śmieją na widok mojej garoty.

– Co wy wyprawiacie? – Mei usiadła, zaspana, i podrapała się po głowie. – Aha, to ty, Parrish. Proszę cię, mogłabyś być trochę ciszej? – Po tych słowach ponownie włożyła kciuk do buzi, przewróciła się na bok i wypięła nad skraj łóżka swój zadek.

Stolowski nawet nie drgnął.

Dark posadził swoje wielkie cielsko na podłodze przed krzesłem i kiwnął głową.

– Siadaj, Parrish. – W jego głosie wciąż dźwięczała nutka rozbawienia. – Pogadamy.

Przeszłam nad resztkami jedzenia, myśląc sobie: Jasne, najlepsza pora na rozmowę. Nie usiadłam jednak.

– Twój przyjaciel Stolowski ma szansę trafić do mamra za morderstwo – powiedziałam.

Pokiwał głową twierdząco.

– Jeśli opowie mi dokładnie, co się stało, może mu jakoś pomogę. Przynajmniej gliny zgubią trop.

– Czemu chcesz się w to angażować?

– Potrzebuję informacji o kierowcy motocykla.

Zmarszczył czoło, zmieszany.

– Słyszałeś coś o Jamonie Mondzie? – spróbowałam z tej strony.

Znowu kiwnął głową.

– Pracuję dla niego. Jak my wszyscy. – Zatoczyłam ręką koło, by wiedział, że chodzi o Torley.

– Byłaś dziś u niego?

Tym razem to ja pokiwałam głową. No, nikt by nas nie wziął za specjalnie rozmownych. Chwilę trwało milczenie.

Spróbowałam raz jeszcze:

– Posłuchaj, Razz Retribution jest... to znaczy była znaną dziennikarką. Jeśli twój przyjaciel został wrobiony w morderstwo, będzie miał ciężkie życie. Chodzą słuchy, że stuknął ją profesjonalista. Chcę się dowiedzieć jak najwięcej o tym motocykliście. W zamian zapewnię mu bezpieczeństwo.

– Co się stanie, kiedy już dowiesz się wszystkiego? Sprzedasz go pierwszemu łowcy nagród, który się nawinie?

Dla odmiany pokręciłam głową przecząco.

– Tacy nie biorą podwykonawców i nie mają zwyczaju się dzielić. Jeśli się dogadamy, zagwarantuję mu bezpieczeństwo, dopóki nie wymyślisz czegoś lepszego.

Drągał otwierał i zaciskał pięści.

– Na przykład czego?

– Nie wiem. Może kopiecie się do innego miasta lub coś w tym stylu. Albo niech zrobi sobie operację plastyczną. Starczy ruszyć głową.

Jego twarz była teraz ucieleśnieniem powagi.

– To kosztuje, Parrish. Stolowski nie jest przy kasie.

Zaczynała boleć mnie głowa.

– To może coś sprzedacie? Każdy ma coś na sprzedaż.

– On ma jakąś rodzinę, nie wiem gdzie – wymamrotał.

– Może by pomogli...

– No właśnie. Odszukaj rodzinę i wyduś z niej trochę szmalu. Zaopiekuję się nim do tego czasu. Ale pamiętaj, masz się sprężyć, nie będę go niańczyć w nieskończoność. Za parę dni widzę cię z powrotem.

– A skąd mam wiedzieć, czy informacje, które ci sprzedają, przypadkiem nie są warte o wiele więcej?

– Drogę do drzwi znasz. Jak chcesz, to sam coś wykombinuj. Zobaczymy, jak długo Stolowski będzie wodził za nos milicję i łowców nagród.

Jak na zamówienie, na ekranie pojawił się nowy serwis informacyjny z powtórką zabójstwa Razz Retribution. Widać było piegi na bladej twarzy Stolowskiego. Kierowca pochylał się nisko nad silnikiem, odwrócony tyłem do kamery.

Dark westchnął przeciągle i wyciągnął się na podłodze, jakby chciał się wcielić w rolę skórzanej kanapy.

– Dobra, Parrish, umowa stoi. Powiem Stolowskiemu. Ale pamiętaj, masz się o niego troszczyć.

* * *

Leżąc na ziemi we własnym mieszkaniu, gdy dwie prawie obce osoby wygrzewają się na łóżku, a trzecia chrapie tak, że powinny od tego pękać płyty gipsowe – trudno o spokojny, twardy sen. Mimo to, kiedy obudziłam się wcześniej rano (czy w ogóle spałam?), byłam podładowana i serce mocno mi biło.

Wiedziałam, że łowcy nagród szybko mnie skojarzą ze zniknięciem Stolowskiego. Musiałam po kryjomu przemycić go z Torleya na Plastyk.

Doll da nam schronienie i pewnie namówię ją, żeby pożyczyła mi trochę kasy na zakup easy-tella. Easy-tell odmykał tajemną furtkę do ukrytych zakamarków ludzkiej pamięci.

Nakłaniał do wyśpiewania wszystkich szczegółów, podświadomie rejestrowanych zmysłami. Czasem pamięć delikwenta mogła doznać szwanku, ale to się rzadko zdarzało. Zazwyczaj kończyło się na potwornym bólu głowy, który mijał dopiero nazajutrz.

Miałam pewne wyrzuty sumienia... ale zależało mi i musiałam zaryzykować.

Aha, i jeszcze jeden drobiazg: Jamon. Jeśli nie puszczał słów na wiatr i gdyby rzeczywiście zechciał sobie rankiem pogruchać, lada chwila mógł zapukać do mnie dingochłop.

Najpierw obudziłam Mei.

– Hej, ruszaj się! Twój kochaś musi stąd spływać. Dużo się dziś będzie działo.

Otrzeźwiała tak prędko, że sama nie wiem, czy w ogóle spała. Uszczypnęła w rękę rudowłosego chudzielca.

– Fajny jesteś – powiedziała. – Możemy się gdzieś razem wybrać.

Rozbudził się z jękiem dziecka, które dostało klapsa.

Dark, wyrwany ze snu tym odgłosem, zaczął machać rękami jak King Kong w czasie ataku padaczki. Czuję się, jakbym miała zapowiadać występy w cyrku.

Wtem ktoś załomotał do drzwi, co zadziało skuteczniej niż kubeł zimnej wody. Od razu wiedziałam, że czeka na mnie osoba, której wolałabym nie zobaczyć. Pokazałam palcem sufit.

Dark w lot zrozumiał, co mam na myśli. Poszeptał na ucho Stolowskiemu i musiał użyć przekonujących argumentów, bo chudzielec nie opierał się, kiedy ja i Dark wspólnymi siłami podsadzaliśmy go do wyłazu.

Okna w moim mieszkaniu dawno temu zostały na stałe zasłonięte, więc można było ewakuować się stąd wyłącznie górą. Wyłaz prowadził do jednego z tysięcy przejść, łączących w jedną całość prawie wszystkie domy – ciasnych, zdradliwych korytarzyków na dachach Trójki. Poruszanie się tędy sprawiało pewne trudności, ale cóż, wszystko po kolei.

– Dark! – syknęłam. – Rozbierz się!

Mei ściągnęła mu kurtkę.

– Jak cię znajdę? – Patrzył na mnie bezradnie, jakbym miała odejść w siną dal z jego jedynym przyjacielem.

Podciągnęłam się z krzesła na dach. Wyrzebałam z ubrania i rzuciłam mu swój zapasowy klips do komu. Nie pytajcie, co mnie napadło. Identyczny gadżet miała tylko moja siostra na północnej półkuli. Jednak inaczej nie mógłby się ze mną skontaktować, gdybym była w terenie, a przecież umowa to umowa.

Na dole Mei, olśniona potęgą obnażonej piersi Darka, wydała z siebie drapieżny, koci pomruk. Potarła się o niego.

Sama nie wiem czemu, ale krew się we mnie zagotowała.

– Możesz wybrać dowolną falę, zawsze cię usłyszę. – Postukałam w implant ślimakowy. – I jeszcze jedno, Dark...

Nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Słucham, Parrish.

– Odsuń gdzieś to cholerne krzesło!

* * *

Stolowski niezgrabnie przeciskał się między krokwiemi.

Cała drżałam ze strachu, że jeszcze metr i wrąbie się komuś przez sufit. Na szczęście nie miał czasu włożyć butów R. M. Williamsa. Szczęście w nieszczęściu!

Na początku przez dziesięć minut unikaliśmy moich własnych pułapek. Gdybyśmy spokojnie mogli tędy przejść, znaczyłoby to, że inni też dokażą tej sztuki. Dlatego tyle tu było drutów.

Zwykle przed zaśnięciem sprawdzam wszystkie zabezpieczenia. Większość pieniędzy, które zarobię, przeznaczam na to, żeby ustrojstwa na poddaszu działały jak należy.

Pilotem wyłączyłam czujnik ciepła, który włączyłam na nowo, kiedy znaleźliśmy się po drugiej stronie zasieków.

Niebawem byliśmy uświnieni jak nieboskie stworzenia, smrodliwe powietrze zatykało nam płuca. Stolowski zaczął się krztusić.

– Zacznij mi tu haftować, a pójdę dalej bez ciebie! – zagroziłam. Odtąd słyszałam już tylko głośne przelęknięcie.

Poddasza nie były najlepszym miejscem do zwiedzania.

Po pierwsze, nie mógł tu stanąć wyprostowany człowiek normalnego wzrostu, co dopiero taka tyka jak ja. Po drugie, jeśli ktoś zabłądził, mógł wdepnąć w kryjówkę zarażonych ćpunów, którzy puszczają frajera w świat z gołą dupą, a sami opychają zdobycz. Buty z tytanowymi okuciami były warte zachodu... tak samo jak naturalne owłosienie czy prawdziwe sutki. Po trzecie, i co najważniejsze, na tym terenie rządziły psioszczury.

– Możemy trochę odsapnąć?

Wydawał się wycieńczony, więc się zgodziłam.

Z rwanym westchnieniem ulgi przysiadł na belce i zatopił twarz w dłoniach. Wyłączyłam lampkę górniczą i wyrównałam oddech. Sprytna lampka była częścią mojego codziennego ekwipunku. Leżała mi na czole jak odjazdowa opaska. W Trójce człowiek nigdy nie wie, kiedy się znajdzie w ciemnościach.

– Dark powiedział, że będziesz mnie chronić, nim skołuje kasę – mruknął Stolowski przez palce.

– Tak powiedział? No, w sumie to racja, ale i ty masz pewną rolę do spełnienia.

– Co byś chciała wiedzieć? Niewiele pamiętam.

– Jak do tego doszło? Opowiedz mi wszystko szczegółowo.

Opuścił ręce. Kiedy się odezwał, znać było, że usiłuje sięgnąć pamięcią do tamtych wydarzeń.

– Przyszła wiadomość, że mam się spotkać z Darkiem w barze bilardowym u Cona. Pomyślałem sobie, że pojedę stopem. W ogóle nie czekałem, gość na motorze zabrał mnie spod chaty. Wcale nie chciał gadać. Powiedziałem mu, że mam spotkanie z kumplem u Cona, na co on, że wie, gdzie to jest.

– No i?

– Na przelotówce zbliżyliśmy się do tej gabloty. Piękne autko, drogie jak skurczybyk, za kółkiem młoda damulka. Podjechał całkiem blisko i nalepił coś na karoserię. Poznałem ją, tę dziennikarkę, którą pokazują wszędzie w telewizji. Razz. Śliczna jak marzenie. Zobaczyłem jej twarz, a potem... potem... bum! – wypalił jak dziecko, które bawi się w wojsko.

W wyobraźni widziałam go już jako nietoperza, gdy nagle poczułam zapach, który wywołał u mnie skok adrenaliny. Czym prędzej włączyłam lampkę.

– Widziałeś kiedyś psioszczura?

Rozejrzał się z przestraszeniem.

– Mówisz o tych zmutowanych bydlakach, które żyją na dachach?

– W domach, na dworze, gdziekolwiek jest coś do jedzenia.

– Podobno nie gardzą ludzkim mięsem. – Jego skądinąd blada twarz zbieleła niczym śnieżący ekran wideokomu. Piegami odznaczały się jak wysypka.

– Zgadza się – odpowiedziałam wesołym tonem, nim zaczęłam się czołgać. – Za rudymi wręcz przepadają.

ROZDZIAŁ 5

Worki pod oczami Doll Feast zatrzęśły się dyskretnie. Kiedyś była naprawdę ładną babką, ale nagromadzony w niej stres, wynikający z walki o swoje podwórko, zaczynał się objawiać nieprzyjemną chrypą i obwisłą skórą.

Znałam tę skórę jak swoją własną.

– Na co ci on? – Ruchem głowy wskazała Stolowskiego.

Ziewał od ucha do ucha, oglądając zdjęcia pornograficzne na zapleczu laboratorium. Jego blada, koścista fizjonomia, pełna niedoskonałości, wyróżniała się negatywnie wśród porozkładanych wokół błyszczących, plastikowych profili i perfekcyjnie wykonanych protez. Kiedy wreszcie przeciągnął swoje dupsko przez kilka brudnych poddaszy w Shadoville, poszliśmy na dworzec i wróciliśmy transpociągiem na Plastyk. Wybrałam najnowszy wagon z działającą kamerą przemysłową – w nadziei, że to onieśmieli łowców nagród.

– Myślę, że Wspólnota Coomera wrobiła go w zamach. Jeden z nich pozwolił mu się dosiąść na motocykl. Rozwalili samochód. Milicja poszukuje Stolowskiego, bo uważa go za współnika. Kamery sfilmowały jego twarz na przelotówce.

– To jeszcze nie tłumaczy, do czego on ci potrzebny.

– Na pewno coś wie o motocyklicie. Rozumiesz, mógł zapamiętać jakieś tiki, brakujące zęby, cokolwiek, nawet zapach. Easy-tell...

– E-tell?! Skąd weźmiesz na to forszę?

– A jakbyś mi pożyczyła... – Nie znosiłam zebrania. Nigdy dotąd, dosłownie ani razu, nie zebrałam... no ale gdy cię potrzeba przycisnie...

Wymownie pokręciła głową.

– O, nie, Parrish. Przestań wreszcie nabijać sobie głowę bzdurami. Wspólnota Coomera to klub dla facetów. Kadaiczkowie, mówi ci to coś? Nie chcą u siebie takich jak ty. Choćbyś jednego wytropiła, nie przyjmą cię do swojego grona. Nigdy nie dadzą ci azylu.

– Muszę uwolnić się od Jamona, Doll, nie rozumiesz tego? – Złość we mnie wezbrała. Dodałam ponuro: – Nie mogę na ciebie liczyć.

Mina jej się wydłużyła.

– Daj spokój, Parrish, sama wiesz, jak to jest. Nie szukam zwady z Jamonem. Gdyby się Tedder dowiedział, że mam na pieńku z Jamonem, zaraz by mnie tu przygwoździł. Wypadłabym z interesu. Przemyśl to sobie. Do kogo byś przychodziła? Póki co, mogę ci czasem pomagać. Bierz życie, jakim jest, bo lepsze nie będzie.

Patrzyłam na nią bez słowa.

– No przestań już – naciskała łagodnie. – Wiesz, co do ciebie czuję. Słuchaj, na razie nigdzie mi się nie spieszy. Masz ochotę na chwilę intymności? – Pogłaskała mnie po policzku.

Odsunęłam się z nagłą odrazą. Na swój sposób była taką samą manipulatką jak Jamon. Pragnęłam uciec od nich wszystkich. Od niej, od Monda – od każdego, kto rościł sobie do mnie jakieś prawa.

Tonęłam.

– Muszę się nad tym jeszcze zastanowić, Doll. Popilnujesz go ze dwie godziny? Tyle możesz dla mnie zrobić.

Wolno pokiwała głową, urażona, że odrzuciłam jej ofertę.

– Popilnuję go, ale nie wydurniaj się. Jak chcesz, wyślę za tobą dziewczynę, będzie cię osłaniała. – Troska porała jej czoło.

Może się bała, że tym razem naprawdę się zdenerwowałam?

Jeśli tak, to nie bezpodstawnie.

– Potrafię o siebie zadbać.

– Jasne, Parrish. Wiem, że potrafisz.

* * *

Na zewnątrz biznes szedł pełną parą. Zajrzałam do kawiarenki wciśniętej między „Trujące Suszi” a pokój, gdzie schodziły fałszywe dowody osobiste. Zamówiłam latte z whisky. Kiedy kelnerka przyniosła mi drinka, dumałam nad dziwnościami, jakie ludzie ostatnio czepiają sobie do paznokci. Ta uwiązała sobie na pętelkach dwie maleńkie jaszczurki. Rzucały się i wrywały, gdy wypisywała rachunek. Ciekawe, jak zmywa naczynia lub podciera tyłek?

– Fajne, nie? – ekscytowała się, pełna zachwyty.

– Wierzysz w reinkarnację? – spytałam niewinnie.

– A co to? Kult szatana, coś w tym klimacie? – Postawiła szklankę ze świecącymi oczami.

Przygwoździłam jej dłoń i szpilką rozwiązałam pętelki.

Jedna jaszczurka smyrnęła na wolność, druga skoczyła w złą stronę, więc musiałam uciąć jej łeb.

– Ej, zwariowałaś?! – wrzasnęła.

– Zarabiam wróżeniem z jaszczurek. Uważaj, żeby w następnym życiu jakiś dupek nie

skrócił cię o głowę.

Wyrwała rękę i odeszła sprężystym krokiem, psiocząc na oszołomów, z którymi musi się zadawać w pracy.

Miałam słabość do zwierząt. Nie tylko do zwierząt, do wszystkich bezbronnych istot. Może jeśli człowiek tapla się długo w rynsztoku, w końcu wymyśla sobie własny kodeks etyczny. Tak długo mnie popychano i wykorzystywano, że walka przestała być moim hobby: stała się, kurwa, krucjata!

Popijałam kawę i zastanawiałam się, czy nie warto się urżnąć. Niestety, umówiłam się z pewnym oryginalnym, ubranym w skórę byczkiem, że jakiś czas poniańczę jego chuderlawego koleżkę. A wiedziałam, że błędem jest powierzanie Doll czegokolwiek na dłużej niż dwie godziny.

Dobra, to może jeszcze jednego drinka!

Tym razem wysłali malucha, żeby mnie obsłużył.

– Mikey to jakiś twój krewny? – zagałam.

– Pewnie, proszę pani – odpowiedział dziwnym, metalicznym głosem. – Wszyscy wyglądamy identycznie. Wszyscy jesteście braćmi.

Nie wiedziałam, czy żartuje.

Po drugiej latte czułam się o niebo lepiej. Mleko i woda.

Niewinność i grzech.

Kiedy podniosłam szklankę, żeby wysączyć resztkę, uderzył mnie pewien zapach. Cierpki.

Kaznodzieja czy ktoś taki, ubrany w kapelusz i czarny, przykurzony płaszcz z wykładanym kołnierzem, wszedł do środka i usiadł na pękniętym winylowym siedzeniu.

– Zajęte – powiedziałam obcesowo.

– Miło cię znowu zobaczyć, Parrish.

Przyjrzałam mu się uważniej.

– Nie znam pana. – Czułam swędzenie w strategicznych miejscach: na rękach, nogach, głowie.

– To pomódlmy się o to, byś sobie przypomniła. – Pochylił głowę.

Cierpki zapach, teraz silniejszy. Chyba już pamiętałam.

Czyżby Lang? Io Lang? Lewą ręką ujęłam szklankę, by prawa mogła niezauważenie wyciągnąć garotę.

Zachichotał.

– Nie musisz się uciekać do tak... brutalnych środków, Parrish. Przecież to zwykłe spotkanie w interesach.

Przyglądałam mu się z boku, doszukując się znajomych rysów twarzy. Na przyjęciu u Jamona to był zupełnie inny facet. Ten miał dłuższy nos, do tego krzywy, cerę rumianą i

miejscami złuszczonej, odstające czoło. Na płaszczu wisiały krzyżyki i różaniec.

– Tylko mi nie mów – powiedziałam z ironią – że jesteś bliźniaczym bratem Langa.

– No to jeszcze sobie popatrz, moja droga.

Uniósł głowę, bym mogła spojrzeć mu prosto w oczy.

Na chwilę całe oblicze uległo przeobrażeniu: odcień karnacji, budowa kości, wejrzenie. Ten właśnie człowiek – bez dwóch zdań! – ostrzegł mnie przed zatrutym jedzeniem u Jamona.

– Jak to robisz? – zapytałam szeptem. On nie założył sobie maski, on... chyba użył czarów.

– Powiedzmy, że zarobiłem i mam. – Jego twarz z powrotem upodobniła się do oblicza kaznodziei. – Pewnie i ty byś mogła.

Pod wpływem emocji serce zaczęło mi walić jak szalone.

Zafascynowały mnie korzyści z posiadania takiej umiejętności, aż mną telepało. Z trudem się opanowałam, musiałam zachować jasność umysłu.

– Czego chcesz? – wymknęło mi się trochę za szybko. Pewnie zaraz zapytam, czy mam się położyć i rozkraczyć nogi.

Wręczył mi miniaturowy dysk.

– Tu znajdziesz adres. Dostarczysz mi zawartość plików komputerowych. Zabijesz każdego, kto cię zobaczy.

– A wtedy? – No proszę, znowu to samo! Coś taka napalona? Wyluzuj, Parrish, wyluzuj...

– Dzięki mnie staniesz się niewidzialna.

Przywołałam malucha i zamówiłam zwykłą czarną kawę, zero alkoholu. Nie chciałam, żeby Lang się ulotnił, nim zrobię porządek w myślach. Napiłam się i oparzyłam w gardło.

Maluch zaśmiał się, co zabrzmiało tak, jakby dziecko zakaszłało w blaszany bębenek. Kazałam mu spadać, grożąc, że wypruję z niego rezonator.

Kiedy się oddalił, zmierzyłam Langa świdrującym wzrokiem.

– Przydatna sztuczka, naprawdę. Co trzeba zrobić, żeby móc ją stosować? W grę wchodzi jakieś voodoo? Mam sobie wyrwać serce i nakarmić nim diabła? – Na koniec, żeby to miało ręce i nogi, zapytałam jeszcze: – A tak na marginesie, to czemu akurat ja? Znajdziesz w Trójce tysiąc najemników, którzy zrobią dla ciebie ten włam. Prawdę mówiąc, to nie moja specjalność. – Co się ze mną dzieje? Próbuję go zrazić?

Odczekał chwilę, jakby delektował się smakiem następnej odsłony w przedstawieniu.

– Jeśli zawartość tych plików trafi we właściwe ręce, twój szacowny chlebodawca dostanie wyrok śmierci.

Mondo z wyrokiem śmierci! Już mnie nie obchodziło, jakie są jego zamiary. Przekonał mnie! Połknęłam haczyk na lince z dziesięciotonowym ciężarkiem. Pomogłabym mu nawet gratis.

* * *

Kiedy zjawiłam się w domu Doll, Stolowski spał: z kącika ust ściekała mu ślina, gałki oczne drżały w fazie REM.

Zwinął się jak dzieciątko na stole laboratoryjnym. Jeszcze nie potraktowałam go e-tellem, a już miał połowę objawów. Pod pachę wcisnął replikę kobiecej głowy z torsem. Wyciągając ją, zauważyłam migdałowe oczy i różowe loki na sztucznej czaszce.

A mówią, że nie ma czegoś takiego jak miłość od pierwszego wejrzenia! Byłam ciekawa, jak zareaguje Mei.

Doll gdzieś przepadła.

Usłyszałam w uchu ciche buczenie, więc usiadłam przed komem Doll i odpowiedziałam na telefon. Nim nastąpiło połączenie, bawiłam się w zgadywanke, popularną w takiej sytuacji: Kto dzwoni? Czy znowu trzeba kłamać?

Powinam była zgadnąć.

– Parrish? To ty? Wszystko w porządku?

– Za kogo ty się uważasz, co? – burknęłam, widząc zmartwioną twarz Darka. – Za moją matkę świruskę?

– Stolowski bezpieczny?

Westchnęłam.

– Twój mniejszy kolega ma się dobrze. Teraz weź się do roboty i dotrzyj do jego krewnych. Nie mam czasu.

– Piłaś coś? – Tym razem pytał ostrzejszym tonem.

Czy piłam? Co to za facet?

– Odpowiedziałabym, gdybyś miał prawo mieszać się w moje sprawy. Ale nie masz.

– Coś nie tak? – nie dawał za wygraną.

Nagle zauważyłam jego nagą klatę. Nie wiedzieć czemu, wnerwiłam się jeszcze bardziej.

– Gdzie ty jesteś? – spytałam podejrzliwie. – Co z Mei?

Zaśmiał się tubalnie.

– Powinienem teraz powiedzieć: Gdybyś miała prawo mieszać się w moje sprawy, odpowiedziałbym. – Naśladował mój głos. – Tylko że to by nas donikąd nie zaprowadziło.

Bez skórzanej kapoty i łańcuchów z powodzeniem mógłby grać w reklamie płynu po goleniu. Miał poważną minę, gładką skórę i tego rodzaju twarz, o którą każda dziewczyna chciałaby się ocierać udami.

– Ponoć władze zakazały wyjazdów do Strefy Zewnętrznej. Gliny polują na mordercę Razz Retribution. Są blokady na stacjach kolejowych. Chyba nie wydostanę się stąd, żeby poszukać rodziny Stolowskiego.

Musiałam to sobie przetrwać. Trójka, w przekonaniu możnych z Vivacity, zawsze była

skrawkiem ładu, na który pasowałoby zrzucić bombę atomową. Może i by do tego doszło, lecz jesteśmy tak blisko, że spadłyby na nich radioaktywne opady. W każdym razie nigdy nie było problemu z wjechaniem tu czy wyjechaniem. Jakoś nie chciało się wierzyć, żeby ktoś mógł skutecznie odciąć Trójkę od reszty świata. Samo Fishertown rozciąga się na przestrzeni prawie stu pięćdziesięciu kilometrów. A dostęp do rzeki Filder? Jak odgrodzić taki olbrzymi, niepokładany kompleks miejski? Zakaz wyjazdu? Coś takiego mógłby wymyślić stuknięty bywalec baru Heina w pijackim zwidzie.

– W tym wieku nie powinieneś już bać się bajek – zakpiłam. Jego pewność siebie działała na moją psychikę jak tarka na ser.

Wydawał się sfrustrowany.

– To sobie pójdz i sprawdź. Przekonaj się na własne oczy.

U dołu ekranu, na wysokości jego brody, pojawiło się różowe rozmycie. Gdy monitor się przekreślił, zobaczyłam bużkę Mei.

– Parrish? Nie marudź, on nie zmyśla. Na wszystkich stacjach transkolei trzepią podróżnych.

– No a co wy robicie? I gdzie jesteście?

Popatrzyła na mnie szelmowsko spod przymrużonych powiek.

– Ejże, dziewczyno, można by pomyśleć, że jesteś zaz...

– Za dużo myślisz!

Za mną rozległy się hałasy i już wiedziałam, że nie jestem sama.

– Wkrótce się odezwę. – Przerwałam połączenie.

– Z tym zakazem to święta racja, Parrish. A tak przy okazji, co to za przystojniak? Chyba go skądś znam.

Doll stała w progu laboratorium. Mętne, fluorescencyjne światło nadawało jej ciału lekko szary odcień i podkreślało pusty, bezduszny wyraz twarzy.

I raptem olśnienie. Zmiana perspektywy bez udziału woli. Doll: zmięta, wystraszona, samolubna kobieta w starszym wieku. Zastanawiałam się, co mnie opętało, żeby pójść z nią do łóżka. Pewnie z tego samego powodu uciekłam od ojczyma.

Sądziłam, że moimi wrogami są mężczyźni. Zrozumiałam swój błąd. Moim wrogiem jest każdy, przed kim się odkrywam.

Ignorując docinek o przystojniaku, umyłam twarz nad jedną z umywalek i osuszyłam się gąbczastym pochłaniaczem. Nie bałam się, że Doll wyjedzie mi ze sceną zazdrości, ale w tej chwili wolałam tego nie sprawdzać.

Stolowski pochrapywał sobie spokojnie na stole z wyciągniętą daleko ręką, jakby po coś sięgał. Może po Mei? I jak tu szprycować e-tellem kogoś, kto wygląda na dziecko, które zgubiło swego ukochanego misia?

Chybabym nie dała rady.

Ulżyło mi tak, że aż się lekko spociłam. Lang otworzył przede mną nową furtkę, więc Stolowski zachował swój mózg w nienaruszonym stanie.

Doll przerwała milczenie:

– Musisz iść, Parrish. Cały świat szuka tego palanta. Nie sprowadź na mnie gliniarzy.

– Jasne, Doll. – Nie było sensu się sprzeczać. W pewnych kwestiach zawsze mogłam na niej polegać, choć musiałam zdawać sobie sprawę z jej ograniczonej roli.

– Zobaczymy się wkrótce?

– Nie – odpowiedziałam.

Teraz ona z czegoś zdała sobie sprawę.

Obudziłam Stolowskiego i poszliśmy sobie.

ROZDZIAŁ 6

Wyruszyliśmy do mieszkanca Mei w Shadoville, skrótem przez Hałdowisko, na motorowerze, którego popękane baterie słoneczne kiwały się na sprężynach jak zdeformowane anteny.

Motorowery „na słońce” nie są zbyt popularne, bo często zawodzą przy złej pogodzie.

Mieszkańcy Trójki przemieszczają się przeważnie za pomocą zdeformowanych maluchów, ale mnie się to nie uśmiechało.

Czuję się trochę jak winowajca na grzbiecie dziecka, nawet jeśli większość ciężaru dźwiga część mechaniczna. Wydaje mi się, że to bujany konik, tyle że ma dziecięcą głowę i ruchome nogi.

Z drugiej strony, nie należy się przesadnie przejmować maluchami. Już one umieją dbać o swoje interesy. Kto takiego skrzywdzi w przystępie głupoty, może skończyć jako odpad na skażonym złomowisku. Nawet jeśli znajdują się na samym dnie drabiny społecznej, w razie czego potrafią kąsać.

Wybrałam drogę przez Hałdowisko, bo wiedziałam, że skoro wstrzymano ruch pociągów, będzie zadyma przy stacji Pomme de Tuyeau. Poza tym, nie sądziłam, żeby Stolowski miał dużą szansę uniknąć zdemaskowania w tętniących życiem dzielnicach.

Hałdowisko, Plastyk i Torley miały ściśle określone granice, które mieszkańcy Trójki szybko się uczą rozpoznawać. Dawniej sieć jednoszynowych torowisk łączyła ze sobą wszystkie zakątki willopolis, do dziś zachowała się po niej tylko jedna linia na wschodzie. Elementy konstrukcyjne zostały całkowicie rozebrane bądź przerobione i użyte do wzmocnienia kruchych wielopiętrowych domów.

Życie w ciasnocie i brak dróg dają wrażenie, że to zwariowana ludzka dżungla. Uliczek jest całkiem sporo – skutery, motorowery i maluchy spokojnie się mieszczą – lecz człowiek może tu zabłądzić prędzej niż stracić dziewictwo.

Mieszkańcy Trójki posługują się implantowanymi kompasami. Niektórzy mają mapy nałożone na siatkówki oczu.

Dziwiłam się tym mapom; jeśli ktoś zna zasięg terytoriów, nie musi wiedzieć więcej. Reszta

się ciągle zmienia.

Tu i tam można się natknąć na bezcenny skrawek wolnej przestrzeni. Zwykle w tych miejscach niegdyś były ogrody, służące lokalnej społeczności jako place zgromadzeń. Widuje się również betonowe trzewia dawnych basenów: spuściznę po czasach, kiedy Australia była krajem podwórek i kredytów mieszkaniowych. Podejrzane typy często zabudowują baseny i wprowadzają się do środka.

Kiedy zatrzymałam się ze Stolowskim przy punkcie granicznym, okazało się, że opłata za wjazd na Hałdowisko wzrosła dwukrotnie.

Topaz Mueno może i był nadętym, wątłym ciamajdą, ale miał głowę na karku. Wyobraziłam sobie, jak zaciera swoje anemiczne ręce, zadowolony z dodatkowych dochodów. Ze względu na rozporządzenia władz ludzie przemieszczali się głównie wschodnią rubieżą Trójki.

Poborcy opłat na Hałdowisku nie przypominali nadmuchiwanym palantów, którzy strzegą dworca Pomme de Tuyeau na Plastyku. Ci tutaj z wyglądu upodobnili się do Topaza Mueno: długie włosy, miękkie brzuchy, mięsiste wargi. Lepiej było z nimi nie zadzierać, bo umieli wykręcać nożami takie numery, o jakich mogłam tylko śnić w REM-ie.

Za ich powierzchownością krył się pewien chwyt psychologiczny. Gdzieś czytałam, że pociągają nas ludzie podobni do nas z wyglądu.

Poznaj samego siebie!

W Trójce trzeba rozróżniać ludzi, żeby w porę wyczuć niebezpieczeństwo. Mam pełną ostrość widzenia, ba, lepszą nawet od pełnej, i najdroższe nakładki węchowe, jakie można kupić za ochroniarską gażę, ale żyję wyłącznie dzięki intuicji.

Choć dziś zawiodła! Stolowski stał za mną jak cień, kiedy płaciłam wyśrubowaną opłatę ludziom Muena, łudząc się nadzieją, że nie będą zwracać na niego uwagi. Szkoda, że choćby pobieźnie nie zmieniłam jego wyglądu.

Strażnicy pilnie mu się przyglądali, kiedy schylił się, żeby wyciągnąć szrapnel z nogi.

– Co to za lalunia? – padło pytanie.

– Mój chłopak.

– Gdzie zgubił buty?

Rzadko się zdarzało, by ktoś chodził bez butów. Zniżyłam głos i odpowiedziałam konspiracyjnym szeptem:

– Figlował w łóżku z moją matką. Pomyślałam, że dam mu lekcję.

Popatrzyli na mnie z niedowierzaniem, a potem znowu na niego. Ja i drobnutki Stolowski, też bym tego nie kupiła. Ale cóż, w życiu zdarzają się różne rzeczy.

Odwróciłam się plecami do poborców, kiedy wstukiwali coś na komach.

– Właż na siedzenie! – syknęłam przez zaciśnięte zęby.

– Ale...

– Chcesz się stąd wydostać?

Skwapliwie pokiwał głową.

– To wskakuj na siedzenie. Uwaga... teraz!

Dopadliśmy rakiety dokładnie w tym samym momencie. Należał nam się złoty puchar za zgranie, bo równie dobrze mogliśmy się poprzewracać. Dałam gazu do oporu i sforsowałam szlaban. Stolowski mało co nie zostawił nóg za sobą.

Rozpędzony motorower osiągał zaledwie dwadzieścia pięć kilosów na godzinę. Kurde, równie dobrze mogliśmy wiać sprintem! Niestety, po dwustu metrach Stolowski, biegnąc boso, pewnie zwałiłby się z tych swoich szczudeł.

Skręcałam, gdzie tylko się dało, aż znaleźliśmy się w ślepych zaułku.

– Co... co jest grane? Czemu to zrobiłaś? – wydukał, kiedy się zatrzymaliśmy.

Jeśli Dark działał mi na nerwy, to ten facet doprowadzał mnie do szewskiej pasji.

– Posłuchaj, Stolowski – powiedziałam cierpliwie, choć wszystko we mnie drgało. – Nie wolno opuszczać Trójki. Wiesz, co to oznacza?

– Gliny? – spytał niepewnie.

– Gorzej. Gliny i dziennikarze. Jesteśmy całkowicie odcięci od Strefy Zewnętrznej. Domyślasz się, o co im chodzi?

Przełknął ślinę z takim trudem, jakby połykał szklaną kulkę wielkości pięści.

– O mnie?

Pokiwałam głową.

– Myślałam, że zabiłeś Razz Retribution. Ale jej nie zabiłeś, prawda?

– Nie.

– Nie można zabić dziennikarza OneWorldu i uniknąć kary. Media na tej półkuli są, kurde, jak rodzina królewska. Ktoś cię zrobił w morderstwo, za które grozi czapa. Myślę, że Wspólnota Coomera.

– Co to za jedni?

Nie doczekał się odpowiedzi, bo gdy usłyszałam nad sobą hałas, włosy na głowie stanęły mi na baczność.

Szpicel na godzinie dwunastej. Schodził na niższy pułap. Był to dziennikarski helikopter z wojskowym wyposażeniem, tyle że mały, trzy razy mniejszy od normalnego. Mógł wylądować komuś na łysej pale. Zazwyczaj siedzi w takim jeden człowiek, reporter i pilot w jednej osobie. Pomaga mu mechanoid-kamera, który służy też jako interogator i dzięki swoim możliwościom bojowym aktywnie pomaga w śledztwie.

Kiedy spojrzałam na Stolowskiego, sprawiał wrażenie, jakby miał zaraz zemdleć. Gdyby skóra zbladła mu jeszcze bardziej, mogłabym ją sprzedać na przeszczepy dla albinosów.

Szkoda, że miał piegi.

Umowa z Io Langiem zabijała we mnie zdolność racjonalnego myślenia, pragnęłam już tylko wykraść potrzebne mu informacje i przybić gwóźdź do trumny Monda. Stolowski, Dark, restrykcje, wszystko to nagle stało się dla mnie obciążeniem.

Powinłam olać Stolowskiego! Szpiegus zgarnie go w ciągu paru minut i będzie po sprawie.

W tym momencie usłyszałam w uchu buczenie, jakby w ten sposób odzywały się we mnie wyrzuty sumienia. Dzwonił implant ślimakowy. Zgadnijcie, kto to?

– Nie teraz, mamy kłopoty.

Wrzuciłam maszynę za resztki muru oporowego i pociągnęłam Stolowskiego do najbliższej bramy. Szpiegus na pewno dostał wiadomość o motorowerze, którą sprzedali mu poborcy Muena.

Dobra, jeśli dziennikarzyna chciał nas dostać, musiał tu zejść i pobrudzić sobie rączki.

Stałam ze Stolowskim pod ostatnimi drzwiami, gdzie kończył się chodnik i gdzie budynki chyliły się nad nami jak niedołączni wartownicy. Domy pięły się na wysokość zaledwie trzech pięter, ale do tego dochodził las prymitywnych anten mikrofalowych i przylepione do dachów kokony do spania, toteż od patrzenia na to wszystko mogła rozboleć szyja. Z lotu ptaka musiało to wyglądać jak ul jakichś zmutowanych pszczół.

Może pewnego dnia popatrzę sobie z wysoka.

Rozprawiłam się z prowizoryczną barykadą i jednym kopniakiem wyrwałam drzwi z zawiasów. Ktokolwiek tam mieszkał, musiał już wiedzieć, że idziemy.

W środku zionęło smrodem, który nie miał nic wspólnego z ludźmi. Błyskawicznie przestawiłam wędki na niską czułość.

Po dolatujących mnie z tyłu czknięciach poznałam, że Stolowski znów ma kłopoty. Nie ma to jak słaby żołądek.

Współczułam mu... przez moment.

Wewnątrz było pusto, walały się jakieś deski. Stolowski osunął się na większą dechę, u końca zwęgloną, służącą tu chyba jako ławka.

– Nie wiesz, jak wygląda zaprawione drewno? – Nie chciało mi się wspominać o parchatym kocie z zębami jak z cyrkonu, który pod ławką czyścił sobie futerko.

– Zaprawione?

– Nasączone pestycydami. Podpalasz, wdychasz i nie wracasz z odlotu.

Zerwał się jak oparzony.

Kot nie zwrócił na nas uwagi, zajął się swoim brzuchem.

Może nie była to odpowiednia pora, ale zżerała mnie ciekawość. Facet był straszną ofertą, coś mi tu nie pasowało.

– Właściwie to skąd pochodzisz? Gdzie się urodziłeś?

Ciemnozielone oczy zamglily się, spomiędzy drżących warg wysoczyły się słowa:

– Środek kraju. Zaciągnęli mnie do Trupiego Serca. Aleśmy... znaczy... uciekłem. Proszę, nie powtarzaj nikomu...

Dobra, jestem w stanie znieść wiele rzeczy, ale nie mazgajenia się. Rozwładnianie łzami wzbierających emocji nie jest w moim stylu. Kiedy mi źle, wpadam w złość, ale kiedy takie wypłosze jak Stolowski beczą przy mnie, zaczynam się zastanawiać. Mam się o nich troszczyć czy zostawić ich na pastwę losu? Jeśli chodzi o Stolowskiego – co za świat! – facet tak ujmująco garnał się pod moje skrzydełka!

Robisz za piastunkę, Parrish... czy frajerkę?

Z jednej strony irytowało mnie to chuchro, ale też słyszałam, że w porównaniu ze Spółdzielczą Kopalnią Trupie Serce nasza Trójka może się wydawać tropikalnym rajem. Polegają tam głównie na pracy rąk ludzkich, bo utrzymanie mechanoidów wychodzi drożej. Prawo zabrania przyjmowania ludzi do pracy pod ziemią, ponieważ w starych kopalniach łatwo o wypadek, lecz nikt nie wie dokładnie, co się dzieje poza granicami supermiasta.

Nie wie lub nie chce wiedzieć.

Australia zawsze rozwijała się najprężniej na wybrzeżach.

Ale kiedy wyschły rurociągi ze słodką wodą, interior stał się jednym wielkim ugorem i bezludziem. Władowały tą krainą dziczące zwierzęta, węże i brutalni zarządcy kopalń.

Stolowski wywinął się spółdzielni, więc pewnie wysłano za nim pościg. Równocześnie polowali na niego dziennikarze i policjanci, bo pechowo poprosił o podwiezienie motocyklistę zamachowca. Co to znaczy, gdy szczęście się odwróci od człowieka...

Implant ślimakowy znów zawarczał. Jeśli zaraz nie załatwię tego telefonu, w głowie będę miała kamerton!

– Słuchaj, Stolowski, za chwilę przed domem wyląduje szpiegus. Musimy zwać i znaleźć kom. Twój kolega doprowadza mnie do szału tym dzwonieniem na mój prywatny numer.

– Wskazałam mu swoje ucho.

Uśmiechnął się blade. Mało tego: szkliste, zielone oczy patrzyły na mnie z ufnością!

Cholera, nie cierpię frajerskiej ufności!

Nagle rozległ się głuchy łoskot. Ściana pękła, a od piersi odbiła mi się skrwawiona kocia łapa. To był dopiero pierwszy strzał. Po drugim nadwęglona ławka zapaliła się jak ognisko.

Szpiegus!

Stolowski i ja, krztusząc się dymem, pognaliśmy galopem do schodów.

Pilot szpiegusa, gdyby chciał, rozwaliby budynek w drobny mak, więc to był atak w celu wypłoszenia nas z nory. W przeciwnym razie podzielilibyśmy los kota, którego kawałki rozleciały się na wszystkie strony świata.

Przyjęłam to za dobrą monetę. Chcieli wziąć Stolowskiego żywcem. Pewnie po to, żeby dzięki procesowi wycisnąć większą oglądalność.

Powiedziałam „proces”? Prędzej egzekucja. Ten szczupły, anemiczny chłopak nie miał co liczyć na sprawiedliwy proces.

Może dlatego go nie zostawiłam. Zawsze wspieram tych, co mają mizerne szanse. Mnie też w życiu nielekkko.

Ciągle słycać, że media śledzą globalne wydarzenia z pozycji obserwatorów: nie ingerują, zachowują obiektywizm w swoich komentarzach, są niezastąpionym źródłem informacji.

Co jeszcze, może bronią wszystkich mętów tego świata przed niesprawiedliwymi wyrokami? Cóż, wyszło szydło z worka.

Piloci szpiegusów, ze swoimi kamkorderami w akrylowych końcówkach paznokci, dysponowali większą siłą ognia niż gliniarze, a tłumaczyć się musieli jedynie przed ekspertami odpowiedzialnymi za wiarygodność stacji. Jeśli media żądały śmierci Stolowskiego, facet miał przechlapane.

Sędzia, przysięgli, egzekutor, fotograf!

– Uśmiech, proszę...

– Uśmiech? – wyszeptał Stolowski.

Cały rozdygotany, kuczał koło mnie w wybebeszonej łazience na trzecim piętrze. Miał rwany, przyspieszony oddech.

– Nic takiego – mruknęłam. – Posłuchaj!

Z dala dolatywało wycie silnika, gdy pilot oblatywał budynek.

– Uwaga, uwaga! Zwracam się do wszystkich ludzkich form życia w zasięgu słuchu! Macie trzy minuty na podanie swoich personaliów szpiegusowi, zanim zostanie wypuszczony interrogator. Opór będzie naruszeniem prawa o wolności mediów.

Gromkie ostrzeżenie zostało powtórzone jeszcze w kilku dialektach. Zawsze się zastanawiałam, od którego momentu liczyć te trzy minuty. Zegar rusza po ostatnim zdaniu w ogóle czy po ostatnim, które się zrozumiało? Jeśli nie pozostawia się sobie marginesu błędu, jak w moim przypadku, wszystko zależy od drobiazgów.

– Parrish, co to, interrogator?

Wskazałam otwór w suficie i dźwignęłam go z ziemi.

– Pójdę ci na rękę, chłopcze z prowincji. Kiedy pozbędziemy się tych małych niedogodności, utniemy sobie długą, miłą i pouczającą pogawędkę. Kto wie, czy dzięki temu nie dożyjesz do następnego tygodnia. A teraz wylaż!

Tym razem posłuchał. Może jeszcze wyjdzie na ludzi.

O to chodzi, dziewczyno, myśl pozytywnie!

Wydostałam się za nim na górną kondygnację. W świetle lampki górniczej, która miotła się jak kula w dyskotece, dostrzegłam Stolowskiego skurczonego przy piszczącej dzieciarni parchatego kota. Nie zamierzałam im mówić, że tato nie wróci do domu dziś wieczór, więc

prędko się wygramoliłam, odpędziłam kocią mamę i kazałam Stolowskiemu wiać wzdłuż głównej belki. Podejrzałam, że za jakieś dziesięć sekund pilot szpiegusa spuści ze smyczy interrogatora.

W ciągu pięciu sekund przepchnęliśmy się skrótem dachowym podobnym do tunelu. Prowadził do sąsiedniego budynku. W ciągu następnych pięciu sekund kocia posiadłość rozsypała się w proch. Może jednak nie chcieli brać żywcem Stolowskiego!

Naliczyłam dwadzieścia skrótów, nim po wielokrotnej zmianie kierunku zaryzykowałam odpoczynek. Z włączoną lampką napałam plecami na pionową belkę, żeby pozbyć się bólu. Mając dwa metry wzrostu, człowiek nie powinien bawić się łażeniem po strychach. Na domiar złego miałam poodcierane i utyłane dłonie.

– Jak myślisz, jeszcze nas gonią? – zapytał ostrożnie. Nie skarżył się, chociaż stopy pokaleczył sobie do krwi na drzazgach i nierównościach.

– Tak. – Mogłabym skłamać, tylko po co? Strach zmusza człowieka do rzeczy, których normalnie nigdy by nie zrobił.

A Stolowski nie wyglądał na takiego, co lubi ryzyko.

Dałabym mu już spokój, Parrish, powiedziałam do siebie.

On uciekł z Trupiego Serca. Ale może sam się nie zdecydował, może...

Dendrony w moim mózgu obudziły się i doznały olśnienia.

Nic dziwnego, że ubrany w skórę z łańcuchami Dark rumienił się na widok zgrabnego tyłeczka Mei. On też przyjechał ze wsi!

W uchu, jak zwykle w najgorszym momencie, rozległo się buczenie.

– Hej, Stolowski. – Gapił się na mnie przekrwionymi oczami. Jeżeli znowu ryczał, to przysięgam, że ukatrupię łajzę i oddam komuś, kto handluje przeszczepami. – Zejdziemy na dół i poszukamy komu. Utrudnimy sprawę terrowi. Będzie musiał przepytac więcej ludzi. Nie zdziwię się, jeśli mu na dobre zwiejemy.

Pewnie nie zabrzmiało to zbyt przekonująco, lecz czułam wielką potrzebę rozmówienia się z mocarnym kolegą Stolowskiego. W tym momencie tylko to się dla mnie liczyło.

ROZDZIAŁ 7

– Gdzieś ty się podziewała?

– Słuchaj no, kmiocie! – warknęłam przy komie na Darka. – Do stu pieprzonych malowanych wombatów, pogięło cię, czy co?! Fundujesz mi strojenie głowy?!

Czułam, że Stolowski chce mi zajrzeć przez ramię, ale łokciem ostudziłam jego zapędy.

Władowaliśmy się do chaty nabitej po brzegi klonami Muena. Na ziemi leżały dywaniki utyłane tłuszczem i resztkami jedzenia, przy drzwiach u sufitu wisiały pęki ociekających krwią piór i zwierzęcych futer. Smród, że tylko się i płakać.

Żeby pozwolili mi skorzystać z komu, wystarczył upór i trochę naciąganej mowy znaków, która zatarła różnice między dialektami. No i musiałam zapłacić. Teraz stali za nami półkolem, zdziwieni i podejrzliwi. Rzadko zapraszali gości w swoje progi!

– Czemu nadajesz mi od kmiotów? – Na jego reklamowej twarzy pojawiły się zmarszczki.

– A czemuś nie powiedział, że pochodzisz ze wsi?

Pochylił głowę, jakby myślał intensywnie.

– Na moim miejscu chwaliłabyś się przed wszystkimi?

Cierpliwość nie była i chyba nigdy nie będzie moją cnotą.

Ściszyłam głos do najłżejszego szeptu, choć miałam wrażenie, że krzyczę na całe gardło.

– Ale frajerce, która z narażeniem życia ratuje dupę twojemu przyjacielowi, chyba mogłes powiedzieć?

– Wybacz. – Uśmiechnął się półgębkiem, jakbym opowiedziała kawał.

Na dłuższe pogaduszki nie było czasu. Coś mi mówiło, że terro depcze nam po piętach.

– Muszę kończyć.

– Gdzie jesteś?

– A co?

– Chodzi o naszą umowę, Parrish. Chciałem nanieść poprawkę. Znalazłem bezpieczną kryjówkę dla St... Dla naszego przyjaciela. Możemy się jutro spotkać na południowej granicy Wieżowego Miasta?

– Nanieść poprawkę? – Co to znowu za brednie?

Zmarszczył czoło, jakby zmagał się z problematyczną kwestią. Pewnie kombinował – pomyślałam z przekąsem – jak uwolnić się z więzów, które perwersyjnie nałożyła mu Mei.

– U mnie zaszły zmiany – oświadczył.

– U mnie też – przyznałam.

– A więc spotkasz się ze mną?

– Owszem. – Wyłączyłam się.

Zapłaciłam klonowi Muena przedostatnim kredytem, który miałam przy sobie, i dałam znać, że wyjdziemy drzwiami prowadzącymi na parter. Stolowski znowu nie odstępował mnie na krok, jakby chciał mi wleźć na plecy.

Nie znoszę ludzi przylepców!

Wyśliznęliśmy się z pokoju i zeszliliśmy kilka stopni po schodach. Klony posuwały się za nami watahą, co trochę psuło nam samopoczucie. Po uchyleniu ciężkich drzwi owiało mnie świeże powietrze.

Już prawie, jeszcze trochę, no...

Niestety, jeden z młodych bęcwałów krzyknął głośno.

W jego dłoni rozbłysnął ekran. Małeńkie głośniczki wyrzuciły z siebie znajomy dźwięk OneWorldu, a zaraz potem opis Stolowskiego.

Normalka w tej powalonej Trójce! Normalka na tym powalonym świecie! Zasyfiona meta wyznawców voodoo, wnętrzości kurczaków zamiast zasłon, zero mebli... i koleś z micropalmem.

Ostro szarpnęłam drzwiami, żebyśmy w końcu się stąd wydostali. Przy okazji strąciłam zawieszony na futrynie nielichy pęk piór, będących własnością jakiegoś ducha. Całe to pierze zsyłało mi się na głowę i spryskało twarz świeżą krwią.

Spróbowałam się wytrzeć, ale tylko rozmazałam ją na ustach.

Splunęłam, żeby nie czuć smaku, lecz była już na języku.

Klonom Muena nogi wrosły w ziemię; stały z wyciągniętymi nożami jak figury woskowe. Gdy dostrzegłam ich miny, ścierpła na mnie skóra. Bali się...

Coś się ze mną działo. Ogień, który poczułam na ustach, przeniósł się do brzucha i ogarnął całe ciało, jakbym miała wypalić się od środka. Na szczęście równie szybko zgasł, choć nie mogłam już opanować lęku i nerwowości. Strząsnęłam pióra z włosów i kopnęłam je dalej od siebie. Od razu mi ulżyło... póki klony nie padły na ziemię z cichą pieśnią.

Wówczas opuściły mnie resztki odwagi. Odwróciłam się i uciekłam. Biegłam i biegłam z przerażeniem w sercu i zimnym tchnieniem voodoo na plecach. Biegłam tak, że o mało płuc nie wypłułam. W końcu ledwie nogami powłóczyłam i dostałam takiej kolki, że musiałam się zatrzymać i schować w ciemnym kącie jak spłoszone dziecko.

Dopiero wtedy przypomniałam sobie o Stolowskim.

* * *

Nie cierpię debilnej magii. Na Torleyu czy w południowej części Trójki nie ma jej za dużo, ale Hałdowisko jest nią na wskroś przesiąknięte. Voodoo, animizmem, satanizmem, technokultem. Oprócz tego mieliśmy Wspólnotę Coomera, choć starałam się nie dostrzegać w ich duchowej wiedzy niczego zdrożnego.

Nigdy wcześniej nie przeżyłam czegoś podobnego. I jeszcze ten posmak w ustach. Nie pomagało nawet wytrwałe płucie.

I jak na złość, zgubiłam Stolowskiego.

Musiałam zaliczyć chyba z dziesięć kilometrów wąskich przesmyków i zdewastowanych dziedzińców, do tego kluczyłam zygzakami. Pomagając sobie wskazaniem kompasu, ustaliłam kierunek, skąd przybiegłam.

Ale kogo ja chciałam oszukać? Za żadne skarby świata tam nie wrócę! Ani dla Stolowskiego, ani dla skumplowanego z nim bysiowatego kmiota. Nic mnie do tego nie zmusi!

Koniec, kropka!

Cholera, pewnie już namaścili Stolowskiego krwią kurczaków i przyjęli do sekty. Terro nie odróżni go od reszty trzódki.

Terro! A niech to!

Oddać Stolowskiego na pożarcie klonom Muena to jedno, zupełnie co innego pozwolić, żeby zabrał się za niego dziennikarski interrogator! Poza tym, trochę go polubiłam.

Westchnęłam z rezygnacją.

Zmrok wypełniał uliczki, kiedy przemykałam się tam, skąd niedawno uciekłam. Próbowałam nie zwracać uwagi na złowieszcze cienie, śledzące mnie z ukrycia. Nocna włóczęga po Trójce to najlepsza recepta na przeżycie przykrej przygody.

Tyle się tu zmieniało. Dziś pusty zaułek, jutro mieszkanie dla dwóch rodzin. Niebawem musiałam zwolnić ze względu na ciemności. Bałam się, że Stolowskiemu stało się coś złego. Co mu zrobią, nim przyjdę?

Tu i ówdzie fragmenty murów płonęły w blasku obsypanych robactwem świetlówek, gdzie indziej imitowane świece z plastiku oświetlały kawałek popękanego chodnika. Czasem na zasłonach odbijały się mętne, żółte płomyki, przeważnie jednak świat tonął w mroku. Powstrzymałam się przed włączeniem lampki górniczej, by nie robić z siebie latarni. Szłam wolno, lecz cicho i niepostrzeżenie.

Z nastaniem nocy gwałtownie zwiększyła się wilgotność, która kładła się na wszystkim jak ciepła, spocona łapa. Wilgoć, zgromadzona na dachach, skapywała na mnie brudnymi kroplami. Żeby mnie jeszcze bardziej pognębić, Hałdowisko zaczynało straszyć nocnymi odgłosami, które

skłoniłyby każdego szanującego się odmienca do powrotu do nory.

Z pistoletem w garści słuchałam wrzasków, awantur, pieśni i niehumanicznych stęknęć. Raz mi się zdało, że małe dziecko zanosi się piskliwym, nienaturalnym szlochem, ale dopiero trzy kilometry od miejsca, gdzie zostawiłam Stolowskiego, wybuchł prawdziwy harmider.

Obeszłam chyłkiem narożnik domu i zobaczyłam okrągły, zacieniony plac, zastawiony – sądząc z zarysów – ławkami i stołami. Na środku rósł potargany eukaliptus, którego gałęzie sterczały w górę jak obgryzione palce. Jeśli dobrze widziałam, rozchodziło się stamtąd promieniście przynajmniej dziesięć ciągów budynków.

W górze porozkładano plastikowe arkusze, które zasłaniały widok nieba. Wątle gwiazdki mrugały tylko tam, gdzie gałęzie przebiły prymitywny dach. Hałasy dochodzące spod drzewa świadczyły, że z kimś jest naprawdę krucho.

Z reguły nie wkręcam się w cudze problemy. Na wombata, mam własnych całą bekę. Przykucnęłam więc, żeby zbadać, czy można przekraść się bokiem i ulotnić niepostrzeżenie.

Dwa głosy i ofiara. Krzyki.

– Suka mnie pochlastała! – wydzierał się ktoś. – Porznęła mi fiuta!

Drugi facet zarechotał.

– Akurat by go znalazła! Suń się, ja mam dwa!

Ofiara skomlała, słaba i zrozpaczona, jak tonące szczenię.

Coś mnie ścisnęło za pierś, aż straciłam oddech. Nawet się nie zdziwiłam, że rozumiem ich dziwny dialekt. Docierało do mnie tylko to, że gwałcą kobietę.

Znałam to uczucie, ten zapach, tę nienawiść.

Cofnęłam się wspomnieniami.

* * *

Nie zrobiłam ani kroku, a jednak opuściłam to cuchnące miejsce gdzieś na środku Hałdowiska i ponownie spojrzałam w oczy dingochłopotom Jamona. Tym razem nie miałam związanych rąk, unieruchomionych nóg...

Nie zauważyli, że się zbliżam.

Pięści i nogi, narzędzia sprawiedliwości.

Krew huczy w żyłach.

Nie czułam się źle. Ani dobrze.

Coś mnie lekko uderzyło nad kolanem. Ktoś.

– Dziękuję. Nic pani nie jest?

Ten głos budził we mnie niejasne wspomnienia. Czy go kiedyś słyszałam?

Nie w koszarach?

– Idź już. Pewnie przyjdą ich szukać. No, chłopaki z Plastyka.
Chłopaki z Plastyka?

* * *

Gdy nagle się ocknęłam, przede mną leżało dwóch nieprzytomnych facetów.

Ten sam głos mówił dalej:

– Jeszcze nikt dla mnie tyle nie zrobił.

Obejrzałam się. Spoglądała na mnie młoda, drobniutka dziewczynka. Nie miała rąk.

– Musiałam. – W moim głosie dźwięczała dziwna, odległa, nieznana mi nuta. Właśnie o mało nie wyprawiałam na tamten świat dwóch nieznanym, i to gołymi rękami, w dzikim transie.

Dziewczyna uśmiechnęła się nieporadnie. Mam nadzieję, że był to uśmiech.

– Całe szczęście... inaczej już bym nie żyła. – Gdy powtórnie uderzyła mnie w nogę, zauważyłam, że posługuje się stopą, nie ręką. – Musisz stąd zniknąć. Pokażę ci drogę. Połóż rękę na moim ramieniu. Chcę się jakoś odwdzięczyć.

Nie miałam nic przeciw. Zaraz też oddaliśmy się od kałuży krwi. Prowadziła mnie jak pies ślepego właściciela wąskimi przesmykami wśród sypiących się murów, aż znalazłyśmy się w prymitywnym szałasie, ukrytym pod zardzewiałymi schodami.

Siedziałam w słabym świetle latarki, gdy ścierała mi krew z rąk mokrą ścierką, którą następnie wyżeła nad starym kołpakiem samochodowym. Sama przy tym poplamiała nogi. Wycierała mnie naprawdę starannie, wiele razy, aż znikły czerwone ślady.

Obite knykcie mocno mi napuchły. Posłużyłam się pięściami, choć mogłam ich pociąć na cacy. Dlatego jeszcze żyli. I dobrze, że tak się to skończyło. Zemsta bynajmniej nie osładza zabijania.

Wyszła z budy z kołpakiem między kolanami. Po powrocie popatrzyła na mnie niepewnie. Chyba miała sińce pod oczami.

Przypomniała mi się Doll.

– Skąd jesteś? Nigdy cię nie widziałam w okolicach Rosy.

– Rosy?

– Villas Rosa.

Villas Rosa, slumsy na Hałdowisku. Slumsy w slumsach.

Naraz dostałam histerii. Wyrzuciłam z siebie potok słów, aż mi przeszło:

– Mieszkam na Torleyu, to północne rewiry. Opiekuję się kimś, takim rudym gościem. No i... coś nam się przydarzyło. On czeka na mnie dwa, trzy kilometry stąd. Muszę go odnaleźć!

Popatrzyła na mnie innym wzrokiem.

– A więc to ty – szepnęła z rosnącym podnieceniem. – Czyli dobrze myślałam.

– O co ci chodzi? – spytałam ostro. – Za kogo mnie bierzesz?

Trochę dziwne pytanie, żeby je zadawać bezrękiemu dzieciakowi, który mieszka w psiej budzie w najbiedniejszej dzielnicy. A jednak pod sińcami i warstwą brudu malowała się niezmacona pewność siebie. Intrygujące.

– Ścigają was media. I interrogator. Mówią o tym we Wspólnej. – Kiwnięciem głowy wskazała mały, poobijany aparat sieciowy.

Każdy mógł nadawać we Wspólnej Sieci, takim CB-radiu z wizją. Wystarczyło mieć sprzęt, dobre słońce i właściwą częstotliwość.

– Muenowie gadają i gadają. – Poruszając palcami stóp, naśladowała kłapanie ustami. – A ja słucham. Muenowie mówią, że wyzwoli ich ta, co nosi wieniec z piór. Śpiewają pieśni na twoją cześć.

Wieniec z piór? Fuj! Wspomnienie spotęgowało posmak krwi w ustach. Usiłowałam wybiec myślami w przyszłość, oderwać się od tego, co się właśnie stało: lania sprawionego dwóm facetom. Czułam się jeszcze roztrzęsiona, aczkolwiek, o dziwo, nie miałam wyrzutów sumienia.

– Jak ci na imię?

W odpowiedzi tylko pokręciła głową. Nie spuszczała ze mnie swoich szarych oczu, które wydawały się nieproporcjonalnie duże, biorąc pod uwagę szczupłość twarzy, ocienionej brązowymi, skudłaconymi włosami. Z pewnością nie miała więcej niż jedenaście lat.

– A sama siebie jak nazywasz? – spróbowałam ponownie.

– Nikt ze mną nie gada. Nikt mnie nie woła.

Nikt ze mną nie gada?

Ktoś powie, że się rozklejam, ale żeby żyć w świecie, w którym nikt się do ciebie nie odzywa... Po prostu nie mogłam przejść obok tego obojętnie.

– No dobrze, to ja z tobą pogadam. Mam na imię Parrish, a ciebie nazwę... Bras. Co ty na to?

Na jej twarzy spontanicznie pojawił się wyraz, który już niedawno widziałam i którego nienawidziłam: ufność. Zdusiłam w sobie jęk zawodu. Już sam Stolowski narobił mi masę problemów. Żal mi było dziewczynki, ale co mogłam zrobić?

Ile takich jak ona wegetowało na Hałdowisku?

– Bras wie, gdzie znajdziesz rudego. Bras pomoże. – Wymawiała swoje imię z nieskrywaną fascynacją, przedłużała jego brzmienie.

Pogłaskałam ją czule po chudym ramionku. Jej bluzeczka zeszywniała z brudu, bezużyteczne rękawy dawno oderwała.

– Dzięki, Bras, ale ze mną niebezpiecznie przebywać.

Krnąbrnie wyduła usta.

– Teraz Bras należy do ciebie. Zjemy i potem poszukamy rudego.

Spod sterty śmieci w rogu szalasu wygrzebała niedojedzony ochłap, który mógł być kiedyś tabliczką pro-substa. Z poważną miną podała mi go stopą.

– Spróbuj pierwsza.

Uświadomiłam sobie, że od czasu dzisiejszego spotkania z Io Langiem nie miałam nic w ustach, lecz pro-subst wyglądał, oględnie mówiąc, mało apetycznie. Widok zeber pod przeświecającą koszulką dziecka też zrobił swoje.

– Zjesz to sama, Bras, a później pokażesz mi, gdzie jest Stolowski. Dam ci pieniądze. – Namacałam ostatniego kredyty.

Bras przez chwilę ssała rozek tabliczki, potem oderwała zębami małeńki kawałeczek. Przed pogryzieniem dokładnie zwilżyła go śliną. Przełknęła trzy kęsy i resztę odłożyła do kieszeni.

– Bras nie chce pieniędzy. Ludzie zabijają Bras, żeby wziąć pieniądze. Bras zostanie z Parrish.

– Skąd bierzesz jedzenie, jeśli nie masz kredytów? – Dość głupie pytanie, zważywszy, że zdążyłam się przyjrzeć, jak żyje.

Czasem jednak o pewne rzeczy po prostu trzeba zapytać.

– Bras je słabe jedzenie.

– Słabe jedzenie?

Chyba zastanawiała się, jak mi to przystępnie wytłumaczyć.

Aż nagle pogmerała stopami w stercie odpadków, przetrząsając je z wprawą.

– Kiepskie jedzenie, no wiesz, zostaje, jak Muenowie skończą.

– Śmieci – powiedziałam twardo. – Jesz śmieci wyrzucane przez Muenów?

Wyraźnie się oburzyła.

– Jakie tam śmieci! Dobre jedzenie. Tylko słabe.

– Bez obrazy. – Aż nagle mnie oświeciło: – Nie jesteś czasem spokrewniona z Muenami?

Uśmiechnęła się smutno.

– Z Muenami nie. – Pod wpływem następnej myśli nieco się rozpogodziła: – Bras wie, kto to Parrish. Parrish jest Oją.

– Oją? – Różnie mnie nazywano, ale tak chyba nigdy... – Bras, muszę odnaleźć rudego, i to szybko. Pomożesz mi?

Uśmiechnęła się i skinieniem stopy wskazała drogę w ciemności.

* * *

Bras swobodnie poruszała się w mroku, do tego miała w sobie zadziwiająco energię. Niedożywiona kaleka maszerowała szybciej ode mnie, szła przez życie z podniesionym czołem, zawsze do przodu, pokonując przeszkody. Zapraǳnęłam dać jej do zjedzenia coś przyzwoitego, może nawet wystarać się o protezy.

Chciałam umyć jej włosy, doprowadzić ją do porządku.

Wybierała skróty, które prowadziły nas do celu dwa razy szybciej. Wiedziałam, że mieszka tu w okolicy kupa ludzi, a jednak czułam się jak na pustkowiu.

– Gdzie się wszyscy podziali? – spytałam.

– Boją się Wielgusa. Siedzą w domu. Bras się nie boi.

Zatrzymała się i ruchem głowy wskazała mającący w ciemnościach budynek, bliźniaczo podobny do wielu innych.

Miałam wątpliwości.

– Jesteś pewna, Bras?

Cmoknęła z niecierpliwością.

– Jestem pewna.

Dom od frontu niczym się nie różnił od swoich sąsiadów, bliższych i dalszych. Jedynie wąska smuga światła, sącząca się z okna na parterze, pozwalała przypuszczać, że w środku są lokatorzy.

Bras bez uprzedzenia śmignęła na dziedziniec, trochę jak krab pozbawiony szczypiec. Co rusz przystawała i nadstawiała uszu. Myślałam, że jej ostrożność bierze się z przyzwyczajenia, póki nie zauważyłam dziwnego poruszenia w najgłębszym cieniu pod murkiem, który w dawnych czasach odgradzał przydomowe rabaty.

– Bras, czekaj!

Nie zwracając na mnie uwagi, dziewczyna podpełzła do końca murku, gdzie przystanęła na dłużej. Ktokolwiek czał się pod osłoną nocy, zamarł w bezruchu. Przeczynałam, że dostrzegł Bras. Ciarki mi przeszły po krzyżu.

Nie miałam jak jej ostrzec, a nie zależało mi na wywołaniu awantury. Wyteżałam wzrok z nadzieją, że ukryty osobnik ma inne sprawy na głowie niż polowanie na bezdomnego dzieciaka.

Ale czy cokolwiek w życiu układało się po mojej myśli?

Ostrzegło mnie jedynie krótkie, widoczne z daleka błysniecie wyświetlacza diodowego, zanim coś schwytało dziewczynkę i przerzuciło w mrok za murkiem. Kiedy zrozumiałam, co jest grane, żołądek tak mi podskoczył, że chyba wbił się w płuca.

Terro dorwał Bras!

Nie było czasu na rozmyślanie, strach mnie uskrzydlił. Pokłusowałam środkiem dziedzińca, aż się za mną kurzyło. W miejscu gdzie uprowadzono Bras, długim susem przesadziłam murek, przymierzając się butami do solidnego kopa. Przy odrobinie szczęścia tytanowym okuciem rozkwaszę procesor. Niestety, trafiłam w pustkę i o mało nie wyrznęłam plecami w stertę gruzu.

Podźwignęłam się do, może nie całkiem podręcznikowej, pozycji w kucki, włączyłam lampkę i spróbowałam rozejrzeć się wkoło. Terro znikł, ale w świetle ukazała się para zielonych, złośliwych ślepi.

Psioszczur! Olbrzymi, wpieniony i głodny. Dwukrotnie większy od rosnącego dobermana, z długim, typowo szczurzym ogonem. Z masywnej paszczy ściekały mu łańcuchy śliny.

Bez namysłu zaatakował i spadł mi na pierś. Grzmotnęliśmy na ziemię. Gdy jedna łapa wcisnęła mi się pod pachę, odruchowo przycisnęłam rękę do boku i ją uwięziłam. Drugą ręką wyszarpnęłam pistolet spod cienkiej kurteczki.

Zwierz obnażył zębiska, żeby przeorać mi twarz, ale zanim to zrobił, odstrzeliłam mu jaja. Z nieziemskim wręcz wyciem zlaźł ze mnie, podwinął ogon pod okrwawiony brzuch i powłókł się w mrok. Kiedy wstałam, cała rozdygotana, usłyszałam, jak ludzkie i zwierzęce ścierwojady kłóca się nad padliną.

No i zapomnij, Parrish, że coś zrobisz po cichu!

Dobra, ale dokąd terro zabrał Bras?

Jak na komendę, dziedziniec rozjaśniły krzyżujące się snopy światła. Muenowie tłoczyli się w bramach wokół okrągłego placu, wybuchł gwar podnieconych głosów. Niektórzy wychylali się z okien.

Z wrzawy można było wyłowić powtarzające się zdania:

– Wielgus zabity!

– Oja załatwiła Wielgusa!

Oja? Tak o mnie mówiła Bras.

Drzwi naprzeciwko otworzyły się i po schodach stoczył się Stolowski. Za nim ukazała się delegacja Muenów, choć woleli trzymać się na odległość.

– Parrish, wróciłeś po mnie. – Jego uśmiech, nawet w strzępach poświęty wydobywającej się z wnętrza domu, promieniał własnym blaskiem.

Walnęłam go w ramię. Naiwny rudzielec chyba nie liczył na ciepłe, miłutkie powitanie, skoro stałam przed widownią nożowników, którzy nazywali mnie Oją, a na ubraniu miałam polewkę z psioszczurzych genitaliów. Tak czy owak, martwiłam się teraz przede wszystkim o Bras, porwaną przez interrogatora.

Stolowski trząśł się trochę, ale nic mu nie było.

– Co słyhać? – spytałam zdawkowo.

Zauważył, że jestem nie w sosie.

– Po tej akcji z krwią i piórami... no... oni myślą, że jesteś ich wiedźmą, wojowniczką czy coś takiego. Pilnowali mnie, ale nie zrobili mi nic złego. – Zerknął przez ramię. – Czekali, aż przyjdiesz. Śpiewali.

– Nie tylko oni tu na mnie czekali – powiedziałam, przybita.

Po skoku adrenaliny przyszła apatia i tępy ból w mięśniach.

– Terro nas zdybał.

Nawet nie patrzyłam, jak zareaguje na tę nowinę. Przełączyłam wędki na maksymalną

czułość. Interrogatorzy śmierzeli nie ogryzionymi kośćmi i poruszali się szybciej niż ludzie na doping. Jeśli ten wracał po Stolowskiego, chciałam to wiedzieć zawczasu.

Choć nie wydawało mi się, żeby tak od razu wrócił na polowanie. Interrogatorzy filmowali swoje przygody i przesyłali je pilotom, ci zaś przekazywali materiał stacjom, które dwadzieścia cztery godziny na dobę puszczały na żywo „kopane” reportaże: „Nakopać po ryju”, „Kopanie leżącego”, „Odnaleźć i skopać”, „Dziś znowu kopujemy”. Tytuły się zmieniały, ale treść nigdy.

Przemoc na ekranie świetnie się sprzedawała.

Filmowanie na żywo było stare jak świat, lecz szpiegusy i interrogatorzy, wcieleni w rolę bezlitosnych strażników prawa, rozgrzewali emocje i śrubowali statystyki oglądalności. Pewnie trzy czwarte mieszkańców planety obejrzało już sobie, jak porywano Bras, a ja bezradnie próbowałam ją ratować. Może ten wątek sprawi, że terro na chwilę przestanie gonić za Stolowskim.

Pomyślą, że przyda się taka mała gra wstępna.

Zakłęłam pod nosem. Następnym razem – i niech się wali widownia! – żaden mikrochip w blaszanym pudełku nie zrobi ze mnie idiotki na potrzeby płatnej telewizji.

– Oja?

W półkole światła lampki górniczej wszedł tłusty Mueno z krwistoczerwonymi, jedwabnymi gaciami, podciągniętymi wysoko na słoniowate biodra. Jego długie włosy, splecione w warkocz, lekko połyskiwały, w dodatku pachniał czystością.

W porównaniu z Bras wydawał się skandalicznym obżartuchem.

– Oja? Słyszeliśmy, że przysłaś.

– Coście słyszeli? – spytałam ostrożnie. Prawdopodobnie przypasowali mnie do jakiegoś starego mitu. Człowiek potrzebuje oparcia w bohaterach bez względu na swoje przekonania religijne. Muenowie pod tym względem mieli straszego fioła, ale nie dziwota, skoro taplali się w koktajlu z voodoo, technokultu i wiary katolickiej. W niebie urzęduje Bóg, a z nim zwierzęta... i maszyny. Już widzę ten tłok!

– Przybywasz, Oja, żeby dowodzić bitwą. – Pokłonił się. – Muenowie pójda za Oją.

Pójda za Oją? Na bitwę?

Mój świat z każdą chwilą był bardziej pokręcony!

– Jak się nazywasz?

Na jego nalanej twarzy niepewność przemieszała się z radością. Bałam się, że zaraz przede mną rąbnie na kolana.

– Mówią na mnie Pas, Oja. Jestem hounganem i strażnikiem ceremonii.

Houngan u Muenów jest odpowiednikiem znachora. Ale że równocześnie strażnik ceremonii? W tej zawszonej dziurze?

To się nazywa wolna przedsiębiorczość!

– Podlegasz Topazowi?

Splunął z niekłamanym obrzydzeniem i kiwnął głową.

– Topaz był silnym przywódcą. Teraz para się mojo z człowiekiem z Disu.

Mojo z człowiekiem z Disu? Mojo to czarna magia. Chodziło pewnie o Langa. Wspominając nieoczekiwane przyjęcie u Jamona, żałowałam, że nie wiem, czemu właściwie się odbyło.

– No dobrze, Pas, strażniku ceremonii. Muszę się dostać do Wieżowego Miasta, i to migiem.

Pokiwał głową w zamyśleniu.

– Zabierzemy cię do granicy, Oja. Dalej iść nie możemy, bo rzuca się na nas. Tego chcesz?

– Nie, Pas – odpowiedziałam pośpiesznie. – Wystarczy do granicy. Ruszajmy! – Lada chwila mógł mnie dorwać terro.

Jednakże Pas się wahał, bił się z myślami.

– To co mamy robić, kiedy odejdiesz?

Tłum zamarł w napięciu, jakby im wszystkim chodziło po głowie to samo pytanie.

Najchętniej bym wypaliła: A skąd mam wiedzieć, do cholery?

Tylko czy tak się odpowiada gromadzie nożowników, którzy się martwią, że nie wiadomo czemu zostaną nagle zostawieni sami sobie? Nie! Robi się chwacką minę i mówi:

– Wezwę was, gdy nadejdzie pora.

Taka odpowiedź najwyraźniej uradowała Pasa. Szmer ściszonych głosów świadczył o powszechnym zadowoleniu.

I nagle coś mi strzeliło do łba. Może nie pomogę Bras, ale przecież było tu więcej zabiedzonych dzieciaków.

– Wiesz co, Pas? Póki nie dostaniecie ode mnie wiadomości, wykonacie pewne zadanie.

Co było do przewidzenia, wypiął pierś z poczuciem ważności.

– Czego sobie życzysz, Oja?

– Chcę, żebyście dali jeść wszystkim małym, głodującym sierotom.

Nawet w tym mętym świetle wyraźnie dostrzegłam jego zszokowaną minę.

– Ale... ale tu bieda, brakuje jedzenia... – wydukał.

Mam nadzieję, że swoim zjadliwym uśmiechem nie przyniosłam ujmy wizerunkowi Oi.

– Wiem, musicie sobie jakoś poradzić.

* * *

Razem ze Stolowskim i czterema Muenami skierowałam się na północny wschód, w stronę Disu. Po drodze gryzłam się losem Bras, lecz tropienie interrogatora miało się z celem.

To on mnie znajdzie. I przekona się, że wystawienie Bras na talerzu z przystawkami było kiepskim pomysłem. Jeśli zobaczę jego szkieletową japę, rozkwaszę ją na oczach milionowej

widowni. Jak? To się jeszcze zobaczy.

* * *

Kiedy przemierzaliśmy krainę voodoo, Stolowski dreptał za mną tak blisko, że jego oddech chłodził mnie pod pachami.

Staralam się oddychać równo i głęboko, inaczej dawno bym dupnęła gościa. Jak trzeba, mogę być cierpliwa.

Muenowie, których Pas wybrał do eskorty, pod względem otyłości niewiele mu ustępowali, lecz włosy mieli luźno rozpuszczone, opadały na kark lśniąca falą. Kobiety na tym terenie krótko się strzygły, co w moim odczuciu dawało praktyczne korzyści. Długie włosy podczas walki to fatalna sprawa, gorzej niż biżuteria. Znałam faceta z północnej dzielnicy, który chwalił się swoim szczęśliwym sygnetem. Żaden kastet się nie umywał, tak mówił. Pewnego razu nadział się na interrogatora. Ten mu bez ceregieli wyrwał cały palec. Luźne włosy też mogą załatwić człowieka. Dlatego swoje dredy zawsze związywałam.

Rankiem byłam już tak zmordowana, że rozbolały mnie zęby. Stolowski też już gonił resztką sił, ale nie zostawał w tyle.

Na pewno bał się, że znowu go porzucę.

Wczesnym przedpołudniem sznury ludzi na chodnikach i w wąskich przejściach wręcz tamowały oddech. Żar uwięziony pod prymitywnymi dachami przypiekał jak otwarta kuchenka mikrofalowa. I jeszcze ten powalający smród niemytego ciała, i ta paplanina o zwykłych, codziennych problemach.

Mogłam tylko zgadywać, ile już przeszliśmy. Na szczęście kompas wskazywał, że wciąż podążamy na północny wschód, czyli, na moje oko, w samo serce Trójki.

Gdybym teraz wpadła na interrogatora, to obawiam się, że kiepsko byłoby u mnie z refleksem. Zmęczenie, tłumy, skwar.

W głowie mi się kręciło.

Odezwałam się więc do najbliższego z Muenów, którzy dla bezpieczeństwa otoczyli nas luźnym półokręgiem.

– Muszę coś zjeść. – Sięgnęłam do kieszeni po ostatniego kredyta. Tego co przedtem dawałam Bras.

Mueno podszedł do mnie, odsunął moją rękę i zniknął. Po chwili wrócił z dwiema gigantycznymi tortillami, nafaszerowanymi tłustym mięchem i kawałkami niezidentyfikowanej materii organicznej.

Kto siedem dni w tygodniu żywi się pro-substami, powiedziałyby: niebo w gębie. Mój żołądek się burzył, ale jakoś to wszystko zmlóciłam. Stolowski miał mniejsze możliwości.

Po zjedzeniu trzech czwartych zrzygał się na swoje bosc nogi.

Szkoda jedzenia.

Maszerowaliśmy nieprzerwanie w tym samym kierunku.

W końcu słońce przestało prażyć, więc musiało już być późne popołudnie. Kilka razy oparłam się pokusie wskoczenia na motorower albo na malucha. Mam swoją dumę.

W pewnej chwili z głuchym pomrukiem minął mnie jadący na pół pary gaz-gaz. Rzucił mi się w oczy, bo w ciasnym śródmieściu nieczęsto można spotkać prawdziwy motocykl. W dodatku kierowca wlepił we mnie gały, nim zjechał na bok i zgubił się w tłumie. Zastanawiałam się, czy nie był to ktoś ze Wspólnoty, ale trudy wędrówki nie pozwalały mi skupić myśli.

Stolowski wisiał między dwoma Muenami jak ubite zwierzę na zerdzi. Czasem pojękiwał. Obiecałam sobie, że zaraz po rozstaniu ze świtą wyszukam kryjówkę, w której się wyśpimy. Sama już ślaniałam się na nogach, lecz śpiąc pod opieką koleżków Pasa, nie czułabym się bezpiecznie.

Okazało się, że jesteśmy już prawie na miejscu. Od pół godziny zauważałam drobne różnice w architekturze zabudowy... jeśli architektura to nie za duże słowo.

Trójka składa się przede wszystkim z kręgów budynków, połączonych ze sobą pasażami, dziedzińcami i placami po dawnych parkach lub stawach. Te „dziury” wypełniały się zwykle szałasami i usmarkanymi namiotami. Z niektórych ewakuowali się ludzie (jak stamtąd, gdzie znalazłam Bras) – zwykle dlatego, że pod popękanym chodnikiem pokazywała się zatruta ziemia.

Ten układ stopniowo się zmieniał, aż w końcu kręgi ustąpiły szeregom. Niezliczone szeregi maleńkich mieszkańek biegły jeden po drugim na podobieństwo dziecięcych budowli z klocków.

Wieżowe Miasto.

– Oja. – Facet, który kupił tortille, zbliżył się do mnie i uklonił. – Dalej nie idziemy.

Patrzyliśmy sobie w oczy pod koślawymi resztkami schodów pożarowych. Pokiwałam głową i rozejrzałam się za szyldem tradycyjnego punktu pobierania opłat. Ciekawe, ile mnie to wszystko będzie kosztowało?

– Dziękuję. Powiedz Pasowi, że będę pamiętała.

Dwaj, którzy dźwigali Stolowskiego, puścili go bez ceregieli. Bęcnał przede mną o ziemię, blady i spocony. Trzeba mu będzie dać czystą wodę do picia. Pochodził ze wsi, więc jego układ odpornościowy wymiękał w starciu z miejskim żarciem.

Kiedy Muenowie rozplnęli się w dali bez śladu, zastanowiłam się nad sytuacją. Jak szukać Darka, skoro Stolowski najprawdopodobniej gębnie po dwóch krokach? Aż się ślaniał ze zmęczenia. Westchnęłam. Jeśli nie weźmie się w garść, będę musiała znowu go postraszyć.

Uśmiechnęłam się na wspomnienie wielgachnego kmiota w skórze. A ostatnio rzadko co poprawiało mi humor.

Podszedł do nas dealer z plamistą cerą, ostrymi rysami twarzy i teatralnie ułożoną fryzurą,

żeby czymś zahandlować.

– Kiepsko wyglądacie – zagadał. – Mam dobry towar, kiciu. Płacisz, nie tracisz.

W odróżnieniu od typowych Muenów miał łaciatą twarz, a jego różowe, odblaskowe buty na wysokim obcasie, z cholewką do pół uda, z daleka kłuły w oczy. Muenowie woleli zwykłe wojskowe buty. Ciekawe, co robił tak daleko od Plastyka.

– Ile za dobry koks na pobudzenie? – Wiedziałam, że w tej chwili organizm Stolowskiego jest za słaby na doping. Mogłoby się skończyć zawałem serca. Normalnie łatwo postawiłabym go na nogi, ale nie miałam kasy i sprzętu do reanimacji.

Jeśli miał być koks, to dla mnie.

– Trzy stówy.

– Trzy stówy?! – Byłam zmęczona, ale nie głupia. – Dam pięćdziesiąt, ale dorzucisz jakieś lity.

Uśmiechnął się kącikiem biało-brązowych ust.

– Znasz się na rzeczy. Skąd jesteś? – Dał mi opakowanie oraz dermę zapisaną nazwami popularnych elektrolitów.

Wycisnęłam z dermy odrobinę na palec i skosztowałam.

Próba wypadła pomyślnie, więc przywalałam wszystko Stolowskiemu na rękę. Potem rozbroiłam opakowanie.

Dealer pochylił się i wydzielił wąską działkę za pomocą dwóch błyszczących, ostrych jak igła implantów paznokciowych.

Pewnie często się nimi posługiwał w swoim fachu. Widziałam takie u innych, ale im przeważnie służyły do krojenia.

Uśmiechnął się do mnie z rezerwową miną, która obudziła moją podejrzliwość.

– Coś ci powiem. Masz daleko do domu, więc nim zabulisz, pozwolę ci spróbować towar. Już bardziej nie mogę pójść ci na rękę.

Tak szybko, że nie zdążyłam zareagować, igłą paznokcia wpakował mi działkę w rękę.

Natychmiast odjechałam, choć udało mi się – czysty refleks! – tak go palnąć, że wyłożył się kilka metrów dalej. Niebawem zrozumiałam prawdę. Instynktownie, bo odjazd był zupełny.

Dostałam środek nasenny. Po paru chwilach z dzikiej euforii został tylko szum w głowie. Zatoczyłam się niezdarnie w stronę Stolowskiego. Chciałam mu wszystko wytłumaczyć, ale język mi skołowaciał.

Stolowski zbliżył się, żeby mnie chwycić, gdybym całkiem straciła równowagę. Przynajmniej dealer leży i się nie rusza, pomyślałam. Padając, zauważyłam przy chodniku zaparkowanego gaz-gaza.

ROZDZIAŁ 8

Moimi żyłami przefrunął anioł, który łopotem ciężkich, złotoczerwonych skrzydeł wymiatał resztki środka nasennego. Zdenerwowany nie na żarty obecnością szkodliwych związków chemicznych. Miałam nadzieję, że zbliży się do moich oczu, wypatrywałam jego twarzy, chciałam ją wreszcie poznać...

Wmieszały się czyjeś głosy.

– Nie żyje?

– Żyje, ale dałam jej końską dawkę. Jeszcze trochę pokima. Mam praktykę w tych sprawach.

– A Stolowski?

– Lity pomogły. Wracają mu siły. Ale stopy... brr...

– Jak to?

– Oparzenia trzeciego stopnia, pęcherze, infekcja. Wygląda na to, że nawet na nie rzygał.

Wyteżałam słuch, a zarazem stopniowo oddzielałam obrazy anioła od dźwięków rozmowy. Mąciło mi się w głowie, lecz ciało wydawało się ożywione, pobudzone dotykiem anioła, nastawione na więcej.

Pierwszy głos rozpoznałam dość szybko. Cwany dealer.

Drugi też brzmiał znajomo, a jednak nie mogłam go z nikim skojarzyć. Staralam się oddychać równo i spokojnie, a jednocześnie pilnie nadstawiałam ucha.

Dealer mówił dalej:

– Zająłem się nimi, ale facet przez parę dni nie będzie mógł chodzić. Do tego łupie mnie głowa.

Dostał ode mnie w łeb, przypomniałam sobie z satysfakcją.

– Opiekuj się nim, Styro, niech się nie rzuca w oczy. Ostatnie tygodnie dały mu się mocno we znaki.

– Jasne. A co z nią? Co mam zrobić, kiedy się obudzi?

– Popytam, jak ugadała się z Langiem. Nasze plany mogą się jeszcze pokomplikować.

– To groźny facet, szefie.

– No i druga sprawa: Topaz traci poparcie. Chodzą słuchy, że bawi się amuletami. Stolowski

powiedział, że Muenowie nazywają Parrish Oją.

– Oją?

– Oja to żeński odpowiednik Orisy, ducha mocy. Zgodnie z pradawną legendą, ktokolwiek włoży wieniec z piór, obroni ich w przyszłości. Stolowski mówi, że kiedy próbowali wyjść z domu Muenów, spadły jej na głowę pióra kurczaka i poplamiała sobie twarz krwią. Teraz chcą walczyć pod jej dowództwem.

Styro odkaszlnął.

– Nie wiadomo, czy nie spełnią się ich nadzieje. Ona wie, kim jesteś?

– Jeszcze nie.

Dark! Sam głos znałam, i owszem, ale ten ton! Ostry i pewny siebie. Gdzie się podział tamten nierozgarnięty byczek, którego spotkałam u Heina?

Wyruchał mnie! Kiedy w końcu zacznę uczyć się na błędach?

– Lepiej nie rozpowiadać, że wróciłeś – powiedział dealer.

– Jasna sprawa. Dlatego pozwoliłem jej wziąć Stolowskiego. Pomyślałem sobie, że ona ściąga na siebie mniejszą uwagę. – Westchnął. – Cóż, myliłem się. Miej oko na Stolowskiego, dobra? Ja tu trochę posiedzę. Wolę być przy niej, kiedy dojdzie do siebie, inaczej ktoś może zginąć.

– Ta dziewczynka lubi rozrabiać.

Dziewczynka! Trzeba mu było dokopać, gdy leżał.

– Ja bym jej tak nie nazywał. – Dark się roześmiał. – Przynajmniej nie w jej obecności.

Styro zamknął za sobą drzwi, a we mnie się kotłowało.

– Już dobrze, Parrish. Możesz usiąść.

Uchyliłam powiekę. Dosłownie kapkę, nie więcej. Dark siedział na krześle trzy kroki ode mnie, oparty plecami o ścianę maleńkiego pokoiku, ubrany w koszulkę i dżinsy. Elektryczna dłoń leżała mu na kolanie.

Zastanawiałam się, czy nie zignorować jego uwagi, ale zdrętwiałe mięśnie prosiły się o rozprostowanie. Podźwignęłam się na łokciach, opuściłam stopy na ziemię i odwróciłam się w drugą stronę. Ktoś powie, że jestem nadęta, ale przecież ten facet nawcisnął mi kitów, kazał mnie uśpić prochami – i taki ma oglądać moją buźkę, kiedy wygrzebuję się z wrednego narkotykowego kaca?

Przetarłam policzki rękami.

– Kmiotek wyrzuca skórzane wdzianko i przebiera się za przywódcę gangu – wychrypiałam uszczypliwie. Miałam wrażenie, że usta mi się posklejały.

– Zrobiłaś dwa dodać dwa, Parrish, i wyszło ci coś z minusem. Nie przyjechałem ze wsi, urodziłem się w mieście.

– Stolowski? – Nic więcej nie zdołałam z siebie wydusić.

– Ma się dobrze, tylko musi nogi podleczyć. Mogłaś mu się wystarać o buty.

– Mogłam mu się wystarać o buty, też coś! – warknęłam i ze złością obróciłam się na łóżku.

– Według ciebie co robię od dwóch dni? Myślisz, że wygrzewałam się w słoneczku na Cable Beach?

Dark parsknął śmiechem.

– No, w końcu raczyłaś na mnie spojrzeć.

Dobra, sam się o to prosił. Wstałam, podeszłam do niego na chwiejnych nogach... i zniecierpliwiona położyłam mu ręce na kolanach, aż krzesło wyprostowało się z hukiem. Potem spojrzałam mu w oczy z tak bliska, że prawie stykaliśmy się nosami.

– I co, lepiej? – burknęłam z nadzieją, że mój oddech jest tak samo syfny jak posmak w ustach.

Odruchowo podniósł dłonie w geście obrony. W jego komiksowych oczach nie odbijała się głupota, co najwyżej rozbawienie. I cień wahania.

Lubiłam te chwile, gdy ludzie nie wiedzieli, do jakiego stopnia mnie wkurzyli.

Wziął głęboki oddech i dmuchnął mi w twarz. Poczułam przyjemny, słodki zapach.

– Nie chciałybyś skorzystać z łazienki? Mamy tu jedną; trochę obskurna, ale zawsze coś.

Cofnęłam się i wyprostowałam. Możesz chuchnąć na kogoś cuchnącym oddechem, ale gorzej, jeśli ktoś grzecznie zwróci ci uwagę, że powinieneś popracować nad sobą w łazience. Miałam straszną chętkę obić mu tego wypieszczanego ryja, ale się pohamowałam. Mógł mi jeszcze odpowiedzieć na kilka pytań.

– Dzięki, ale nie ma to jak zepsuty oddech. Odstrasza kretynów.

Pokiwał głową, jakby się ze mną zgadzał. I nagle utkwił we mnie świdrujące spojrzenie.

– Co ci proponował Lang? Wiem, że spotkaliście się u Monda. O co cię poprosił? I co ma z tym wspólnego Jamon?

Gapiałam się na niego ze zdumieniem.

– Gadaj lepiej, ktoś ty za jeden. Przez dwa dni szwendam się po Trójce z twoim słodziutkim znajomkiem, a ty robisz mnie w bambuko! A tak w ogóle, kto tu komu powinien zadawać pytania?!

Czubkiem prawdziwego palca dotknął ust. W dzinsach i pomiętej koszulce wyglądał jak model z rozkładówki. Praktycznie czułam zapach płynu po goleniu. Spaloną na brąz czaszkę okrywał cień zarostu. Zastanawiałam się, jak by wyglądał z włosami.

– Stolowski powiedział ci, skąd przyjechał? – spytał.

– Jasne. Jemu wierzę.

– Więc uwierz i w to: też tam byłem. Siłą mnie zaciągnęli.

– Winisz Jamona lub Langa?

– Trzy lata w Trupim Sercu. Kumple, których tam poznałem, marli na moich oczach. W

pracy, we śnie, po jednym lub po dwóch, codziennie. Życie nauczyło mnie paru rzeczy. Odróżniać sprawy ważne od nieważnych. Pilnować własnego interesu. Przedtem tego nie rozumiałem. – Mówił z troską na twarzy. – Załóżmy, że Jamon Mondo i Io Lang nie pilnują własnego interesu.

– Mówisz zagadkami! – burknęłam. Fakt, niewiele mi wyjawiał.

Jeśli Dark miał z kimś porachunki, proszę bardzo! Ja chciałam tylko wyświadczyć przysługę Langowi, żeby wyrwać się ze szponów Jamona Monda. Potem, jeśli terro mnie nie znajdzie, ostrzelam szpiegusa i go zwabię. Bras mogła już nie żyć, ale coś mi mówiło, że jest inaczej. W każdym razie terro słono zapłaci za to, że wykorzystano bezbronne dziecko do poprawienia oglądalności.

– A więc tu mieszkasz – powiedziałam. – A dawniej?

Blady uśmiech zadrżał na jego wargach.

– Chcesz powiedzieć, nim cię poznałem?

– Mniejsza z tym.

Powstał płynnym, swobodnym ruchem – bez uprzedniej ociężałości, którą prezentował u Heina i u mnie w domu.

Rozpierała go energia, o jaką nigdy bym go nie podejrzewała.

W sumie był ode mnie kilka centymetrów wyższy i miał zwalistą, choć prężną sylwetkę. Takie jak my drągale nie mają w Trójce łatwego życia. Dark musiał uważać, żeby nie wyróżnić głową w sufit. Usłyszałam w wyobraźni odległy pisk Mei, podnieconej widokiem jego nagiej klaty.

W porządku, przyznaję, facet był zarąbistym przystojniaczą!

W żadnym razie naiwnym.

I dobrze, nie potrzebował mojej pomocy. Tak samo jak Stolowski, byle trzymali się razem. Kamień z serca, naprawdę.

Mogłam bez skrupułów nienawidzić ludzi, którym nie byłam nic winna ani nie musiałam pomagać.

– Chcę pogadać ze Stolowskim.

Popatrzył na mnie spode łba.

– Dajmy mu trochę odpocząć.

– Słuchaj, dotrzymałam umowy, chociaż ty cedziłeś przez te białe ząbki same kłamstwa. Zamienię dwa słowa ze Stolowskim i się pożegnamy.

– A więc nie powiesz mi, o co prosił cię Lang?

– Trafiony, zatopiony, serdeńko.

Położył mi na ramieniu swoją prawdziwą rękę. Równie dobrze mógł mnie trachnąć elektrycznym paralizatorem. Podskoczyłam jak królik.

– Przepraszam, Parrish, że wprowadziłem cię w błąd, ale sprawy posuwały się w ekspresowym tempie. Dzięki tobie mogłem ukryć Stolowskiego i dopilnować innych rzeczy. Słyszałem, że jesteś twarda i zaradna. – Wzruszył ramionami, udając skruszonego. – Nawinęłaś mi się i skorzystałem z okazji. Wyszło super.

Ścisnęłam mu nadgarstek. Miał tęgie, umięśnione przedramię i ciepłe ciało. Na twarzy królowała mina, którą pamiętałam sprzed dwóch dni, gdy jeszcze udawał wieśniaka: wyrażała szczerość. Trzeba przyznać, że dałam się nabrać.

Teraz będzie inaczej!

– Chcę pogadać ze Stolowskim. – Czułam, jak mi się szczęki zwierają.

Upłynęła dłuższa chwila. Myślałam już, że odmówi, ale w końcu oderwał moje palce i wyszedł z pokoju.

Podążałam za nim długim korytarzem. U góry przez szachownicę zakratowanych okien sączyło się mętne światło. Na lewo i prawo znajdowała się masa pomieszczeń. Po pewnym czasie, kierując wzrok w stronę okien, zauważyłam, że znajdujemy się w jednym z segmentowców – konglomeratów mieszkań, które połączono do kupy jak wszystko w Trójce.

Dzięki implantowanemu kompasowi zorientowałam się, że akcję z dealerem miałam niedaleko stąd na południe.

Ostatecznie Dark zatrzymał się i wszedł na salę szpitalną, która zaskakiwała porządnym, nowoczesnym wyposażeniem. Żeby zdobyć więcej przestrzeni, wyburzono wiele ścianek działowych.

– Miło tu.

– A to dopiero początek – stwierdził oględnie.

Stolowski leżał z głową na poduszce, na czystym łóżku, w ciemnych okularach, z zabandażowanymi stopami. Wybrzuszenie kocyka wskazywało, że ma towarzystwo.

Podeszłam i zdarłam mu z nosa okulary.

– Lepiej ci?

Błysnął zębami w uśmiechu.

– O, Parrish. Już jesteś na nogach?

– Jestem przede wszystkim wkurzona.

Z zażenowaniem wsunął rękę pod kocyk i szarpnął.

– Ej, Parrish przyszyła.

Mei wyściubiła głowę i wcisnęła swe różowe włosy Stolowskiemu pod pachę.

– Cześć – powiedziała.

– Ty cholerna...

Rzuciłam się na nią z mordem w oczach, lecz niespodziewanie szybkim ruchem wyciągnęła nóż. Samym nożem nic by nie wskórała, lecz powstrzymał mnie Dark, którego sylwetkę

dostrzegłam kątem oka. Ręce opuścił swobodnie wzdłuż ciała, jakby szykował się do interwencji.

– Nie wyzywaj się na niej, Parrish – poprosił Stolowski. – Ona tylko chce mi pomóc.

Spojrzałam na niego niechętnie.

– Gadaj, byle szybko.

– Razem się wychowaliśmy na skraju trzech pustyń. Jej mama handlowała żywnością i kobietami z nami, pustynnymi farmerami. Byliśmy... no... była moją dziewczyną. Uciekła ode mnie, kiedy zabrali mnie do Trupiego Serca. Trafiła do miasta. Pomaga mi. Nie gniewaj się, Parrish, ale ja ją kocham.

Mei kręciła nosem, słuchając tych zwierzeń. Zastanawiałam się, jak wyglądałaby jej wersja wydarzeń. Trudno uwierzyć, że ktoś mógłby się zadurzyć w Mei.

Kiedy na chwilę opuściła gardę, wyrwałam jej nóż z dłoni i przy tym o mało nie złamałam jej nadgarstka. Przynajmniej tyle mogłam zrobić.

– Dobra, wszyscy wychodzą, zostaje Stolowski! – rozkazałam.

Mei ze złością wygramoliła się z łóżka, rozcierając przegub ręki, i podeszła do Darka. Objął ją ramieniem.

– Tylko nie szalej, Parrish – przestrzegł.

– Spadaj! – burknęłam.

Ciągnąc za sobą Mei, wycofał się do drzwi z wlepionym we mnie wzrokiem.

– Jeśli nie wyjdiesz w ciągu dziesięciu minut, wywlokę cię siłą.

Poczekalam, aż drzwi się zamkną, i usiadłam na skraju łóżka. Nie wiem, czemu to przypisać, ale spodziewałam się usłyszeć prawdę. Odłożyłam nóż. Wiedział tak samo jak ja, że nie użyłabym go. Chroniłam go od paru dni i na razie był przy mnie bezpieczny.

– Zaczynij od samego początku. Niczego nie pomijaj.

Trochę się rozluźnił i opadł na poduszkę.

– Kiedy mnie zabrali do spółdzielni, myślałem, że już nigdy w życiu nie zobaczę Mei. Ale ona uciekła i czekała tu na mnie. Ponad rok temu schwytali Darka. Przypadkiem znał ją. Obiecał, że razem uciekniemy.

– Co chciał w zamian?

Pokręcił głową z bladym uśmiechem.

– Nie znasz Darka. On niczego w zamian nie żąda. Kiedyś był tu specem od brudnej roboty. Jego rodzina od dawna mieszka w Trójce. Rozejrzyj się wkoło.

Nigdy dotąd nie byłam w Wieżowym Mieście. Bez ważnego powodu człowiek nie powinien włóczyć się po terenach obcych gangów. Owszem, sprzęt medyczny mieli tu, że mucha nie siada. Ale to zachowałam dla siebie.

– No więc jak on trafił do Trupiego Serca?

– Okoliczności nie znam, ale – ściszył głos – ktoś go zrobił, napuścił na niego łowców

górników. Tak znalazł się w spółdzielni. Zaiwanialiśmy tam jak dzikie osły.

– Później uciekł.

– Rodzina przekupiła łowców. Ci sami, którzy go zgarnęli, puścili go do domu. I mnie razem z nim.

Grunt to forsa!

– I co, przyjechaliście tutaj?

– Nie od razu. Dark ma przyjaciół, całą kupę kolegów. Waletowaliśmy w Vivie, aż pozalał swoje sprawy. Zamierzał wrócić na stare śmieci po cichu, w tajemnicy...

– Ale ty wybrałaś się na przejażdżkę z zamachowcem.

Uśmiechnął się żałośnie i wzruszył ramionami.

– Dark ciągle ma tu wrogów. Może to któryś z nich? A może po prostu miałem pecha?

Stawiałabym jednak na wrogów.

– Wtedy ja się nawinęłam, co? Pomogłam ci uniknąć schwywania, a on w tym czasie oczyścił teren?

Spuścił wzrok.

– No, mniej więcej.

Przez chwilę milczeliśmy.

– Wiesz, Parrish, on ma plany.

Ściągnęłam brwi. Co Stolowski mógł wiedzieć o prawdziwych zamiarach Darka? Nic a nic, głowę daję.

– Mówi, że praca w Trupim Sercu nauczyła go pilnować własnego interesu. Tak jak pilnowali go jego przodkowie. Opiekował się mną i Mei naprawdę dobrze. Teraz wrócił do domu, żeby zająć się resztą. – Przerwał, zmęczony.

– Słuchaj, Stolowski, nie musisz być jego niewolnikiem do końca życia tylko dlatego, że pomógł ci wyrwać się na wolność.

Potrząsnął głową ze łzami w oczach.

– Zrozum mnie, Parrish. Ludzi takich jak ja i Mei życie nie rozpieszcza. Może ona ma łatwiej, bo jest ładna i bystra. Ale Dark się o nas zatroszczy. Żadnej ściemy: regularne jedzenie, lekarz w razie potrzeby.

Westchnęłam. Ludzie w typie Stolowskiego zawsze kogoś potrzebowali. Do niedawna ja też. Ale odkąd przeszłam na drugą stronę, patrzyłam z innej perspektywy na pobudki, jakimi kierują się w życiu tacy jak Dark.

Dajmy na to Jamon Mondo. Przejrzałam go na wylot... i życzyłam mu rychłej śmierci.

– Wiesz, że zrobił się smród wokół ciebie? – zapytałam.

Wargi mu zadrżały. A więc zdawał sobie z tego sprawę.

– Mam nadzieję, że dotrzyma słowa – dodałam cicho.

Wyciągnął rękę i dotknął mojej dłoni. Oraz powiedział coś, czego nie chciałam usłyszeć:
– Jesteście do siebie podobni. Ludzie wam wierzą.

* * *

Dark wskazał kierunek północno-wschodni. Stał na występie muru, wśród wczepionych w dachy kokonów sypialnych.

Niektóre miały lokatorów, inne były zamknięte na kłódkę, jakby ich właścicielom nie podobała się okolica.

– Idź za kompasem na północ, a wyjdiesz na Torleyu.

Dawno to sobie wykombinowałam, ale chętnie wdrapałam się z nim na samą górę. Widok zapierał dech w piersiach.

W Trójce czasem zapominałam, że jest coś takiego jak niebo.

Widywałam je co najwyżej w telewizji. Tutaj, na szczycie dachu, porażało swoim ogromem.

Ale całe to morze dachów, rozpościerające się w przestrzeni niby bezkresna, podziobana mozaika, budziło też strach. Jeśli przyjrzeć się uważniej, rozdrabniało się na miliony kokonów, wrzecionowate anteny mikrofalowe i brudny plastobeton.

Jakbym oglądała skórę przez mikroskop.

Wczesnym rankiem niebo było miejscami szare, miejscami zaróżowione. Zmarnowałam tu cały dzień, choć z drugiej strony widok, który zobaczyłam, wszystko mi wynagrodził.

– Gdzie jest Dis? – spytałam.

Dark odwrócił się twarzą na południe. Na widnokregu zaznaczał się ślad oceanu, wąska smużka przybrudzonego srebra.

– Kawalek stąd – powiedział. – Nikt już tam nie chodzi. Choroba toczy serce naszej ziemi.

Słowa może i szumne, lecz zapadały w pamięć.

W połowie drogi między nami a niebem, gdziekolwiek się obrócić, widać było mgły roznoszące odór Trójki. Miałam ochotę poderwać się w powietrze i rozgonić ten syf. Jak anioł z mojego snu, który oczyścił mi krew z narkotyku.

Prawie nie myślałam o tym śnie, lecz teraz na jego wspomnienie coś mnie ścisnęło w brzuchu. Co mówił Dark o Oi i Muenach? Kogo wybierze wieniec z piór, ten ich obroni w przyszłości.

Kurde, ta fucha nie była mi potrzebna!

A niech sobie wierzą, w co chcą, byle zaopiekowali się głodującymi dziećmi. Miałam nadzieję, że Bras żyje.

Pewnie dziwnie mi z oczu patrzyło, bo Dark odwrócił się i spojrzał na mnie przenikliwie.

– Uważaj na Langa i Jamona Monda, Parrish.

– I tyle w tym temacie, co? Niczego mi nie wyjaśnisz.

Uśmiechnął się. Szerokim, powalającym uśmiechem.

– I tak byś nie uwierzyła.

– Może i nie. – Ale jeśli nadal będziesz się tak uśmiechał, dodałam w duchu, to ustawię się w kolejce twoich adoratorów za Stolowskim i Mei.

Dał mi klips do komu.

– Na co mi to? – zdziwiłam się.

– Dzwon, gdybyś mnie potrzebowała – odparł lekkim tonem.

Starczyłoby kiwnąć palcami i urządzenie poleciałoby w przepaść, znikłoby raz na zawsze. Chciałam to zrobić bardziej niż cokolwiek na tym parszywym świecie... jednak lewa dłoń wpięła klipsik do przegródki na szpilki w bezrękawniku.

– Dzięki.

Do zapamiętania na przyszłość: pozbądź się lewej ręki, to zdzira.

**CZEŚĆ
DRUGA**

ROZDZIAŁ 9

Właściciel mieszkania zostawił mi w drzwiach melodyjkę z przypomnieniem, że mam obsuwę z czynszem. Kiedy je otworzyłam, diabelstwo wyryczało mi kawałek Abby z mocą 90 decybeli. Prawdę mówiąc, wołałabym, żeby czekało na mnie sześciu obwiesiów z półautomatami. Do cholery z Abba!

Akurat dawali koncerty w Vivacity. Nie oni, wiadomo, ale ich klony. Pierwsi muzycy Abby od dawna nie żyli. Kapela, która dziś grała, była szóstym z kolei produktem genetycznego replikowania.

Z replikantów nie tylko oni ganiali po świecie. Nowi Rolling Stonesi przyszli i odeszli, to samo Beatlesi, Nirvana, no i oczywiście wielki Elvis. Ale technologia jeszcze nawalała, bo ci nowi muzycy w większości popełniali samobójstwo lub umierali w młodym wieku. Jeśli się nad tym głębiej zastanowić, to może i mieli rację. Od strony etycznej kwestia budziła wątpliwości, ale póki interes przynosił zyski spadkobiercom oryginalnych muzyków, ci nie oponowali.

Po wejściu do pokoju rozebrałam się, usiadłam po turecku w sanitariatce i wzięłam długą prysznic, aż mi się skóra pomarszczyła. Potem wyszłam i usiadłam naga na skraju łóżka.

Przetrzepałam swój brudny ortalion w poszukiwaniu dysku od Langa. Zahaczył o szew.

Złamałam pudełko i spróbowałam sobie przypomnieć, co dokładnie powiedział. Tu znajdziesz adres. „Dostarczysz mi zawartość plików komputerowych. Zabijesz każdego, kto cię zobaczy”...

Adres wydrukowany na dysku nic mi nie mówił, o okolicy wiedziałam tyle, że dostanę się tam chyba cudem. 18 Circe Crescent, wyspa M'Grey, Viva. No to chujnia! Nie da się trafić gdzieś bliżej? Łamałam sobie głowę, aż Meny 3 wydała z siebie głos werbla i odstawiła swój najnowszy układ taneczny.

Czekałam z niecierpliwością. Przewroczyta dziewczyna skutecznie swoje popisy z coraz większym animuszem.

– Poczta do ciebie, Parrish.

– Dawaj!

Spodziewałam się zobaczyć właściciela, który był jednym ze starszych dingochłopów

Jamona. Na początek jednak pokazał się sam Jamon. Jego anemiczna, wężowa twarz była wykrzywiona i poszarzała.

„Nie znoszę nieusprawiedliwionych nieobecności, Parrish! Będiesz ze mną przez weekend albo spuszczę psy z łańcucha”.

Druga wiadomość pochodziła od anonimowego nadawcy, głos został przetworzony przez syntezytor.

„Do poniedziałku czekam na towar”.

Lang!

Jakby mi kto rzucił na plecy wór ziemniaków. Był piątek, a w sobotę wieczorem miałam się zgłosić do Jamona. Lang chciał, żebyśmy zrobiła włamkę do czyjejś chaty w Vivie.

Jejku, zawsze mi się terminy nakładają! W tym przypadku jednak łatwo podjęłam decyzję. Żeby rozstać się z Jamonem, musiałam ukraść coś dla Langa.

Przekopałam kredens, aż znalazłam suchy prowiant. Potem zabrałam się do pakowania. Planowałam zmyć się, nim Jamon stwierdzi, że nuży mu się czekanie. Dingochłopy na pewno już warowały blisko mojego mieszkania.

Do plecaka włożyłam karabin snajperski 7,62 mm i podrabiany glock, a do bezrękawnika dwie nowe szpilki. No i przedmiot mojej dumy i radości: bransoleta z amuletami, najhojniejsza zapłata za ochroniarską robotę, jaka mi się kiedykolwiek trafiła. Od handlarza z krajów równikowych, agenta dostawców broni, który rozglądał się po Torleyu z chrapką na mały szwindelek. Amulety zawierały ogłuszający materiał wybuchowy, choć jeden, mający kształt grzybka, tryskał w razie potrzeby gazem halucynogennym.

Sprawdzał się w niezbyt przestronnych miejscach.

Kompletując sprzęt, wzięłam soga, przy którym zwykłe wielozadaniowe noże wyglądały jak pilniczki do paznokci, oraz przyborek hakera: robaka, bramy i łamacza haseł, uaktualnionego dzięki uprzejmości Raula Minoja. Nie był to wprawdzie profesjonalny zestaw z najwyższej półki, no ale ja się nie specjalizowałam we włamach. Ze swoim wzrostem w razie wtopy byłabym łatwym celem.

Zresztą, cały ten proceder odbija się we mnie moralną czkawką. Nie lubię kraść. Kradzież, moim zdaniem, wybitnie świadczy o braku klasy. Dlatego w tym przypadku próbowałam znaleźć dla siebie racjonalne usprawiedliwienie. Nie zabierałam nikomu nic konkretnego, uchwytnego, po prostu garść informacji. Aczkolwiek, szczerze mówiąc, gdyby dzięki temu Mondo miał już nie dostawiać do mnie swego dupska, zwędziłabym choćby i gonady króla Vivy.

W szafie wisiały tylko dwa kostiumy: spodnie moro i roboczy podkoszulek oraz czarny, aksamitny kombinezon, ciasno przylegający do ciała. Wybrałam aksamit. Wcale nie z próżności: do miasta dziewczyna powinna się wybierać w porządnym ubraniu. Na to jeszcze włożyłam szary ortalion.

Ognioodporny i kwasoodporny. Na żaden stylowy łaszek nie wybuliłam w życiu większej kasy niż właśnie na niego.

Kiedy ponownie przeglądałam sprzęt, nawiedził mnie obraz, który nie pozwalał mi się skupić na robocie. Anioł z ciężkimi, złotoczerwonymi skrzydłami. Mój anioł.

Wyprostowałam się raptownie. Mój anioł?! Co za głupia myśl! Może to całe voodoo tak na mnie podziałało?

Obiecałam sobie, że kiedy już będę miała z głowy Jamona, wpadnę do Pasa, by zobaczyć, jak mu idzie dokarmianie bezdomnych dzieci. Potem dowiem się czegoś więcej o piórach i krwi, co naprawdę oznaczają. O Oję też nie omieszkam zapytać.

Mei prawdopodobnie coś wiedziała, ale już jej nie ufałam.

Już... czy może nigdy? Jeśli tak twardo stawiałam sprawę, to tylko dlatego, że złamała podstawową zasadę: nigdy nie kołuj przyjaciółki, nawet z powodu faceta. W moim świecie takie numery nie przechodzą.

Pod wpływem impulsu wcisnęłam na komie numer linii Minoja. Na ekranie błysnęły najpierw usta, później wokół nich pojawiła się reszta. Błyszczące włosy i białe zęby. Przegięcie!

– Czego ode mnie chce najpopularniejsza dziewczyna na dzielnicy?

Zignorowałam przynętę.

– Zasztyfrujesz?

Obraz znieruchomiał, gdy Minoj rozważał moją prośbę o bezpieczne połączenie. Zastanawiał się, czy jest sens.

– Poczekaj – powiedziały usta.

Na kilka sekund ekran zrobił się czarny, po czym zjawiała się twarz starsza niż przedtem, zaniedbana, z popsutymi zębami.

Prawdziwe oblicze Minoja.

– Czego chcesz, Parrish? Wiesz, że ryzykuję. Ostatnio jest na ciebie duże zapotrzebowanie.

– A kiedy nie jest? – Uśmiechnęłam się szeroko.

Nie podzielał mojej wesołości, więc wyłożyłam kawę na ławę:

– Potrzebuję informacji o pewnym typku. Parę lat temu mieszkał w tych stronach. Ambitny, ludzie go słuchali, potem słuch po nim zaginął.

Minoj westchnął, zniecierpliwiony.

– Zdajesz sobie sprawę, że takich tu było bez liku?

– Ten się wyróżniał. Podobno pochodził ze starego rodu. Byczek z charyzmą. Nazywa się Dark.

Minoj potarł palcem przednie zęby. Zapewne nie mogły liczyć na lepsze zabiegi higieniczne.

– To mi wygląda na miłość, Parrish.

Sporunowałam go wzrokiem.

– No był taki jeden – ciągnął. – Wysoki, chudy jak szczapa. Brał prochy. Głównie amfetaminę i szpros. Panna Feast dostarczała mu towar, nim zniknął. Pewnie komuś nadepnął na odcisk.

Doll?

– Czyj odcisk, jak myślisz?

– Moja droga Oja, pamięć mi szwankuje, muszę czymś posmarować trybiki.

Krew we mnie zastygła.

– Czemu tak mnie nazwałś?

– Muenowie budują dla ciebie kapliczki w swoich ubogich domach. Modlą się, żebyś dobrze o nich myślała. – Przewrócił oczami. – Topaz krzywo patrzy na konkurencję. Na jego nieszczęście orisa objawiła się po długiej nieobecności.

Topaz wkurzony na mnie? Dobra, niech staje do kolejki!

– Ile kosztuje, żebyś mi powiedział, kto sprzątnął faceta?

Zrobił dziwną minę.

– Jesteś u siebie w mieszkaniu?

– Tak – odpowiedziałam podejrzliwie. – A co?

– Ech, Parrish! Myślałem, że masz więcej oleju w głowie.

– O co ci?...

Usłyszałam walenie w drzwi. Krótkie, ale wymowne.

– No to siemka, maleńka. Pozdrów ode mnie Trupie Serce.

– I przerwał transmisję.

Trupie Serce! Aż mi ciary przeszły po plecach.

Przesunęłam krzesło, żeby na nim stanąć. Chciałam przerzucić sprzęt przez otwór w suficie, ale nie dałam rady, kłapa nawet nie drgnęła. Na darmo pchałam z całej siły.

Ktoś mnie zamknął.

Dotąd tylko raz fizycznie byłam uwięziona...

* * *

Ramiona mnie bolały, rozciągnięte przez dwóch dingochłopów. Wewnętrzna strona ud piekła, pocięta.

– Odwróćcie ją! – rozkazał Jamon. – Wygląda okropnie.

Na chwilę doznałam ulgi, gdy poluzowali uchwyt. Ale potem znowu mnie naciągnęli, kiedy leżałam twarzą do gładkiej, twardej posadzki. Chyba przestałam łkać, stałam się odrętwiała.

Jamon chuchał mi na policzek gorącym oddechem.

– Rozumiesz teraz, Parrish, że jestem panem twojego życia?

* * *

Oderwałam się od wspomnień jak tonący człowiek, któremu udaje się zaczerpnąć powietrza. Nikomu już nie pozwolę się zniewolić!

Zarzuciłam plecak na ramiona i szarpnęłam drzwiami.

Nie zwracając uwagi na wrzask Abby, staranowałam przyczajonego dingochłopa. Cmoknęłam go w buźkę kolaniem.

Kiedy się przewracaliśmy, wbił mi w nogę swoje genetycznie wzmocnione psie zębiska. Z rykiem przygniotłam mu głowę, gdy tymczasem on próbował odsunąć przed nosa kolano.

Rozpaczliwie wetknęłam mu trzy palce z boku w usta, żeby rozewrzeć szczęki. Nie było to najlepsze wyjście, ponieważ dingochłopy miały siekacze z kanałami jadowymi. Wiedziałam, że ortalion wytrzyma ukąszenie, jeśli nie będzie to trwało zbyt długo. Ale czy rzepka kolanowa zostanie na swoim miejscu?

Poderwał stopy, chcąc pociąć mi plecy swoimi nienaturalnymi paznokciami. Mei twierdziła, że przeszczepiają je sobie od nieboszczyków.

Hałas na schodach był dla mnie ostrzeżeniem, że zbiorę dostanie wsparcie, więc porzuciłam karkołomne pomysły na rzecz sprawdzonych. Wyciągnęłam palce z zaciśniętej paszczy i wysunęłam szpilkę z bezrękawnika. Kiedy przekłułam mu oko, zawył z bólu i puścił kolano. Zanim zawył po raz drugi, już pośpiesznie kuśtykałam w przeciwnym kierunku.

Nie było to piękniutkie, co zrobiłam, ale przyrzekłam sobie, że Jamon już nigdy mnie nie uwięzi, przynajmniej nie za życia.

A dingochłop się wyliże, oczy łatwo wymienić.

ROZDZIAŁ 10

W normalnych okolicznościach podróż z Trójki do Vivacity nie stanowi kłopotu, wystarczy zapłacić myto na północnej granicy. Gąszcz olbrzymich, zdezelowanych plastikowych rur chroni przed kontaktem z zatrutą glebą. Wędruje się w ich trzewiach, a potem łapie transpociąg do stacji w Vivacity.

Tego dnia trzeba było wykombinować co innego.

Wędrówkę rozpoczęłam w północno-wschodniej części Trójki, gdzie kiedyś był busz, cudowna oaza bujnej, tropikalnej egzotyki, sięgająca aż po skrzącą się w słońcu plażę. Tak ją przedstawiały archiwalne holografie. Teraz żadna roślina nie zapuszcza tu korzeni, spotyka się tylko grzyby w nijakim kolorze błota.

Żwawym krokiem przesmyknęłam się do ostatnich segmentowców. Wszystkie budynki kierowały się fasadami na bure odludzie. Im bliżej skraju Trójki, tym wyraźniej „czuło się” pogodę. Zasunęłam zamek pod samą brodę, bo dokuczała mi mżawka. Co prawda było duszno i piekielnie gorąco, ale nie lubiłam mieć mokrej szyi.

No i nie chciałam, żeby Teece dojrzał pod ortalionem rąbek czarnego aksamitu. Gotów pomyśleć, że to dla niego tak się wystroiłam.

Teece miał licencję na alternatywny sposób opuszczania Trójki, w ciągu ostatnich dwóch lat zbił na tym mały kapitał.

Obiecywał najszybszą podróż do Fishertown, bez lawirowania. Zgłaszali się do niego przede wszystkim slumsiarze, ale też ludzie, którym się wyjątkowo śpieszyło lub po prostu nie chcieli włączyć do rury.

Teece był moim pierwszym klientem po wyprowadzce z przedmieść. Kiedy rozkręcał swój dochodowy interes, przez tydzień robiłam za jego bodyguarda. Okazało się, że ma pucharowe sukcesy w motocyklowych akrobacjach i spłowieła od słońca włosy, których mogliby mu pozazdrościć wytrawni surfingowcy. Z dodatkowych zajęć dużej kasy nie miał, więc płacił mi lekcjami jazdy na motocyklu i kursem oszustw komputerowych. Nigdy nie zawadzi nauczyć się czegoś nowego, zwłaszcza od zawodowca.

Ostatnimi czasy Teece unikał Torleya. Za ciasno dla niego, tak twierdził. Przekonywał, że

nie ma nic piękniejszego niż zachód słońca nad Fishertown. Nawet chciał, żebym zamieszkała z nim gdzieś przy nieużytkach. Mielibyśmy połączyć biznes z seksem i miłością. Właśnie ta wzmianka o miłości tak mnie odstraszyła. Do tego jestem miastową dziewczyną, na otwartej przestrzeni czuję się nieswojo.

Zastałam go za biurkiem w jego gabinecie, gdzie pertraktował z grupą niezadowolonych klientów. Psioczyli na cenę, co wcale mnie nie zdziwiło. Teece umiał korzystać z okazji.

– Mam płacić dwa razy tyle co normalnie? – biaDollła chuda, opalona mieszkanka Fishertown.

– Bo się ryzyko podwoiło! Przecież słyszeliście o zakazie.

Jeśli mi zniszczą motocykl, będę skończony. Skąd wezmę pieniądze na nowy? I tak ledwo wiązę koniec z końcem. Muszę się jakoś ubezpieczyć.

Jakby na poparcie jego argumentów, przelatujący nad dachami wojskowy nietoperz wprawił w drżenie biuro. Teece uśmiechnął się do kobiety, miętosząc w zębach dość grubą cygaretkę. Chuchnął obłoczkiem dymu. W pierwszej chwili można było go wziąć za bliźniaka Raula Minoja, choć w gruncie rzeczy bardzo się różnili. Teece miał blond włosy, Minoj – kruczoczarne. Pierwszy był silny, drugi zaś cherlawy. Za to obaj mieli nosa do lewych interesów.

Kobieta wyraźnie się wahała. Teece poklepał ją przyjaźnie po ramieniu.

– Ale dobrze się stało, że przyszła pani do mnie – pocieszył ją. – Chwilowo na nieużytkach jest dosyć niebezpiecznie.

Przejrzał ją na wylot. Położyła pieniądze i odeszła. W kolejce podniosły się szmery.

Kiedy zaczął się targować z następnym klientem, przywahał mnie i dał sygnał pracownikowi, żeby zastąpił go za biurkiem.

– Parrish! – rzekł głośno. – Czarująca – dodał szeptem, gdy się zbliżyłam i znalazłam w jego namiętych ramionach. Tylko on na tym świecie potrafił sprawić, że czułam się piękna... na przekór faktom.

Przeszliśmy na zaplecze, do klitki z rozbudowanym komem, skąd widziałam fragment podwórza. Wentylator rozwiewał drobiny kurzu w galaktyce urządzeń. Na ścianach smętnie wisiały pozginane zdjęcia motocykli wyścigowych, wydrukowane w niskiej rozdzielczości.

Na dworze mieszkanka Fishertown gmerała przy rozruszniku.

Teece westchnął.

– Moja najstarsza maszyna. W drodze na złom. Mam nadzieję, że zostaną jakieś części do wykorzystania.

Popatrzyłam na niego twardo.

– Nie dojedzie?

– Nie dojedzie.

Zakląłam pod nosem, zła na Teece'a. Już nie mogłam jej ostrzec. Zresztą, i tak by nie

posłuchała.

– Żebyś mnie tak nigdy nie zrobił w konia, łajdaku!

Udał urażonego.

– Jak możesz tak myśleć? Tak czy inaczej – dodał, wzruszając ramionami – milicja nikogo nie sprzątnie, najwyżej aresztuje.

– Jak to?

– Cały ten zakaz to drażliwa sprawa, ślicznotko. Milicjanci wspierają media w pościgu za mordercą Razz Retribution, z drugiej strony nie chcą wyjść na rzeźników. Starczy chwila i wybuchną rozruchy. Dlatego nie można dopuścić, żeby męty z Trójki przedostawały się do Vivacity. Co będzie, jeśli psychole, szumowiny i degeneraci wtargną między cywilizowanych ludzi?

– Media i tak robią, co chcą. Na co im milicja? Cholerni zwiadowcy wypuszczają interogatorów w samym środku Trójki.

– Trudno, takie życie. Musimy się z tym pogodzić, ślicznotko.

– Ja się nie pogodzę! – oświadczyłam i łupnęłam pięścią w stół. – Światem zawsze rządziła sfera biznesmenów, polityków i cwanych prawników. Teraz pora na dziennikarskie mendy! Zwariować można!

Wyśmiał mnie.

– A co byś wolała, anarchię? Myślałem, że z wiekiem zmądrzejesz, ślicznotko. Potrzebujemy, żeby ktoś nami rządził. Dzięki temu mamy prosty wybór: walczyć albo się dostosować. Widzimy sens w życiu i to się liczy.

– Sraty-taty! Nie wiedziałam, Teece, że masz tak słabą wyobraźnię. Nie marzysz, żeby wydostać się z tego rynsztoka?

Tym razem obraził się na serio.

– Polubiłem ten rynsztok. Czego mi jeszcze trzeba? Na forszę nie narzekam, ludzie mnie słuchają. Kurde, nawet mam wizję przyszłości!

Już to przerabialiśmy. Wtedy kłótnia też się tak skończyła.

On wrócił do swoich spraw, ja mordowałam się dalej z moimi. Wytykał mi, że sama tu uciekłam z wypicowanych przedmieść i jeszcze wybrzydzam.

W pewnej chwili zastanawiałam się nad przyjęciem jego propozycji. Był miły, atrakcyjny, przy kasie. Wyrwałabym się w końcu z Torleya. Ale wtedy nie znałam jeszcze Jamona... zresztą, dziś Teece już nic nie proponował.

– Pożyczysz mi coś, żebym się dostała na drugą stronę?

Jego wodniste oczy przyciemniały, gdy zastanawiał się nad moją prośbą. Swoją równomierną opalenizną i słomianymi włosami przypominał mi facetów ze starych czasopism dla surferów. I nic dziwnego: Teece surfował motocyklem jak dawni mistrzowie.

– Nie powinnaś tam się wybierać, Parrish, nie żartuję.

– Wiem, Teece, ale to dla mnie ważne.

– Jak mi zapłacisz? – Uniósł brwi z wymownym, chytrym uśmiechem.

Zawahałam się. Przespałabym się z nim, wyzerowała dług i byłoby po sprawie. Zapłata w naturze. Jednak coś się we mnie zmieniło. Miało to związek z Bras, nocą w koszarach, Doll, a najbardziej z Jamonem. Od strony fizycznej nic nie stało na przeszkodzie, bałam się raczej stracić siłę ducha.

– Wybacz, Teece, może innym razem.

Przyglądał mi się uważnie.

– Coś się stało?

Pokiwałam głową.

– Owszem. – Próbowałam ukryć emocje. – Mam szansę znowu wziąć życie w swoje ręce. I wyrównać rachunki.

Wstał i stanął przy mnie. Ledwo mi sięgał nad ramię, a mimo to zawsze wydawał się wyższy. Z oddali dolatywało wycie syren. Delikatnie przyciągnął mnie do okna i wskazał palcem.

– Zobacz, ślicznotko. Oto twoja szansa.

Hen na nieużytkach, po przejechaniu niespełna połowy drogi, kobieta z Fishertown rozpaczliwie rzucała motocyklem na boki, żeby uniknąć strzałów z helikoptera. Nagle motocykl stanął w poprzek, wykopyrtnął się, ona zaś wyleciała jak z katapulty. Z góry błyskawicznie spadły na nią szczęki sieci i porwały w powietrze. Motocykl leżał z otwartym gazem i wypruwał z siebie flaki.

– Masz dość maszyn, żeby obdzielić tych, co tam czekają?

Wolno kiwnął głową.

– Tak, a co?

– W takim razie dogadajmy się. Aha, Teece...

– Co, Parrish?

– Daj mi jeden ze swoich osobistych motorków.

Na jego twarzy podejrzliwość walczyła z zaskoczeniem.

Miałam pewność, że posiada prywatną kolekcję. Nigdy ich nie widziałam, ale to był motomaniak z bzikiem na punkcie stalowych rumaków.

– A zapłata?

– Zabytkowy brough superior SS100. Nagram ci kogoś, kto ma takiego na zbyciu.

– Naprawdę wiesz, od kogo mógłbym go kupić? – spytał, podekscytowany.

– Tak – skłamałam.

Pewnie mi nie dowierzał, ale też nie mógł zignorować możliwości, choćby nikłej, że mówię prawdę. Wiedziałałam, jak wzbudzić jego ciekawość. Brough był jednym z pierwszych

supermotocykli. Wczesne modele miały silniki firmy JAP, widełki Harleya. Pewnie została ich garstka na świecie, ale postanowiłam znaleźć mu jeden, tylko na razie nie wiedziałam jak. Ani kiedy.

– Dasz radę myknąć na drugą stronę? Nawet noc ci nie pomoże. Skanują granicę w podczerwieni.

Uśmiechnęłam się.

– To co, umowa stoi?

– Zwrócisz mi motocykl w stanie nienaruszonym i pomożesz kupić brougha?

Przytaknęłam.

– No to umowa stoi. – Przewrócił oczami. – Chyba mi odbiło.

– To się jeszcze okaże – odparłam i wyszłam z zaplecza.

Przed biurkiem stopniała kolejka. Pozostało tylko kilku podłamanych desperatów, którzy rozmawiali o pechu kobiety na motorze. Wskoczyłam na biurko i zapytałam ich wszystkich:

– Chcecie się dostać na drugą stronę?

W większości kiwali głowami, tylko paru patrzyło na mnie wilkiem.

– W takim razie proponuję ruszyć razem. Nasze szanse wzrosną. Tam krąży jeden helikopter, ale nawet jeśli zlecą się następne, wszystkich nie wyłapią.

– A co z tymi, których chwycą?

To mnie nie zbiło z tropu.

– Nie wiem jak wy, ja zaryzykuję. Mam ważne sprawy do załatwienia. Jeśli wasze nie są ważne, zostańcie.

– Ale co z ceną?! – wykrzyknął jeden gość. – Mamy bulić dwa razy więcej?

Odwróciłam się do Teece'a.

– Dasz nam szansę? Czy wolisz patrzeć, jak twoje motory po kolei lądują na złomowisku? Albo pójść z torbami, bo nikt nie odważy się startować na nieużytki?

Dłubał w paznokciach, czując, jak zmieniają się nastroje ludzi. Oczekiwali od niego, że podchwyci mój pomysł. W końcu podniósł ręce.

– W porządku! Ale każdy dopłaci sto kredytów kaucji! A jeśli który nie odstawi maszyny do Mamy, znajdę go osobiście.

Mama, dawny zawodnik sumo, był pozbawionym humoru poborcą myta. Zamykał motocykle Teece'a na strzeżonym placu i wysyłał ludzi z tamtej strony tutaj. Złodziejom motorów Mama nie okazywał ani grama matczynej litości.

* * *

W czasie gdy pracownicy Teece'a pobierali próbki DNA w charakterze podpisów i

rozdzielali motocykle, on sam wyprowadził mnie na drugą stronę budynku, na placyk przykryty arkuszami falistego plastiku. W kącie dobudowano szopę, wokół której mrugały, ustawione pod różnymi kątami, czujniki systemu monitorowania.

Teece przeleciał palcami nad klawiaturą na drzwiach i w środku zapaliło się światło. Sześć błyszczących jednoślądów czaiło się jak bestie. Pogłaskał wszystkie po kolei, jakby czule pieścił kochanki.

– Prawie tak śliczne jak ty.

Przyjrzałam mu się, żeby sprawdzić, czy sobie ze mnie nie pokpiwa. Po minie poznałam, że mówi poważnie.

– Każda się jakoś nazywa. – Przystanął koło czarnej lali o opływowych kształtach i srebrno-czarnych owiewkach.

– Ostatni model z serii Katana, nim firmę przejęła Gerda. 1100 cm³, szprychy w kołach. Dałam jej twoje imię.

Myślałam, że zarechocze lub się chociaż uśmiechnie.

Czułam się skrępowana. Czekałam na żart, może jakiś wykład lub celną uwagę, cokolwiek...

Oczywiście, nie podjarałam się tym porównaniem do motocykla, choć świadczyło o tym, że Teece jest mną zafascynowany.

– No więc, który mi dasz? – spytałam.

– Który chcesz, z wyjątkiem jej. – Położył rękę na czerwonym motorze. – Ta jest moja.

– Przecież wszystkie są twoje – zdziwiłam się.

– Ta jest inna.

W końcu wybrałam motocykl terenowy z wyścigowym silnikiem, biały z zielono-złotymi owiewkami. Przejechałam nim wzdłuż szeregu trzydziestu motorów. Każdy kierowca miał kask z funkcją recyklingu powietrza. Teece przywiązywał ogromną wagę do konserwacji kasków. Na skażonym terenie wdychanie pyłu do płuc równało się z bieganiem nago po hałdach.

Teece miał świadomość, że martwy klient to zły klient.

– Gotowi!? – krzyknął.

Odpowiedział mu warkot silników.

– Pamiętajcie, trzymajcie się w kupie! Kto się odłączy, może liczyć tylko na siebie!

Włożyłam kask i powąchałam powietrze z wentylatora.

Pachniało miłą świeżością, trochę też kremem z filtrem przeciwsłonecznym. Teece nie pożegnał się ze mną, ale pożyczył mi jeden z własnych kasków. W ten szczególny sposób mówił: „Wróc cała i zdrowa”.

Dając sygnał do startu, dwa razy uniosłam zaciśniętą pięść.

Czoło grupy drgnęło i ruszyliśmy z kopyta. Gdy przeciskałam się między motorami, po kręgosłupie przebiegały mi dreszcze, a włosy tak się zjeżyły, że pewnie by się łamały pod

dotknięciem ręki. Przez chwilę zastanawiałam się, czy zwierzęta też się tak czują, kiedy biegną w rozpędzonym stadzie.

Na pierwszych kilometrach trzymaliśmy się razem, spod kół i z wydechów buchały wzburzone kłęby dymu i kurzu. Moje czarne, aksamitne ubranie nasiąkło potem. Koncentrowałam się na tym, żeby nie zniosło mnie na bok, bo mogłam zahaczyć o koło lub podnóżek innej maszyny. I nie spuszczałam wzroku z kasku, który miała na głowie osoba przede mną.

Wtem przemknął nad nami cień, a potem wrócił na mniejszej wysokości. W grupie wybuchła panika. Szybsze motocykle przyspieszały, wolniejsze zostawały w tyle, więc pędziliśmy teraz w mocno wydłużonym szyku. Ja się jeszcze wahałam, szamotałam się jak ptak na uwięzi.

Kiedy helikopter zawrócił, żeby znów nad nami przelecieć, schyliłam się za owiewką i ostro dodałam gazu. Maszyna zagrzmiała rykiem wygłodzonego silnika, jakbym w czasie wyścigu wychodziła z wirażu na ostatnią prostą.

Helikopter nie skorzystał z okazji i oddalił się z wyciem w pościgu za innym celem. Kiedy się przegrupowaliśmy, ostrożnie zerknęłam za siebie. Daleko z tyłu, miotając się zygzakami jak sam diabeł, gonił nas spóźniony zawodnik.

Nieźle prowadzi, lecz głupio ryzykuje, pomyślałam i schyliłam głowę.

Od tamtej pory na odcinku może pięciu kilometrów nikt nas nie nękał. Grzaliśmy ile wlezie na otwartej przestrzeni. Już prawie nam się udało, do linii transkolei mieliśmy jeszcze ze dwa kilosy.

Za łatwo nam poszło, pomyślałam. Za łatwo, do cholery!

Teece na pewno obserwował spektakl przez lornetkę.

Ciekawe, czy widział więcej od nas? Szkoda, że nie mogliśmy się porozumiewać za pomocą telepatii.

Co jest grane, Teece? Powiedz, co widzisz.

Żadnej odpowiedzi.

Wtem ni stąd, ni zowąd pojawiły się dwa nietoperze sił specjalnych i zaraz wśród wybuchów powstał przed nami głęboki rów. Wpadłam do dziury, przekoziółkowałam w powietrzu i wylądowałam jak prawdziwy profesjonalista.

Wielkie dzięki, Teece!

W wyniku upadku straciłam oddech, ale nic groźnego mi się nie stało. Ortalion i kask zrobiły swoje, a ja umiałam turlać się po ziemi.

Motocykl nie miał tyle szczęścia.

Wokoło poprzewracani ludzie krztusili się i hałasowali w tumanach kurzu. Niektórzy z tyłu najechali na tych, co już leżeli. Blisko mnie spoczywał bez ruchu mężczyzna z dłonią zaciśniętą na rączce gazu i szyją wygiętą pod kątem prostym do tułowia. Sprawdzenie tętna nie miało już

sensu, facet złamał kark i basta. Oderwałam mu rękę od kierownicy i co tchu wskoczyłam na siodło. Rozkręcone koła motocykla uderzyły o ziemię. Serce wcisnęło mi się w żebra. Jeszcze trochę i całkiem by się wyrwało.

Oprócz mnie dziesięć osób wykaraskało się z tej matni.

Wszyscyśmy już po chwili czuli się jak na zawodach enduro. Przekopaliśmy się przez muldy i utworzyliśmy zwartą grupę.

Nietoperze odleciały, ale wrócił śmigłowiec.

Co z delikwentem, który próbował nas dogonić?

Pociski wystrzeliwane z helikoptera łukami zmierzały w naszą stronę. Nie dość, że szarpały nami podmuchy powietrza, to jeszcze zasypywały nas fontanny ziemi. Ze śmigłowca wykrzyczano ostrzegawczy rozkaz, ale kask tłumił dźwięki.

Nie wiedziałam, co mówią. Zresztą, miałam to gdzieś.

Na horyzoncie ukazała się linia transkolei. Po szynach niknął pociąg podobny do długiego, szarego węża. Nad obrzeżami Fishertown majaczyła poplątana sieć nielegalnych kabli elektrycznych, dzięki której helikoptery bały się tam łowić ludzi. Za torami będę bezpieczna.

Bezpieczna? Z każdą chwilą brała mnie coraz większa ochota oderwania się od peletonu i samotnego dojechania do mety. Motocyklista przede mną uległ pokusie, bo gwałtownie odbił w prawo. Nim ujechał sto metrów, helikopter chwycił go w sieci i porwał w powietrze. Jego ręce sterczały z siatki jak połamana gałąź drzewa.

To skutecznie powstrzymało resztę od chojrakowania.

Został niecały kilometr. Trzymaliśmy się teraz blisko siebie jak stado pelikanów.

Helikopter ostrzelał nas bez pardonu pociskami przeciwlotniczymi, ale tym razem byłam przygotowana. Do pierwszego leja zbliżyłam się na pełnym gazie i wzięłam go z rozpędu. Jiii-haaa!

Do diabła, pierwszy raz w życiu poczułam się ptakiem.

Dwóch zawodników nie pokonało przeszkody, lecz tory były już na wyciągnięcie ręki, a helikopterowi brakowało przestrzeni. Po drugiej stronie w rozgrzanym powietrzu falowały pękate namioty i słupy elektryczne. Może i jestem niepoprawną optymistką, w każdym razie mogłabym przysiąc, że czuję na języku smak morskiej soli.

Nadzieja dodawała mi siłę. Raptem na północnej stronie nieba pojawiły się czarne plamki dwóch helikopterów. Łączyła je cienka kreska, kojarząca się z liną holowniczą, tyle że helikoptery nadlatywały, hm, kabina w kabinę.

Strach skwasil mi humor. Zatoczyłam pięścią koło i pokazałam najbliższemu motocykliście nowe niebezpieczeństwo.

Zanim ostrzeżenie rozeszło się wśród naszej przetrzebionej paczki, śmigłowce już opadały – pękate, mechaniczne insekty z giętkimi ogonami. Zdeformowane osy. Wkurzone osy, połączone

jakaś dziwną pępowiną.

Aż nagle pępowina rozwinęła się w olbrzymią sieć. Chcieli zgarnąć nas wszystkich za jednym zamachem!

Zostało mi już tylko sto metrów, więc modliłam się w duchu do wielkiego, pieprzonego wombata, żeby uskrzydlił mój motocykl. I głośno warknęłam; czasami nie można lepiej wyrazić emocji.

Helikoptery nieznacznie odbiły w stronę Fishertown i skręciły prosto na nas.

Uświadomiłam sobie, że wstrzymuję oddech i czekam, aż świat przystanie w biegu, a ja będę mogła spokojnie przeanalizować sytuację i obmyślić sposób ucieczki. Niestety, ani czas nie zwolnił, ani żaden pomysł nie wpadł mi do głowy. Widziałam tylko rozmyte punkty na kursie kolizyjnym i zastanawiałam się, jak wygląda więzienie w Vivie.

Czy karmią tam więźniów pro-substami?

Nim helikoptery zeszły niżej i capnęły nas w sieć, motocykle rozjechały się na wszystkie strony jak iskry sztucznych ogni. Rozpaczliwie zбочyłam na północ i zaczęłam jechać wężykiem. Ścigał mnie trzeci helikopter. Wygospodarowałam sekundę, by pożalić się nad sobą. Czemu akurat ja?

Wyciskałam z motocykla siódme poty, urzeczona widokiem transpociągu. Jeśli teraz zwolnię, helikopter mnie złapie, jeśli nie zwolnię, uderzę w ostatni wagon.

Co wybrać? Tak źle i tak niedobrze.

Przecież było już blisko! Nie mogłam teraz się poddać, nie mogłam pójść do pierdła. Nie zniosłabym myśli, że Jamon uśmiecha się gdzieś swoim lisim uśmiechem, słysząc wiadomość o mnie.

Co? Parrish za kratkami?

Powzięłam decyzję. Człowiek zawsze się ludzi, że do samego końca zachowa trzeźwość umysłu, że w ostatniej chwili zdoła coś wymyślić. Tymczasem ja, może odruchowo, a może pod wpływem czegoś, na co nie miałam wpływu, tuż przed kraksą, gdy szary wagon rozmył się przede mną jak blaszana ściana, a z góry zlatywała sieć... cóż, tylko zamknęłam oczy.

ROZDZIAŁ 11

Kiedy je otworzyłam, świat obrócony do góry nogami kręcił się jak na szybkim przewijaniu. Udało się – mnie, nie motocyklowi. Uniknęłam zderzenia z wagonem, a motor wykopyrtnął się na szynach. Pewnie gdybym patrzyła, nie tak by się to skończyło.

Drugi raz dzisiaj przywaliłam o glebę. I dla odmiany straciłam przytomność.

* * *

Pierwsze, czego doświadczyłam po odzyskaniu świadomości, to ulga. Dzięki ci, wombacie, że kask nie ucierpiał! Rozwaliłam Teece'owi motocykl, więc rozwalenie kasku byłoby już przegięciem. Do końca życia nie spłaciłabym długu.

No i druga rzecz: nie nałykałam się trującego piachu.

Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, jak okropnie łupie mnie w plecach aż po samą czaszkę. Kiedy próbowałam się ruszyć, ból zapuszczał macki na ramiona. Kiedy próbowałam wziąć głębszy oddech, płuca paliły żywym ogniem. Wyobraźnia podpowiadała najgorsze. Paraliż. Nie dam rady się podnieść.

Nie dam razy uciec.

Z trudem podniosłam się na czworaki, nie chciałam się poddać zwątpieniu.

Ktoś mnie trącił... i myślałam, że skonam z bólu.

– Proszę... – wyszeptałam. – Nie dotykaj...

Ten sam ktoś podniósł mnie lekko, jakbym nic nie ważyła, i spróbował mnie mrukliwie pocieszyć. Nie chciało mi się wierzyć, że niesie mnie jedna osoba. Ważyłam dziewięćdziesiąt kilogramów. Z drugiej strony, było mi już wszystko obojętne, byle przestało boleć.

Zdjęto mi kask. Ostrożnie, bardzo ostrożnie. Potem rozchylono ortalion i czarny aksamit. Usłyszałam odgłos darcia.

Miałam ochotę wrzeszczeć. Moje najlepsze ciuchy!

Poczułam na udzie coś zimnego. Na szczęście ból zaraz ustąpił.

* * *

Stopniowo odzyskałam zdolność widzenia. Znajdowałam się w mrocznym wnętrzu rybackiego namiotu. Poznałam to po zapachu wędzonych ryb i koślawych szwach, łączących płachty namiotu.

Usłyszałam głos:

– Środki przeciwbólowe niedługo przestaną działać, ale mam znajomą lekarkę w Vivie, zabiorę cię do niej. Chyba połamałaś kilka żeber i zwichnęłaś bark. – Rozległ się śmiech: – Widowskowo upadłaś, nie ma co!

Z wielkim trudem obróciłam głowę o cal.

– To ty?!

Dark uśmiechnął się do mnie. Miał tak białe uzębienie, że mógłby grać w reklamie pasty do zębów. Jak tego dokonał, żrąc parszywe jedzenie wzbogacane dietą prosubstową?

Mówił dalej, jakbym chciała go słuchać:

– Wypadło mi coś do załatwienia w Vivie. Muszę tam być jak najszybciej. Twoje szczęście.

Też mi szczęście! Ja bym to inaczej nazwała.

– Kto się opiekuje twoimi sierotkami? – wyszeptalam.

– Bardzo śmieszne! – Pociągnął za ubranie na moim udzie.

Nagle zrozumiałam, że od pasa w dół nic na sobie nie mam.

Nawet tasiemka stringów została urwana.

– Wybacz, że tak to wygląda, ale wszystko było potargane, a chciałem ci dać najsilniejszy zastrzyk. Lepszego miejsca nie znam.

Mimowolnie wyciągnęłam rękę, żeby się przykryć, próbowałam nawet związać końce tasiemki.

– Nie ruszaj się! – napomniiał mnie ostro. – Narkotyk tłumi ból, ale kto wie, możesz mieć połamane nie tylko zebra.

Opadłam bezsilnie.

– Super...

– Jak obiecasz leżeć spokojnie, zabiorę cię do lekarza.

– Niby jak się tam dostaniemy? – burknęłam, przygnębiona. – Ambulansem?

– No – odparł lakonicznie i wyszedł.

Przestroga na przyszłość: nie wspominaj w żartach o rzeczach, na których się nie znasz.

* * *

Leżałam więc w namiocie, kilka razy budziłam się i zasypiałam. Raz otworzyłam oczy i

zobaczyłam nad sobą twarz kobiety. Chudej, pomarszczonej i zatroskanej. Czoło okalała ciemna ramka tłustych, krótko przyciętych włosów. Chciałam podziękować jej za gościnę, lecz nie byłam w stanie wykrztusić z siebie słowa.

Później zastanawiałam się, skąd od razu wiedziałam, że ten ponury namiot jest jej domem. Może powiedziała mi to jej surowa mina, jaką zwykle się wita nieproszonych gości.

Miałam sny. Powrócił anioł i wziął się do ostrej harówki: walczył z infekcją, naprawiał tkankę kostną, sztychem platynowego miecza tamował krwotoki. Chyba był zły, że tak się załatwiłam. Potrzebował mnie.

– Przepraszam – powtarzałam. – Musiałam to zrobić... Nie było innego wyjścia...

Policzki miałam mokre od łez, kiedy obudził mnie Dark.

Zdziwił się i zmartwił.

– Bardzo cię boli?

Kiwnęłam głową, zawstydzona. Lepsze wyjaśnienie nie przyszło mi do głowy, chociaż, dziw nad dziwy, ból zelżał.

– Helikoptery się wyniosły, ale oblawa dopiero się rozkręca. Czas się zwijać.

– Najpierw muszę oddać Mamie kask i motocykl.

– Mamie?

– Takiemu grubemu zapaśnikowi z automatem pod pachą.

Dark zmarszczył czoło z niesmakiem.

– Raz się spotkaliśmy.

– Co jest, Dark? – prychnęłam. – Twoja mama wyglądała inaczej?

Nie zareagował na żart.

– Już odebrał sprzęt. Parrish, do licha ciężkiego, motocykl rozleciał się na kawałki! To samo mogło spotkać ciebie.

– Przynajmniej nie odukało mi, żeby w pojedynkę szarżować po nieużytkach. To ty za nami jechałeś, nie?

Nareszcie się uśmiechnął.

– Mama powiedział, że musisz dopłacić do kaucji.

Okupiłam bólem westchnienie. I pomodliłam się w duchu do wombata, żeby wspomnianą dopłatę pobrał Teece, nie Mama.

– No to jak, gotowa?

– Jasne – skłamałam.

* * *

Chuda kobieta pomogła mu przenieść mnie na stary koc.

Biorąc pod uwagę jej niewielki wzrost i mizerną budowę ciała, była zaskakująco silna. Większość mieszkańców podłych dzielnic Fishertown zawdzięczała krzepę szarpaniu się z sieciami, a chorowity wygląd ubogiej diecie, złożonej głównie z zatrutych ryb. Mówiło się, że mieli zmutowane geny, dzięki czemu organizm wytrzymywał bombardowanie metalami ciężkimi, obecnymi w jedzeniu. Tak czy inaczej, prawie każdy tu się kojarzył z suszoną wołowiną.

Kobieta i tak prezentowała się wyjątkowo dobrze jak na slumsiarkę. Na mnie patrzyła krzywym okiem.

– Na co to wszystko, Loyl-Dark? – mruknęła. – To twoja nowa sympatia?

Loyl? Hm...

Skwarne, popołudniowe słońce wygrało z mżawką. Zezowałam na ciekawskich slumsiarzy, którzy stali w grupie w niewielkim oddaleniu, i czekałam na odpowiedź Darka.

– Nie, Kiora, mój okonku. Chodzi o interesy.

A więc Kiora Okoń. Przypomniałam sobie, że slumsiarze nazywają siebie jak ryby z pobliskich łowisk. Starczy przespacerować się kawałek wzdłuż wybrzeża, żeby spotkać Doradów i Ostroboków. Może to i głupie, ale jakoś nie miałabym ochoty wyjeżdżać z takim nazwiskiem w obecności slumsiarzy. Nożami posługiwali się nie gorzej niż Muenowie, z tym że były to noże do filetowania.

– Nie wierzę ci, kłamco! – W jej głosie dźwięczała wściekłość. – Szlajasz się z nią i tyle! Już mnie nie chcesz! – Dorzuciła jeszcze trochę obscenicznych, działających na wyobraźnię wulgaryzmów, od których ścierpła mi skóra.

– Przytkaj się, Kiora! – Pochylił się nade mną i trzasnął ją w szczękę. Przy okazji przekrzywił mi temblak, co boleśnie odczuło moje ramię.

– Hej, awanturować wam się zachciało?! – warknęłam na nich. – Połóżcie mnie na ziemi albo przestańcie się szarpać. – Popatrzyłam ze złością na kobietę. – I skończ z tymi bluzgami! On nie jest w moim typie.

Podłe, śmierzące kłamstwo, Parrish, nie ma co! No ale dobra, niech się baba cieszy. I rzeczywiście, pochyliła głowę z zadowolonym uśmiechem. Na Darka nawet nie spojrzałam. Uderzył ją. Czegoś takiego nie wybaczyłabym facetowi. A jeszcze niedawno miałam go za miłosiernego samarytanina!

Dalej taszczyli mnie w milczeniu, między namiotami i dymiącymi ogniskami, aż znaleźliśmy się na otwartej plaży.

Usłyszałam łagodny, jednostajny szum morza... zaraz zagłuszony jazgotliwym wyciem mechanicznego urządzenia. Czyżby piła tarczowa?

Cholera, niewiele się pomyliłam! Zobaczyłam piłę tarczową, połączoną z metalową ramą ze skrzydłami i dwoma siedzeniami. Prymitywna paralotnia. Takie same czasem latają nad Trójką.

Z dołu wydają się kruche i niepewne, jakby lada chwila miały się zmęczyć.

Kiora Okoń i Dark przełożyli mnie na ramę i przywiązali w trzech miejscach. Nogi mi dyndały za krawędzią. Ze strachu trochę się szamotałam. Przeskakiwanie rowów motocyklem to jedno, ale latanie zmutowanym narzędziem elektrycznym to zupełnie inna sprawa.

– Za nic w świecie nie będę tym fruwać! Dark, słuchaj! Zdejmij mnie z tego natychmiast! – Próbowałam krzyczeć, lecz za bardzo bolały mnie płuca. – Do stu wombatów, weź mnie stąd ściągnij!

Zebrał się tłumek gapiów, pokazywali mnie palcami. Z tyłu dostrzegłam Mamę. Górował nad resztą i śmiał się tak, że trzęsło mu się brzuszysko. Byłam dla niego główną atrakcją dnia.

Kiora Okoń jawnie ironizowała. Rybia zdzira! Dark podchodził do tego na luzie.

Wyginając szyję, zobaczyłam go, jak siedzi w uprzęży, obok pilota, z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

Paralotnia drgnęła i pojazd zaczął przyspieszać po piasku.

Potem podskoczył ze cztery razy jak obłąkana ropucha. Moje jęki zgubiły się w szumie powietrza i ryku silnika. Trzema gwałtownymi skrętami ominęliśmy kable wysokiego napięcia i wzbiliśmy się w niebo.

* * *

Minęły wieki, nim wylądowaliśmy na dziurawej asfaltowej drodze w wiejskiej dzielnicy Vivy. Podczas samego lądowania czułam się, jakby dźgano mnie nożami kuchennymi, lecz ulga wręcz niewysłowiona po tak strasznej przygodzie, stłumiła ból.

Paralotnia kołowała na drodze, aż w zasięgu wzroku pojawił się budynek. W pobliżu niczego nie było oprócz kępy drzew, które rzucały cień na dom, paru wybiegów z truchłami uschniętych roślin i – dalej – czterometrowym ogrodzeniem z solidnego żelazobetonu. Niby latarnia w czasie sztormu, nad ogrodzeniem mrugała niebieska lampka systemu monitorowania.

Nie pamiętam, kiedy ostatnio widziałam tyle wolnej przestrzeni. Nieużytków nie liczę.

Dark podszedł, żeby mnie rozwiązać.

– W porządku? – przekrzyczał hałas silnika.

Za bardzo zaschło mi w ustach, żebym mogła wyrąbać mu całą prawdę.

Razem z pilotem zaniósł mnie do eleganckiego domku.

Za drzwiami przeciwkurtowymi położyli mnie na twardej, kamiennej płycie. Poczułam się jak w kostnicy. Potem wyszli na dwór i wkrótce hałas piły tarczowej oddalił się i zginął.

Z początku myślałam, że Dark też odleciał, więc spróbowałam uwolnić się z koca, którym mnie opatulono. Cuchnął rybimi bebechami. Kiora pewnie pożyczyła mi najlepszy, jaki miała.

– Nie ruszaj się, póki cię nie zbadam! – rozległ się w mroku czyjś głos.

Wykręciłam do tyłu szyję, żeby zobaczyć, kto mówi.

Dostrzegłam mętne lśnienie: poświatę ekranu. Siedząca przed nim kobieta stuknęła w klawiaturę.

– Zaraz cię prześwietlę. Loyl, skarbie, mógłbyś ją odpakować? Postaraj się, żeby leżała spokojnie.

Skarbie? Czyżby zwracała się do Darka? Rozejrzałam się z ulgą, ale też irytacją. Gdzie on się podział, do diabła? I gdzie ja właściwie jestem?

Wynurzył się z cienia i pochylił nade mną.

– Ona jest lekarzem, Parrish. Zdejmę koc, żeby mogła cię dokładnie zbadać. – Mówił pomału, jakby dyktował instrukcję rozbrojenia bomby. – Dobrze?

Kiwnęłam głową, choć z wielką przyjemnością ugryzłabym go w rękę, tak dla jaj.

– Bardzo cię boli?

Pachniał wiatrem z lekką domieszką piżma. Słyszając troskę w jego głosie, pohamowałam się w gniewie.

– No... nie, nie bardzo – przyznałam. Może była to reakcja na pierwszy w życiu lot, a może naprawdę się rozkojarzyłam, w każdym razie gdy czułam się tak cholernie bezbronna i jednocześnie widziałam tak blisko jego oczy, nagle wywietrzało mi z głowy, czemu właściwie go nie lubię.

W półmroku jego twarz promieniowała życzliwością. A życzliwości doświadczyłam w życiu tyle, co kot napłakał. Nie wiedziałam, jak się do niej ustosunkować.

– Odsuń się! – poleciła kobieta.

Dark wyszarpnął spode mnie brzeg koca i przelotnie uścisnął mi dłoń.

– To nie potrwa długo.

Płyta wsunęła się do okrągłego tunelu, który od środka przypominał trumnę. Skoncentrowałam się na oddychaniu, pocieszając się myślą, że wreszcie jestem na ziemi, zamiast tłuć się po niebie na grzbiecie piły tarczowej.

Po kilku minutach, kiedy wysunęłam się z urządzenia, przechodziły mnie dreszcze. Miałam wrażenie, że moje mięśnie należą do kogoś innego. Odetchnęłam głęboko, by ochłonać.

Kobieta sterująca aparaturą wstała. Zapaliły się lampki halogenowe.

– Wyjdzie z tego. – Podeszła do płyty i popatrzyła z góry na moje porozrywane ubranie. – Kiedy miał miejsce wypadek?

Dark stanął koło niej. Czubkiem głowy sięgała mu do łokcia. Przy nim wyglądała jak chucherko, lecz w jej ciemnych, inteligentnych oczach błyszczała twarda stanowczość. Uwagę przykuwała jej cera. Dwa ciemnoczerwone znamiona pod oczami, zbiegające się u nasady nosa, wydawały się śladami pobicia... albo oznakami przynależności do jakiejś dziwnej sekty. Nie próbowała ich niczym zasłonić.

Wyczułam w niej wrodzoną niechęć do obcych – ludzi, którzy ją widzą po raz pierwszy – i nawet ją rozumiałam. Mogłam jej tylko współczuć. W Trójce napaleńcy płacą grubą kasę, żeby się w ten sposób oszpecić, ale wyglądać tak od urodzenia pewnie by nie chcieli.

– Gdy dzwoniłem. Ze dwie godziny temu, a co?

– Przedziwne – powiedziała. – Na zdjęciach widać, że złamała trzy żebra...

– Tak właśnie myślałem – wpadł jej w słowo.

Położyła mu dłoń na nadgarstku zaborczym gestem. Miała ten sam kolor co włosy: białe jak księżyc, gdy rozprasza się smog.

– Owszem, lecz ślady obrażeń wskazują, że do wypadku doszło przed dwoma tygodniami. Proces gojenia jest zaawansowany.

– Przecież to niemożliwe.

Oboje popatrzyli na mnie, czekając na wyjaśnienia.

Wzruszyłam ramionami. Niby co miałam powiedzieć? Że anioł mi pomaga?

– Dobrze geny – bąknęłam nieporadnie.

– A lekarstwa? – spytał Dark.

– Nie. – Kobieta pokręciła głową. – Sprawdzalam. Z wyjątkiem nakładki węchowej i implantowanego kompasu stwierdziłam obecność tylko jednej anomalii, wrodzonej lub nabytej.

– Jakiej? – Dark o sekundę wyprzedził mnie z pytaniem, co było wkurzające, bo w końcu kto tu grał główną rolę?

– Nadnercza wykazują zwiększoną aktywność. Może na skutek ryzykownego trybu życia. Domyślam się, że robi za goryla.

Robi za goryla, też coś. Choć samo określenie mniej mi przeszkadzało niż ton tego stwierdzenia! Nawet Rene, moja matka, nie rozmawiała ze mną w ten sposób.

Rene! Dawno o niej nie myślałam. Kiedy opuszczałam przedmieścia, mózg biednej Rene tak już był przeżarty słodkimi komediami, że nawet tego nie zauważyła. Tak samo jak nie zdawała sobie sprawy, że Kevin mieszka z nią tylko dla jej zasiłku. Neurozależni ani dużo nie jedzą, ani dużo nie wydają!

No i Kat, moja mała siostrzyczka. Na pewno też nie zajarzyła, że się wyprowadzam. Kat, gwiazda pro-basketu, sportowiec doskonały. Ludzie twierdzili, że jesteśmy podobne. Ja bym tak nie powiedziała...

– Hej, Parrish! Parrish, słyszysz mnie?

Zamrugałam oczami i po powrocie do rzeczywistości gwałtownie przerzuciłam nogi za krawędź płyty. Gdy przypadkowo uderzyłam kolaniem lekarzę w rękę, ta odskoczyła, jakbym ją sprofanowała. Mogłabym zasłonić gołe udo, ale zgrywanie skromnisi nie leżało w mojej naturze. Olałam to.

– Nic mi nie jest, czuję się dużo lepiej. Co to za miejsce?

Dark westchnął, poirytowany. Tyle się nabiedził, żeby mnie tu przywieźć, a ja się sama uzdrawiam.

– Parrish Plessis, przedstawiam ci doktor Annę Schaum.

Powstrzymałam się od uszczypliwości i podałam jej rękę kostkami do góry, jak to się robi w Trójce.

– Dziękuję za pomoc, naprawdę. Gdzie tu macie wyjście?

Poruszyła kącikiem ust, co mogło oznaczać uśmiech, ale raczej nim nie było. Nie uścisnęła mi ręki. Zamiast tego zniżyła głos do szeptu.

– Skądżeś ją wytrzasnął, Loyl? Ma silniejszy organizm niż Kiora, ale te jej maniery...

Maniery? Ostatnia odrobina współczucia, jaką dla niej miałam, zniknęła bezpowrotnie. Jak śmiała o mnie tak mówić?

Dark zapobiegliwie położył mi rękę na ramieniu, interweniując z istic szczurzym refleksem. Założę się, że nie chciał, aby jego znajomej lekareczce wybito zęby lub skrzywiono nos.

– Ja też dziękuję za pomoc, Anno, ale nie odbiegajmy od rzeczowej rozmowy.

– Myślałam, że nie odbiegam. – Uśmiechnęła się do niego niewinnie.

Poklepał ją łagodnie po plecach.

– Zatrzymamy się u ciebie na noc, w porządku? – spytał.

Lekceważąco wzruszyła ramionami, wróciła do swoich ekranów i zajęła się pracą.

Może to jakaś obsesja, nie wiem, w każdym razie miałam wrażenie, że natychmiastowa i oczywista niechęć do mnie Anny Schaum ma charakter czysto osobisty. Najpierw ta rybia zdzira, teraz doktor Lodówka. Kogo jeszcze wpisał Dark na swoją listę zdobyczy?

– Dasz radę chodzić? – spytał.

– Tak. – Kiwnęłam głową. – Możemy stąd wyjść? Jedzie tu szpitalem.

Dziwnie się zaśmiał i wskazał mi drogę.

Na zewnątrz zachodziło słońce. Gdyśmy wyszli na dwór, z trudem powstrzymałam się przed kuleniem. Porządnych drzew ani trawy nie widziałam już tak dawno, że czułam się, jakbym trafiła na plan horroru. Chmury w rozgrzanym powietrzu nadawały wszystkiemu bladożółty odcień. Nawet ogrodzeniu z żelazobetonu.

Dark znowu położył mi na ramieniu swoją naturalną rękę, aby skierować mnie w stronę domu częściowo przysłoniętego białymi eukaliptusami. Strząsnęłabym jego dłoń, ale czułam się z nią bezpieczniej. Z dali dobiegał miły uchu zgiełk miasta.

– Trzeba się przyzwyczaić do otwartej przestrzeni – stwierdził.

Szliśmy pomału. Może i rany się goiły, ale dokuczał mi jeszcze ból.

– Przypominam sobie pierwszy dzień w Sercu – dodał.

– Jak tam było? – zapytałam z ciekawością. W dzisiejszych czasach nikt już nie oddala się od wybrzeża. Życie w głębi lądu stało się nie do wytrzymania.

– Jak było? Sucho. Gorąco tak, że byś nie uwierzyła. Okropnie. Nawet pod ziemią. I ta straszna duchota. Dawali chłodzone kombinezony, ale na niewiele się to zdawało. Tyle że człowiek przeżył, by tyrać w kopalni. Wieczorem, gdy wychodziliśmy ze sztolni, niebo było po prostu... białe od gwiazd. Przywykłem do tamtych nocy, do ogromnych przestrzeni. Od powrotu do Trójki czuję, że mi trochę ciasno.

Rozejrzałam się.

– Anna ma chyba kupę szmalu – zauważyłam. – Mieszkanie tutaj musi sporo kosztować.

Zbył to milczeniem. A więc poruszyłam śliski temat.

Spróbowałam więc z innej strony:

– Zabawne, że akurat dziś zjawiłeś się w Fishertown. Nie wspominałeś o podróży do Vivy.

– Ani ty – odciął się.

– Bo nie wiedziałam, czy do niej dojdzie. Ktoś by powiedział, że mnie śledzisz.

– Może to i prawda. Może czuję się źle bez ciebie.

Aż mi serce do gardła podskoczyło.

– A może... gonimy za tym samym? – dokończył.

Moje serce zabiło zupełnie innym rytmem, obudziła się we mnie podejrzliwość. Agorafobia odsunęła się w cień.

Przypomniałam sobie, że rozmawiam z zakichanym damskim bokserem. Zatrzymał się w pół kroku, jakby czytał w moich myślach. Owiał mnie jego oddech. Nadal roztaczał delikatną woń piżma.

– Dokąd właściwie zmierzasz, Parrish? Co ci zlecił Lang?

Odsunęłam się od niego. Gwałtowny ruch sprawił mi ból. Na razie nie mogłam głęboko oddychać, więc tylko sapałam.

– Skąd ta pewność, że robisz robotę dla Langa?

– Zaproponował ci coś na tyle cennego, że mimo zakazu i wielkiego ryzyka postanowiłaś wymknąć się z Trójki.

– Jak na to wpadłeś?

Zamyślił się głęboko, starannie ważąc słowa.

– Wiem więcej, niż ci się wydaje. Wiem, że jesteś własnością Jamona Monda i zrobiłabyś wszystko, by to zmienić. Wiem, że jesteś samotna, skłonna do przemocy, impulsywna. I że często działasz irracjonalnie.

Gapiałam się na niego, zaszokowana. Zaszokowana i zła. Co tam zła – wściekła jak diabli, do bólu, że coś bym rozszarpała! Macałam miejsce, gdzie powinien być pistolet. Gdybym przez tę wywrotkę nie straciła sprzętu, ubiłabym bydlaka.

– Mam twoje rzeczy – oznajmił spokojnie. – Pozbierałem je w Fishertown.

Ugięłam się w kolanach, co nie mogło świadczyć o przyjaznych zamiarach.

– Oddawaj!

Szedł dalej w stronę domu.

– Dam ci, kiedy będziesz ich potrzebować – rzucił przez ramię. – Kiedy będziemy na miejscu.

– Jak to: na miejscu? – wykrzyknęłam.

Odwrócił się. Poświata księżycy podkreśliła jego uśmiech.

– No tam, dokąd zmierzasz.

* * *

Maszerując za nim, ładowałam mu wzrokiem szpile w plecy. Kurde, jak tu gościa rozgryźć? Ja się do niego w końcu przekonuję, a ten odstawia szopkę! Wyciągnął mnie z bagna, to fakt, ale teraz mnie szantażował.

Lokajczyk wprowadził nas do pokoju z wypucowanymi panelami podłogowymi i czterema krzesłami obitymi bladozieloną skórą. Na ścianach wisiały, dobrane ze smakiem, akwarelowe obrazy oraz duży krzyżyk z brązu.

Ciekawe, jak często Dark wpadał tu z wizytą.

– Coś ciepłego do jedzenia – zwrócił się do lokajczyka i walnął się na krzesło.

Lokajczyków spotyka się często w bogatych domach. W środku mechanizm robota, z zewnątrz forma wybrana spośród tysięcy, zwykle ukochanej zabawki. Najpopularniejsze są pluszowe misie i lalki. Również nagie torsy.

Lokajczyk Anny Schaum nosił elegancką sukienkę i buty na szpilkach. Przedstawił się jako Lila. Jego skóra porażała nieskazitelną, perłową doskonałością.

– I wino! – zawołał za nim Dark.

Wino? Tylko raz w życiu piłam wino i smakowało mi wtedy jak paliwo rakietowe. Nawet Jamon popijał przy stole rum z Bundabergu.

Usiadłam naprzeciwko niego i ostrożnie odchyliłam się na oparcie krzesła. Ciągłe skręcało mnie ze złości, że wziął moje narzędzia i postawił mnie pod ścianą. Pytanie, jak to rozegrać?

Kiedy rozważałam różne możliwości, lokajczyk przyniósł butelkę, dwa kieliszki i talerz z czymś, czego nie poznałam.

Dark podał mi kieliszek napełniony bordowym trunkiem.

Wypiłam wszystko na jeden łyk, przygotowana na pieczenie, lecz wino okazało się zdumiewająco łagodne.

Wiedziałam, że powstrzymuje się od słów krytyki. Ponownie napełnił mi kieliszek.

– Masz ochotę na karczochy? – Podsunął mi talerz, jakby objadał się tym codziennie.

Wzdrygnęłam się i pokręciłam głową.

– Nie jem roślin.

Zawartość drugiego kieliszka uderzyła mi do głowy. Wiedziałam, że tak się stanie. Chciałam tego. Wolałabym prochy, ale w czasie sztormu każdy port dobry.

– Loyl Dark – burknęłam. – Jak można się tak nazywać?

Delektował się winem.

– Loyl-me-Daac – sprostował. – Tak brzmi poprawnie moje klanowe, hm, rodowe imię.

– I takie imię upoważnia do bicia kobiet i szantażowania ludzi?

Sposepniał.

– Nie zrozumiałabyś tego.

Język rozwiązał mi się już na tyle, że zaraz mógł zrozumieć coś o mnie.

– Pewnie sobie myślisz, że jesteś jakimś cholernym mesjaszem, Loyl-me-Daac, ale tak naprawdę chciałbyś mieć pozycje.

Rozluźnił się na widok mojego wzburzenia. Nie takiej reakcji się po nim spodziewałam.

– Władza jest złudzeniem, Parrish. Ja tylko próbuję myśleć o podstawowych sprawach, skoro na drobiazgi nie mam wpływu. Co w tym złego, że martwię się o warunki życia moich ludzi?

Wstałam i dolałam sobie wina. Z każdym łykiem malał ból w barku.

– A jednak sam tu czegoś nie kapujesz. Czemu nazywasz ich swoimi ludźmi? Kto powiedział, że należą do ciebie? Dlatego właśnie cały ten świat jest taki pochrzaniony. Każdy próbuje kimś kierować. Czym się różnisz od Langa i Jamona Monda?

Zmarszczył czoło, lecz nie odpowiedział. Liczyłam, że coś z siebie wydusi.

– A ta doktor Schaum jaką rolę spełnia? – Pochyliłam się nad jego krzesłem. Rozerwany ortalion odsłonił całą nogę.

Wiedziałam, że nie powinnam tak się przybliżać, ale byłam w wojowniczym nastroju.

Odwrócił wzrok.

– To rodzinny dom Anny. Jej rodzice byli szanowanymi ludźmi. Jest moją... przyjaciółką. Prowadzi prace badawcze.

– Ach tak? Więc na co te zasieki? – Z grymasem na twarzy schyliłam się, żeby ściągnąć buta. Sącząc wino, wyginałam palce u nogi.

Utkwił wzrok w mojej stopie, jakby bał się spuścić z oka groźnego zwierza.

– Sprawdza, czemu niektóre grupy przystosowały się genetycznie do metali ciężkich i toksyn obecnych w środowisku. Jej badania uratują wielu moich ludzi. Będzie im łatwiej żyć.

– Tylko twoich ludzi, czy może podzielisz się z innymi? Kto ma decydować o tym, komu będzie lepiej? Ty, Loyl-me-Daac? Kiorze też pomożesz?

Zaczerwienił się, pokręcił w niewygodnym dla siebie krześle i przeszył mnie badawczym wzrokiem.

– Kiora umiera. Anna bada ją, próbuje się dowiedzieć, czemu cieszy się lepszym zdrowiem

niż inni w jej okolicy.

Dopiłam resztkę wina i ściągnęłam drugiego buta.

– Często bijesz po twarzy umierające kobiety?

– Poniosło mnie. Kiora jest psychicznie chora, ma halucynacje. Wydaje jej się, że jesteśmy kochankami. A nie jesteśmy.

– No jasne. – W moim głosie zabrzmiał sarkazm, choć nie zamierzałam drwić z niego. Czulałam na ramionach tonowy ciężar tej rozmowy.

Znienacka posadził mnie sobie na kolanach. Byłam już z lekka ululana winem, więc się nie opierałam. W ogóle nie reagowałam, ciekawa, co zrobi i jak to na mnie podziała.

Przesunął naturalną dłoń wzdłuż rozdarcia na spodniach i odsłoniętej części uda. Odczułam w brzuchu nieproszony dreszczyk podniecenia. Ostatni raz czulałam się tak z Teece'em, na samym początku.

Pochylił się i mnie pocałował, wpychając mi język do ust.

Z nikim się jeszcze nie całowałam, nawet z Doll. Po prostu miałam taką zasadę. Usta należą do mnie, dziewictwo oddaję temu, komu uznam za stosowne. Poza tym, w ślinie prawie każdej znanej mi osoby toczyła się zażarta wojna biologiczna. Zaatakował mnie tak nagle, że aż mnie zmroziło. Wyrwałam mu się ze złością i chwyciłam buty.

Wstał, speszony, gdy cofałam się, nie spuszczać z niego wzroku.

– Gdzie mogę spać? – spytałam.

– Na górze – odpowiedział oschle. – Obok łazienki... to znaczy sanitariatki.

Kiwnęłam głową i weszłam na schody. Pokonałam je w czterech susach i zaczęłam z hukiem otwierać kolejne drzwi.

Trochę mi ulżyło. Ten dom mógł się poszczycić wyposażeniem, jakie znałam tylko z reklam hi-telów w Vivie, najnowszymi aranżacjami z drogimi dodatkami w stylu retro.

W pokoju przy sanitariatce królowało olbrzymie komfortowe łóżko, na którym mogłoby się przespać pół Torleya naraz. Pieniła się na nim biała, koronkowa kapa i leżały puchowe poduchy.

Zrobiłam krótki obchód sypialni, przyglądając się drzwiom i oknom, po czym ułożyłam się na dywaniku i zapadłam w niespokojną drzemkę.

Nad ranem obudził mnie cichy hałas. Czyjeś głosy. O mało nie spanikowałam na widok dziwnej sypialni, ale wszystko sobie przypomniałam i wstałam, żeby zorientować się w sytuacji. Stojąc u góry na podeście schodów, zobaczyłam Daaca i Annę: siedziała z nim w tym samym miejscu co ja wczoraj, pogrążona w szeptanej rozmowie.

Podglądactwem raczej się brzydziłam, ale są sprawy, o których po prostu powinno się wiedzieć. A czasem okazja aż się prosi, żeby z niej skorzystać.

– Ile czasu trzeba, żeby je odtworzyć? – pytał Daac.

Anna Schaum przecesała włosy i wzruszyła ramionami.

– Dokładnie to nie wiem. Polegam na starych notatkach, ale sklejane sekwencje DNA przepadły. Kopie zapasowe też wzięli. Wszystko wydłuży się w czasie.

– A dokumentacja?

– Część się zachowała.

– Która część?

– Ogólne zapiski na temat efektów ubocznych. Szczegółów już nie ma.

– Wiedzieli, czego szukają. – Daac wstał i przeszedł się po pokoju, jego elektryczna dłoń kilka razy zacisnęła się spazmatycznie. – Nie rozumiem, jak to się mogło stać. Przecież nikt się nie włamał do komputera. Byliśmy tutaj tylko ja i Kiora. – Odwrócił się do niej. – Prawda?

Skuliła się, przygwożdżona jego spojrzeniem.

– Oczywiście, ktośby inny? To musiało się zdarzyć, kiedy byłam tu sama.

Pokiwał głową i wrócił do spacerowania.

– Loyl, ja nie wiem, czy powinnam dalej to robić.

Daac przystanął i szybko usiadł koło niej.

– Jasne, że powinnaś! – Chwycił ją mocno za ramiona, jakby chciał nią potrząsnąć. Z zauważalnym wysiłkiem zapanował nad głosem. – A może czułabyś się lepiej, gdyby kto inny zamieszkał tu... na stałe?

– Nie! – naburmuszyła się. – Nikogo tu nie chcę! – Przytuliła się do niego jak mała dziewczynka. – Zresztą, jest przy mnie Lila.

Jak na komendę, lokajczyk wyłonił się z kąta i zaczął zbierać talerze.

No świetnie!

Daac posadził sobie Annę na kolanach i zbliżył usta do jej twarzy. A mnie się w brzuchu zakotłowało. Cichaczem wycofałam się do sypialni, gdzie do samego świtu nie zmrzyłam oka.

Hipnotyczny wpływ Daaca na kobiety budził we mnie wstręt.

I zachodziłam w głowę, o czym oni, do licha, debatowali.

ROZDZIAŁ 12

Słodki aromat sandałowców wpływał na zaplecze „Emporium”, gdzie siedziałam i gapiłam się w lustro. Z trudem poznawałam osobę, która łąpała na mnie podejrzliwie, ubrana w obciachową, kwiecistą meduzę, zwaną, sądząc po etykietce, kaftanem.

Daac sugerował, żebym pożyczyła sobie – od jego kolejnego znajomego – nowe ubranie, coś nie w moim stylu.

W drodze do miasta z rezydencji Anny Schaum prawie ze sobą nie rozmawialiśmy, a jeśli już, to na pewno nie o minionej nocy.

Z cieni pod jego oczami wnioskowałam, że też się porządnie nie wyspał, choć z innych powodów niż ja.

Tylko dlatego nie przysłam z bajkowego domku o parszywie wczesnej godzinie, że Anna Schaum postawiła na zaawansowany monitoring posesji. Do tego nie miałam sprzętu. Czułam się przez to ohydnie bezbronna. Ani fałszywego dowodu tożsamości, ani zestawu hakerskiego, ani spluwy, nic.

Daac przedstawił mnie znajomym i zostawił samą na zapleczu, żebym się ucharakteryzowała.

„Zrób coś z włosami” – rzucił na odchodnym.

Chociaż nie mogłam odmówić mu racji, lubiłam swoje dredy, więc podwinęłam je i wcisnęłam pod mało gustowną czapkę z daszkiem z brązowego welwetu.

Od frontu dobiegał głos Daaca, który rozmawiał z właścicielami sklepu, Patem i Ibisem. Na szczęście byli to mężczyźni, do tego zadurzeni w sobie, więc nie musiałam się obawiać, że któryś z zazdrości wsadzi mi nóż między łopatki. Co innego Anna Schaum: oparta o kontuar, z trudem maskowała wściekłość. Trzeba było na nią uważać.

W „Emporium” sprzedawano kamienie szlachetne, minerały lecznicze, kryształy, prawdziwe szczątki z wykopalisk i skalnych wodopojów, indiańskie pióra i ogólnie mnóstwo rarytasów dla obywateli Vivy, szukających bliższego kontaktu z duchowym światem. W witrynie wystawiono tyle okazałych lampek lawowych i kaskadowych, że trzeba było wynająć stróżów, którzy odganiaли zahipnotyzowanych przechodniów.

W tej chwili sklep był zamknięty.

W Trójce też się oferuje na sprzedaż bogate zbiory szamańskich przyborów, ale nikt ich tak nie pucuje ani tak starannie nie układa. Tam towary często noszą ślady krwi i innych płynów organicznych.

Daac zauważył, że rozglądam się z ciekawością, bo zawołał mnie, żebym do nich podeszła. Nagrał sobie u mnie tym zwędzeniem mi sprzętu, ale że nie miałam szans na zdobycie nowego, musiałam ulec szantażowi.

Postanowiłam jakoś ścierpieć jego towarzystwo, byle nie wchodził mi w paradę. Jeśli chce mi patrzeć na ręce, proszę bardzo, może nawet będzie z niego pożytek, ale zaraz po skopiowaniu plików, o które prosił Lang, daję dyla i tyle!

Niecierpliwie podkasałam spódnicę, wtykając brzegi pod tasiemkę majciorów. Termin dany mi przez Langa zbliżał się wielkimi krokami, a ja miałam paradować przed koleżkami Daaca w tym cienkim obrzydlistwie?

Czasem jednak sprytem można dojść daleko, a ja chciałam się czegoś dowiedzieć o tajemniczej sieci powiązań, którą stworzył Daac. Jak poznał tych wszystkich ludzi? Wydawało się, że Kiora Okoń, Pat i Ibis, w odróżnieniu od Anny Schaum, nic nie znaczyli, nie rzucali się w oczy. Pieniędzmi nie śmierdzeli, wysoko postawionych przyjaciół chyba też nie mieli...

Wychodząc z zaplecza w luźnej, ekscentrycznej kiece, czułam się gola. Przy czym nie chodziło o wstyd, tylko o wizerunek. Nie pasował do mnie typ słodkiego dziewczątka... z czego się cieszyłam.

Spojrzenie Daaca nie poprawiło mi humoru.

– To się nosi do kostek, Parrish – bąknął ze wzrokiem na moich udach.

Anna bacznie mu się przyglądała. Jej bladoniebieskie oczy były zimne, jakby się zamieniła w figurę woskową.

– O złotko! Boskie... boskie masz nogi... – zapiał Pat, żeby przerwać krępującą ciszę.

Pat miał piskliwy, dziewczęcy głosik i zgrabną sylwetkę.

Wiedziałam, że gdyby się odwrócił, zaprezentowałby pośladki twarde jak z żelaza. Siłowniany wyjadacz z roześmianą, łobuzerską gębą.

Prychnęłam lekceważąco. Gdyby nie to, że przygotował mi zajebiste śniadanie, dałabym mu kopniaka w ten wymuskany zadek.

– Fenomenalne – zgodził się Ibis, miażdżąc pulchnymi ustami pączka z cukrem pudrem.

Ibis prawdopodobnie nigdy nie zaszczycił siłowni swoją obecnością. Pewnie miał dupsko miękkie i rozlałe jak ciasto przed włożeniem do pieca – idealny bufor dla umięśnionego Pata. Wyobrażałam ich sobie w łóżku, jak Ibis z rozkoszy telepie fałdami tłuszczu.

Daac pozeroł mnie wzrokiem, Anna zaś Daaca.

– Nie żartuj – burknęłam, nieczuła na komplementy. – Kto widział takie dziwadło?

– Tutaj wszyscy wyglądają podobnie – stwierdził Daac.

Coś w tym było. Miał na sobie luźne, białe spodenki i nierówno zafarbowaną koszulkę 3D. Od patrzenia na spiralki robiło mi się niedobrze. Ibis włożył połyskujący dyskotekowy kombinezon, na głowie miał ohydne czerwone afro. Pat wbił się w obcisły, czarny strój, obwieszony złotymi-łańcuchami.

Słyszałam, że w Vivie panuje szalona moda na idiotyczne ciuchy z dawnych lat... ale co innego słyszeć, co innego zobaczyć.

– Moim zdaniem, wygląda okropnie – oświadczyła Schaum.

– Bez obrazy, złociutka, ale co ty wiesz o modzie? – zganił ją Ibis z poważną miną.

Schaum oblała się rumieńcem ciemnym jak jej znamiona. Starła się nie patrzeć na swój prosty, szarobrązowy kostium.

– Bez obrazy, Ibis, ale ty nie jesteś zwykłą ofiarą mody, ty jesteś ofiarą śmiertelną.

Chciało mi się śmiać, gdy tak na siebie naskakiwali.

– To jak, Loyl-me-Daac, zbadamy wodę? – interweniował Pat. – Co powiesz na mały przedobiadek?

– Co to ma być ten przedobiadek? – spytałam podejrzliwie.

Schaum parsknęła pogardliwie.

Daac spojrział na nią z wyrzutem.

– Pat proponuje, żebyśmy wyszli coś zjeść do knajpki, sprawdzili klimat.

– Jaki znowu klimat!? – Ale ze mnie sierota! Nie łapię, co się do mnie mówi!

– OneWorld pokazuje twoją twarz we wszystkich programach. Najpierw przygoda z interogatorem, teraz uciekasz przed helikopterami. Pokaż jej, Pat, niech zobaczy.

Pat bez słowa odtworzył na sklepowym ekranie ostatnie wiadomości. Gadali w kółko o morderstwie Razz Retribution, zakazie opuszczania Trójki... i o mnie. Mieszmasz kompromitujących obrazów tworzył dramatyczną historię zbrodni w afekcie, popełnionej przez społecznego wyrzutka, który wkroczył na drogę nieprawości. Niejaką Parrish Plessis.

Ledwo się rozpoznałam na starych zdjęciach, jeszcze bez dredów, skrzywionego nosa i zapadniętych policzków.

– Niesamowite – mruknął Daac.

Nie wiedziałam, co konkretnie ma na myśli.

Było sporo materiału sfilmowanego w moim rodzinnym domu, pokazywali też Kat grającą w baseball w Eurazji oraz zbliżenia twarzy Rene i Kevina. Kevin miał dużo do powiedzenia. W posługiwaniu się niektórymi słowami, takimi jak „socjopatka” czy „nihilistka”, musiał się ćwiczyć przez wiele dni.

Szczęka mi opadła. Mimo ironicznego spojrzenia Anny Schaum nie mogłam zamknąć ust.

– Zrobili ze mnie zabójcę Razz Retribution – bąknęłam. – Mnie i Stolowskiego.

Daac miał skruszoną minę.

– Byłaś ze Stolowskim, kiedy terro cię szukał. Media lansują wersję, że wzięłaś sobie Stolowskiego na współnika i z nim ukartowałaś morderstwo. Twoja widowiskowa ucieczka z Trójki potwierdza tę hipotezę.

– Ale ja tego nie zrobiłam! – krzyknęłam, oburzona.

– Przykro mi, Parrish. Nie wiedziałem, że tak się to potoczy. Że zostaniesz wplątana.

– Nikt mnie nie wplątywał! – warknęłam jeszcze głośniejszym głosem. – To tylko cholerna dziennikarska nagonka! – Nawet w moich uszach brzmiało to mało przekonująco.

Bo tak naprawdę trudno było mówić o nagonce. Nagonka kojarzy się z kampanią oszczerstw, które na końcu mogą zostać odszczekane. A widzowie mogą zakwestionować to, co się im pokazuje. Niestety, nikt niczego nie będzie kwestionował. Jeśli One World ogłosi człowieka bandytą, nie ma odwołania. Prawda jest nieistotna, liczy się tyle co szcurze łajno.

– Słuchaj no! – fuknęłam na Daaca. – Mam coś do zrobienia, ale jak to zrobić, skoro cała główniana sieć zagłąda mi pod kieckę?

Wzruszył ramionami, choć ten gest bezradności przeczył jego sprytowi.

– Czemu nie opowiesz mi o swoim zleceniu? Mógłbym ci pomóc.

– Niby z jakiej paki?

– Powiedzmy, że obie strony coś by z tego miały.

Cóż, przyparł mnie do muru. Przyjmujesz pomoc albo zapomnij o sprzęcie. Pewnie nie wiedział, że przyparta do muru, robię rzeczy nieprzewidywalne. Rzuciłam się na Annę, przysunęłam ją do siebie i owinęłam jej szyję ramieniem. Była tak lekka, że oderwałam ją od ziemi w charakterze tarczy.

Ibis sapnął, wystraszony, i odciągnął ode mnie Pata.

– Dawaj sprzęt albo sama będzie potrzebować opieki lekarskiej!

– Parrish! – krzyknął ostrzegawczo Daac.

– Ty śmieciu! – bluznęła przez ramię Anna Schaum.

Ścisnęłam jej szyję ile wlezie, ale tak, by nie złamać karku. Dużo siły mnie to nie kosztowało. Rozryczała się jak małe dziecko.

Ibis krył się za Patem, choć był od niego o pół głowy wyższy, ten zaś gapił się na mnie z ciekawością, bez specjalnej troski o kobietę, której działa się krzywda.

Tylko Daac zrobił coś w jej obronie.

– Nie bądź głupia, Parrish. Puść ją. Bez nas niewiele zdziałasz.

– Bez was? – prychnęłam ze szczerą wzdargą. Na cóż mi dwaj sprzedawcy lawowych lampek, niezrównoważony naukowiec i największy dupek, jakiego ziemia nosi?

Daac mówił dalej spokojnym i skalkulowanym tonem, jakby rozbrajał bombę. Czyżby opracował go sobie na rozmowy ze mną?

– Pat i Ibis zaprowadzą cię do każdego miejsca w Vivie. Anna w razie czego wyleczy cię i poskłada do kupy, a nawet wyposaży w niezbędne nakładki. Ja będę cię chronić...

– Chronić?! Znowu zaczynasz? Kiedy ty wreszcie zrozumiesz, że ja nie potrzebuję ochrony? Daj mi święty spokój! Wynoś się z mojego życia!

– Loyl, proszę cię – stęknęła Schaum.

Z kabury ukrytej pod koszulą Daac wyciągnął gładki, matowy pistolet i wycelował mi w głowę.

– Puść Annę, Parrish. Nie musisz się nad nią znęcać.

– Jasne, że nie. Oddaj mi sprzęt i więcej mnie nie zobaczysz.

Zauważyłam na jego twarzy ślad niepewności. Dawał mi nadzieję.

– Złamię jej kark, Daac. Chyba nie chciałbyś tego. Jeśli strzelisz, możesz ją trafić. Tego też byś nie chciał. Kto by dalej prowadził badania?

Ostatnią groźbą trafiłam w czuły punkt. Czymkolwiek zajmowała się Anna, było to dla niego na tyle ważne, że dał za wygraną. Opuścił pistolet z odrazą. Do kogo czuł wstręt? Do mnie czy do siebie?

– Pat, skocz po jej rzeczy.

Pat kiwnął głową i zniknął.

– Popelniasz błąd, Parrish – rzekł cicho Daac. – Nie myśl sobie, że zdobędziesz to, czego żąda Lang, i uciekniesz stąd bezkarnie.

Pat wrócił i wręczył Daacowi mój sprzęt.

– Przysuń plecak po ziemi! – Zgięłam się w kolanach, ciągnąc w dół Schaum. – Podnieś! – rozkazałam jej. – Powoli. – Nie spuszczałam wzroku z Daaca.

Stał niezadowolony, wkurzony na maksa, z miną rozkapryszzonego smarkacza, któremu się odmówiło. Kurczowo ścisnął pistolet, lecz wiedziałam, że nie strzeli, póki trzymam tę świruskę, bez której nie mógł się obyć.

Skinęłam głową w stronę Pata i Ibisa.

– Dzięki za śniadanie. Nic do was nie mam, kapujecie?

Pat patrzył na mnie z czujnym wyrazem w jasnych oczach. Stojący za nim Ibis przesłał mi pocałunek. Niektórzy faceci to urodzeni flirciarze!

Wolno wycofałam się z Anną do drzwi i dwa razy przytknęłam w zamek naciskowy. Dzięki temu Daac, gdyby zechciał mnie gonić, straciłby kilka dodatkowych sekund na otwarcie drzwi. Następnie chwyciłam plecak i pchnęłam Annę prosto w jego objęcia. Musiał rzucić pistolet, żeby ją złapać. Odzyskał równowagę, tylko że ja byłam już na zewnątrz i biegłam co sił w nogach.

* * *

Zanim poczułam ogień w płucach i nogi zrobiły mi się jak z waty, zdążyłam się zgubić na amen. Żebra i ramiona rwały mnie diabelsko, ale przynajmniej odzyskałam sprzęt. I chociaż czułam się, jakby po całym świecie rozesłano za mną listy gończe, kamień spadł mi z serca.

Przemknęło mi przez myśl, że powinnam zapomnieć o Jamonie i Langu, zaszyć się gdzieś w Vivie. Ale to nie takie proste! Nie dostałabym pracy, nie mogłabym się starać o zasiłek. Przymierałabym głodem. W supermieście nie znalazłabym już dla siebie miejsca, choć trochę sobie pomarzyłam, spacerując szerokimi, obsypanymi liśćmi ulicami i przechodząc, jak wszyscy, na świecących pasach.

Viva jest pięknym i zadbanym siedliskiem ludzkości.

Człowiek musi mieć trzydzieści milionów kredytów rocznych dochodów, żeby tu mieszkać, a i to ledwie wiążąc koniec z końcem. Gości i turystów nikt nie wypędza, lecz pokoje noclegowe są uważnie monitorowane, a waletowanie uchodzi za poważne przestępstwo. Podobnie jak włóczęgostwo, bezdomność, posiadanie narkotyków (niektórych rodzajów) i podejrzane zachowanie. Viva to bezpieczne miasto dla bezpiecznych ludzi.

Dla niebezpiecznych – zabójcze.

Urodziłam się na przedmieściach, w rzadko zabudowanej dzielnicy wielkiego miasta, gdzie nikt nie dostaje do ręki zarobionych pieniędzy, a bank czuwa nad edukacją, zaspokaja codzienne potrzeby i płaci podatki. Na przedmieściach człowiek może odnieść wrażenie, że jest czymś jak truteń w ulu, gdy dla zapewnienia sobie wygodnego życia służy mediom i królewskiej rodzinie bankowej.

Mój ojczym Kevin chciał ze mną romansować. Zabierał się do tego w sposób przeciwiony z Rene: napastował mnie, kiedy się schlałam lub spałam. Na szczęście czułam jakiś wewnętrzny opór, choć może było to tylko pragmatyczne podejście do sprawy. Przecież wiedziałam, co się stało z Rene. Skoro wzięły w łeb sprawdzone sposoby, Kevin postanowił skończyć z podchodami. Próbował mnie zgwałcić w obecności mojej matki, kiedy leżała pogrążona w swoim świecie fantazji.

Wyprowadziłam się, inaczej bym go zabiła. Zdążył mi jednak zdefasonować twarz. Wmawiałam sobie, że wszystko mi jedno, czy będę miała prosty nos, czy nie. Prawda jest taka, że nie chciałam go poprawiać. Nie chciałam zapomnieć.

Sektor Trzeci, tak zwana Trójka, pozwolił mi odżyć na nowo. Żadnego planowania jadłospisu z rocznym wyprzedzeniem, rozliczania się z każdego kredytu czy też obleśnego, pazernego Kevina. W Trójce czubków nazywa się czubkami, a nie neurouzależnionymi.

Mieszkańcy Trójki mają przynajmniej pewien honor, na jakim czasem zależy ludziom, gdy wszystko inne im odebrano.

Kusiły mnie zwłaszcza te gorsze rejony Trójki. Wydawało mi się, że wreszcie będę mogła decydować za siebie, że zaznam wolności. Nic bardziej mylnego. Kiedy na horyzoncie pojawił

się Jamon, skończyły się dobre czasy.

Teraz nie mogłam już wrócić na przedmieścia. Degeneratów poddają tam kwarantannie i resocjalizacji. Choćby nie wiem jak źle mi było, nie zamieszkałabym w supermieście. Jeśli z kolei chciałam mieszkać w Trójce, musiałam stamtąd wysiudać Jamona. W ciągu roku wiele się nauczyłam. Teraz dowiadywałam się, do czego jestem zdolna w sytuacji podbramkowej.

Kilka lat temu szukałabym oparcia w kimś takim jak Daac, dołączyłabym do grona jego wielbicieli, stanęłabym w kolejce. Dziś uczyłam się polegać wyłącznie na sobie, korzystać z własnych umiejętności.

Przy ruchliwej ulicy znalazłam kawiarnię z kilkoma wejściami, usiadłam więc przy stoliku blisko drzwi. Zamówiłam wodę gazowaną i zaczęłam czytać mapę miasta, narysowaną na odwrotnej stronie kartki z jadłospisem. Kelnerce zapłaciłam kredytami z fałszywki, którą nabyłam przy straganie na Plastyku.

W zamian przez pół roku uczyłam właściciela hapkido i dałam mu nóż do rzucania.

Dom, którego adres dostałam od Langa, znajdował się w wewnętrznym kręgu miasta, gdzie większość ulic patrolują kamery. Co gorsza, w wychuchanej dzielnicy portowej na wysepce M'Grey, a tam ciężko się wdrzeć nawet doświadczonemu włamywaczowi.

Dałabym wszystko za zdolność zmiany wyglądu, której zazdrościłam Langowi, lub dwunastogodzinny zabieg plastyczny u Doll. W niewygodnej welwetowej czapce i narzuconej na bezrękawnik przeświecającej sukience nie czułam się zbyt pewnie.

Gryząc czubek palca, rysowałam na serwetce różne trasy.

Jednak którądykolwiek bym poszła, cel był równie daleko. Daac ostrzegał, że robota dla Langa może się dla mnie źle skończyć.

Wolałam o tym nie myśleć.

Westchnęłam nad szklanką wody, przeciągnęłam się i sprawdziłam stan żeber i barku. Nie bolały już tak bardzo, a i ja się lepiej czułam po śniadaniu Pata, które zawierało świeże składniki odżywcze, jakich od wielu lat nie kosztowałam.

Gapiałam się na przechodniów przez witraże w oknach.

W Vivie, inaczej niż w Trójce, nie ma ciasnoty. Wszędzie ładnie pachnie i zastanawiam się, czy przypadkiem nie zbudowali tu olbrzymiego systemu filtrowania zapachów.

Nagle drzwiami od południa weszli do środka dwaj mężczyźni. Trzymając się za ręce, podreptali do kontuaru. Pat i Ibis!

Od razu poznałam ich sylwetki.

Adrenalina mi skoczyła. Z pewnością mnie szukali i zbiegiem okoliczności trafili na mój trop.

Wcisnęłam do kieszeni kartkę z jadłospisem, wzięłam plecak i chyłkiem wyszłam z kawiarni.

Po ulicach chodziło więcej ludzi. Opuszczali miejsca pracy, by w czasie przerwy na lunch przekąsić coś w kafejce lub na ławce na placyku. Palmy rzucały cień na chodniki, a wciśnięte między nie, wypielęgnowane bugenwille roztaczały w powietrzu woń nadmorskiej plaży.

Słońce ślizgało się po odblaskowych krawędziach bloków mieszkalnych. Każdy z nich wydawał się zlewać z następnym i następnym. W porównaniu z Trójką, brudną i zaniedbaną, Viva lśni jak klejnot.

W sklepach z pamiątkami można kupić miniaturowe repliki miasta, przykryte szklanymi kopułkami. Po naciśnięciu guzika wschodzące słońce opromienia szczyty budynków, a później, zachodząc, oblewa je różową poświatą. Przypomniały mi się stare filmy, tak popularne pięćdziesiąt lat temu, w których na sam koniec okazywało się, że bohaterowie nie żyją na planecie, ale pod szklanym kloszem, szybującym w przestrzeni kosmicznej.

Gdyby nazajutrz rano mieszkańcy Vivy dowiedzieli się, że fruwią kometa po Ostrodze Perseusza, pewnie by się nie przerazili. Mieliby to w nosie, byle na ulicach było czysto, w kafejkach podawano cappuccino, a OneWorld pozdrawiał ich codziennie w sypialniach i salonach.

Wiem, że to zabrzmie cynicznie, ale w Vivie żyje się fajowo.

Prezentowane na żywo dziennikarskie obławy poza Vivą mogłyby się równie dobrze odbywać na innej planecie. Dlatego właśnie wiedziałam, że mam już wyrok za zamordowanie Razz Retribution. Media wskazały na mnie. Widzowie nie będą pytać, czy jestem aktorką, czy prawdziwym zabójcą. Chcą mieć czyste sumienie i wyspać się porządnie.

Rozrywka tania i bezbolesna. Też się na taką piszę... byle nie robiono ze mnie głównej atrakcji.

Patrzyłam, jak wolno przesuwa się skład kolejki miejskiej.

Na jednym wagonie nowoczesny billboard reklamował wiadomości OneWorldu. I nagle skóra mi ścierpła. Znałam twarz z tej reklamy. Młoda, wychudzona dziewczynka, niezdrowa cera, wojownicza postawa. Takich twarzy nie spotyka się w Vivie.

Bras! I miała ręce...

Chętnie pogoniłabym za tym pociągiem i wtargnęła do wagonu, żeby się rozejrzeć, lecz z tyłu sunął wóz policyjny niczym przerośnięta stonoga o stu parach oczu. Schyliłam się odruchowo, jakby coś mi wypadło z rąk, i przykucnęłam za publicznym komem.

Policyjne stonogi bez wytchnienia filmują ulice, a programy do identyfikacji osób analizują zdjęcia, żeby wyłowić takich jak ja gagatków. W tej metodzie najważniejszą rolę odgrywa ślepy traf, dlatego jest taka niebezpieczna.

Kiedy pojazd się oddalił, podjęłam decyzję. Jeśli będę się tu kręciła, napatoczę się na Daaca i jego przyjaciół lub zgarnie mnie policja, dlatego wskoczyłam do pierwszego lepszego pociągu, jadącego w stronę centrum.

ROZDZIAŁ 13

Z mapy się dowiedziałam, że uliczka Circe Crescent znajduje się w dzielnicy portowej na wyspie M'Grey, w odległości co najmniej stu kilometrów od wybrzeża morskiego lub najbliższej rzeki. Wykopano tam olbrzymią dziurę w ziemi, wpompowano wodę i sztucznie ją zabarwiono, żeby odróżniała się połyskiem od wszystkich pospolitych odcieni błękitu.

Na wyspie jest dwieście kanałów, a otaczającej wody tyle, że dużą popularnością cieszą się popołudniowe rejsy wycieczkowe i wędkarstwo na zarybianym akwenie. Na jezioro wolny wstęp mają tylko miejscowi, więc ogrodzono je zębatym, trudnym do sforsowania murem, co uniemożliwia dojazd obcym łodziom od strony głównego lądu. Przewrażliwieni bogacze mają więc swoją oazę spokoju. Cel mojej podróży znajdował się na samym środku wyspy, gdzie kanały są wąskie i za duże pieniądze dostosowane do osobistych upodobań.

Wyskoczyłam z pociągu na wcześniejszej stacji, by dalej pójść pieszo. Na wypadek gdyby ktoś na mnie czekał. Na razie, jeśli nie liczyć stonóg, nic się właściwie nie działo. A to budziło niepokój.

Jadąc pociągiem, dwukrotnie zobaczyłam twarz Bras z reklamy OneWorldu: raz na fruującym billboardzie, raz na olbrzymim ekranie, wmontowanym w ścianę gmachu Viva Banku. W towarzystwie samego króla Bana. Chyba żyła, ale od zastanawiania się gdzie i czemu rozboleła mnie głowa. Może nie potrzebowała już mojej pomocy, postanowiłam jednak wy badać sytuację, gdy tylko wykonam zlecenie Langa.

Szłam przed siebie rozkojarzona – jak osoba, która zna drogę, ale ma tysiąc rzeczy do przemyślenia. W wewnętrznym sektorze ludzie poruszali się własnymi stonogami. Kto spacerował, tego prawdopodobnie filmowały ukryte kamery.

Pochyliłam się i weszłam do ruchomego kiosku z prasą, odwracając twarz od receptorów serwitorki. Kiosk był szczerze wyposażony w przynajmniej setkę ekranów, ale czy mogło być inaczej w tak bogatej okolicy?

– Jakie wiadomości pani sobie życzy? OneWorld? Oddworld? Tabloid? – spytał serwitor umiejętnie modulowanym głosem.

Ciekawe, który znany prezenter posłużył jako wzorzec?

– Na razie przeglądam – mruknięłam, próbując zmienić barwę głosu, na wypadek gdyby kiosk był zapluskwiony.

W głównych wiadomościach przewijały się fragmenty najważniejszych informacji z rozmaitych serwisów. Raz na moment pojawiła się buzia Bras; lektor z nosowym akcentem serwitora wychwalał filantropię króla Bana, który przyjął bezdomne dziecko do rodziny królewskiej.

Bras w pałacowych komnatach? Szalony pomysł, nie ma co, obliczony na zwiększenie oglądalności i poprawę wizerunku banku. Czy inaczej król Ban przygarniałby kocmołucha z Trójki?

Oprócz dziewczynki moją uwagę przykuła... Parrish Plessis.

Trudne to było do przełknięcia, ale Daac miał rację. Gdybym została przy swojej firmowej fryzurze i obcisłym ubraniu, pewnie bym teraz grzała dupę w miejskim mamrze. Rzuciłam się w oczy jak rozświetlony neon. W wysokiej czapce i meduziastej sukience mogłam uchodzić za mieszkańca Vivy.

– Czas bezpłatnego przeglądania wynosi piętnaście minut. Pani przebywa tu od trzynastu minut i trzydziestu dziewięciu sekund. Proszę o włożenie klipsa kredytowego lub opuszczenie kiosku. Dziękujemy naszym wiernym klientom.

Dziękujemy naszym wiernym klientom! Gdyby nie to, że moja twarz była wymalowana na każdym ekranie w globalnym mieście, wetknęłabym do tej plastikowo-tytanowej mordy jeden z moich wybuchowych amuletów. Oj, świerzbiły mnie palce.

Tym razem jednak zwyciężył zdrowy rozsądek.

Zatrzymałam zdjęcie Bras, wzięłam przysługującą mi darmową odbitkę i wyszłam z kiosku w obawie, że serwitor wnerwi mnie jeszcze bardziej.

Po ulicach tam i z powrotem dreptały stonogi. Kilka zakochanych par spacerowało bez celu. Nie to co w Trójce, gdzie pęd życia graniczy z histerią. Pustawy chodnik napawał mnie lękiem, lecz musiałam przywyknąć do szerokich przestrzeni.

Kryciem się po kątach zwracałabym na siebie niepotrzebną uwagę.

Zwolniejszy kroku, wlokłam się za grupką czterech spacerowiczów, aż doszliśmy do rozległego parku przy jeziorze. Śmiali się, żartowali i rzucali smakołyki ptakom i genetycznie modyfikowanym rybom, które podpływały jak na zawołanie.

Mężczyźni nosili ubrania w stylu safari – jeden w czarne łaty, drugi w granatowe – kobiety zaś białe meduziaste kiecki podobne do mojej. Równomierna opalenizna i nieskazitelna karnacja uniemożliwiały określenie wieku. Równie dobrze mogli mieć po dwadzieścia lat, jak i po sześćdziesiąt.

Życie w Vivie, gdzie nie brakuje pełnowartościowego jedzenia i czystej wody, z pewnością ma swoje zalety, lecz daleko mu do doskonałości. Dziennikarze Wspólnej Sieci bili na alarm:

liczba urodzeń spadła do poziomu najniższego w dziejach ze względu na niedogodności związane z naturalnym poczęciem.

Król Ban sponsorował badania nad lekarstwami na płodność oraz tak zwaną przenośną aparaturą do chowu macicznego, co miało zaowocować pokoleniem zdrowych, pięknych obywateli.

W każdym domu jeden!

Jak na ironię, w Trójce mówi się o eksplozji demograficznej.

Z tym że ludzie żyją tam dużo krócej. Tak sobie natura z nas zażartowała. Wygląda na to, że tylko biedaki i szajbusy chcą rodzić i wychowywać dzieci.

Usiadłam na krześle i pacnęłam w nos porcelanowego gнома, który wyjechał ze śpiewką dla turystów:

– Wyspa M'Grey jest pięknym przykładem dbałości, z jaką mieszkańcy Vivy przekształcają rzeźbę terenu. Wielu szanowanych Australijczyków spędza wolny czas na sztucznej wyspie. Miejskowa społeczność do tego stopnia ceni sobie prywatność, że wyspa jest objęta całonocnym monitoringiem. Wycieczki organizowane są raz w miesiącu, bilety do nabycia na stacji przewozu turystów. Recyklowaną słoną wodę, zasilającą kanały i jezioro, pompuje się podziemnymi rurami. Ryby przystosowane do życia w tych warunkach są wspaniałą ozdobą wód, wędkarze mogą je łowić dwanaście miesięcy w roku. Spożywanie ryb nie jest zalecane. Wyjątkową ciekawostką jest malowniczy most ruchomy, który wieczorem odrywa się od miejsca cumowania i unosi do rana nad jeziorem. Dzięki temu nikt nie zakłóca nocnego spokoju mieszkańcom wyspy. Od marca do czerwca rodzina królewska odwiedza tu swoją rezydencję, aby korzystać z miłej atmosfery i sportów wodnych podczas plażowego wypoczynku.

Ostatnie słowa gnom wypowiedział przesłodzonym tonem.

* * *

Wydobyłam z plecaka zdjęcie Bras i oglądałam je przez chwilę, zerkając kątem oka na pomarszczoną wodę. Twarz dziewczynki, choć chuda i koścista, wydawała się czysta. I miała nowe ręce. Wszczepili jej naprawdę, czy był to jedynie trik komputerowy? Prześladowały mnie wspomnienia jej szczerzej wdzięczności, chęci, z jaką dzieliła się swoim nędznym jedzeniem. Czy podobało jej się życie w Vivie?

Przede mną wynurzyła się policyjna wodna stonoga i z pluskiem wieloryba dała nura pod wodę. Po krótkim czasie znowu wypłynęła. Po godzinie przyglądania się wodom jeziora miałam pewność, że tędy nie dostanę się na wyspę.

W głowie ciągle mi dźwięczały słowa Daaca: „Pat i Ibis zaprowadzą cię do każdego miejsca w Vivie”. Może niepotrzebnie się z nim rozstawałam? Nawet jeśli miał na pieńku z Langiem,

mnie to nie dotyczyło. Co mi szkodzi zabrać go ze sobą? Niechby sobie patrzył. Jeśli doprowadzi mnie na miejsce...

Namacałam pod kaftanem klips do komu, który od niego dostałam. W Vivie publiczne komy można spotkać na każdym kroku, wystarczyło więc po prostu zadzwonić. Wstałam i podeszłam do najbliższego urzędnika. Wyciągnęłam już klips, gdy raptem coś mnie tknęło, coś odpowiedziało mi z całą mocą: Nie ufaj mu, Parrish. Nie ufaj nikomu!

Schowałam klips i szybko poszłam na stację. Gdybym się wałęsała koło jeziora, policyjna stonoga w końcu zechciałaby mi się lepiej przyjrzeć. Postanowiłam wrócić przed godziną policyjną. W międzyczasie chciałam klapnąć gdzieś, gdzie nie będę rzucała się w oczy.

Pora na drugą szklankę wody.

* * *

Pół godziny przed zmrokiem byłam z powrotem nad jeziorem, razem z turystami, którzy przychodzili, żeby pogapić się na ruchomy most. Kręciłam się między nimi, przygarbiona, udając, że należę do grupy.

Przedostałam się w pobliże mostu i posłuchałam, jak automat odlicza i wyjaśnia procedurę odłączenia. Główną sekcję, jeśli dobrze zrozumiałam, napędzało sześć silników lotniczych z regulacją siły ciągu, obudowanych wymyślnymi przyrządami do tłumienia hałasu. Z chwilą uniesienia się mostu wyspa M'Grey była odcięta od świata, tym bardziej że w nocy obowiązywał zakaz lotów nad jeziorem.

Mechanizm odłączania mostu był w pełni zautomatyzowany, choć po tej stronie stała budka strażnicza, w której czuwali policjanci. W żadnym razie roboty: rezydenci wyspy mogli sobie pozwolić na zatrudnienie ludzi.

Kiedy rozważałam pomysł ukrycia się na moście, informator turystyczny oznajmił, że czujniki ruchu wykryją każdy obiekt większy od cykady.

Z miną niewiniątka oglądałam teren wokół budki. Nie zauważyłam żadnych punktów zaczepienia. W pobliżu nie było miejsc, gdzie mogłabym się ukryć lub choćby na chwilę przycupnąć. Czoło nabrzeża, od którego odpinał się most, ozdobiono drutem kolczastym pod napięciem, imitującym graffiti. Jeśli się nie usmażę, zastrzelą mnie na otwartej przestrzeni!

W żołądku ścisnęło mnie ze strachu. Jak się dostać na wyspę? Znowu zamarzyło mi się zniknąć, bym nie musiała już dołować się Jamonem, Langiem, Loylme-Daakiem i Razz Retribution. Niestety, w życiu kłopotów nigdy nie ubywa, wręcz przeciwnie.

Pod koniec przedstawienia pod budkę podlaźła mała, powietrzno-lądowa stonoga i znieruchomiła. Chyba miała zabrać strażników po służbie. Sama budka wyglądała jak schron przeciwoatomowy, zabezpieczona przed włamaniem na wszystkie możliwe sposoby, więc po

oderwaniu się mostu ludziska pewnie zamykały interes i wracały do domu.

Czyżby promyk nadziei? Przeniosłam spojrzenie na stonogę. A jakby tak...

Ostatnią grupę, do której się podpięłam, tworzyli prowincjusze w średnim wieku. Jedna z nich – gładka blondynka, cała w drogich, złotych tatuażach, z fryzurą ułożoną na kształt twarzy – w kółko paplała z przejęciem, jak to na północnej półkuli, skąd przyjechała, wszystko wygląda lepiej. Nikt nie zwracał uwagi na jej gadaninę.

Uśmiechnęłam się do niej i zagadałam zmienionym głosem:

– Fascynujące, nie uważa pani? A w stróżówce nie robociaki, lecz najprawdziwsi ludzie! Nie do wiary.

– Ależ skąd, kochana! – zaćwierkała, obruszona. – Prawdziwi jak gonady mojego męża nieboszczyka!

Na chwilę wyłączyłam wyobraźnię i brnęłam dalej:

– Zakład, że to ludzie?

Oczy jej pojaśniały.

– Jak to sprawdzić?

– Przez dotknięcie – powiedziałam stanowczo. – Innego sposobu nie ma.

Wahała się.

– Pięć tysięcy unikredok. – Pomachałam jej przed nosem fałszywką.

Zwyciężyły w niej emocje, chęć zysku.

– Dobra, jak to załatwimy? – zapytała szeptem.

– Kiedy most się ustabilizuje, strażnicy kończą służbę. Wystarczy poczekać, aż wyjdą. Wtedy ich sobie grzecznie zmolestujemy. Może być?

Popatrzyła na swoją grupę, a potem na mnie. Kiwnęła głową.

– Gregor, serce! – zawołała. – Zaprowadź resztę do hi-telu. Zaraz was złapię.

– Jak chcesz, Prim. – Gregor musnął ją znudzonym spojrzeniem i z ochotą wykonał polecenie.

Kiedy oddalił się z przyjaciółmi, podeszliśmy do stonogi. Most, całkowicie już odłączony, wznosił się na wymaganą wysokość. Buczał w powietrzu jak olbrzymia wałka ze srebrnymi skrzydłami. Ostatni widzowie nagradzali spektakl oklaskami, gdy ja dogrywałam z Prim szczegóły planu.

– Zdaj się na mnie, serduszko. – Poklepała mnie po ręce dla uspokojenia i mrugnęła okiem. – Mam w tym doświadczenie.

Milczałam, zaciekawiona, co natychmiast spostrzegła.

– Stanowisko odprawy celnej. Nie wyobrażasz sobie, ilu facetów w życiu obmacałam.

Celniczka!

Serce mi łomotało.

– Nie powinnyśmy sprawdzić obie, co to za towar? – spytałam niepewnie.

Uniosła dwa palce.

– Słowo pracownika służb celnych. Bez kantów.

Niebawem strażnicy wyszli z budki i potrącając się, sprawdzili zamki. Prim zbliżyła się do nich, aby wykonać swoją misję.

Ja po kryjomu odpięłam z bransolety dwa wybuchowe amulety.

Kiedy nawiązywała znajomość ze strażnikami, starałam się wtopić w okolicę.

Po dwóch minutach świergolenia okręciła sobie strażników wokół palca. Wtedy rzuciłam amuletem w budkę. Odgłos niewielkiej eksplozji tak ich wystraszył, że rozbiegli się w popłochu. Strażnicy rozplaszczyli się na ziemi i ze wzrokiem wbitym w budkę sięgnęli po pistolety. Prim kulila się obok stonogi z rękami na głowie.

Podbiegłam do niej i zgmiotłam w garści drugi amulet, grzybka.

– Prim, pociągnij siebie!

Wstrzymując oddech, puściłam gaz prosto do jej nosa. Dopadły ją takie haluny, że zatoczyła się i rymnęła na ziemię.

Kiedy błąkała się w świetle zwidów, a strażnicy odstawiali antyterrorystów, przyskoczyłam do stonogi z drugiej strony, wlałam pod fartuch i zainstalowałam się w ramie podwozia.

Brzegi kaftana wcisnęłam pod tasiemkę i tak czekałam. Moje nadzieje opierały się na jednym założeniu: kiedy strażnicy stwierdzą, że budce nic się nie stało, polecą sprawdzić, czy na wyspie nie zdarzyło się nic podejrzanego. Przy odrobinie szczęścia pomyślą, że to Prim, serduszko, bawi się w sabotażystkę.

Nie zawiódł mnie instynkt. Po daremnym oblatywaniu okolicy i bezpardonowym przeszukaniu Prim zapakowali ją na tył stonogi i śmignęli nad jezioro.

Pomyślałam, że jeśli wytrzymam drgania i podmuchy powietrza, zniosę kurz i spaliny, nie przerażę się tego kaskaderskiego numeru, może będę żyła, gdy wylądujemy.

ROZDZIAŁ 14

Osiem godzin później patrzyłam już na 18 Circe Crescent z kryjówki między betonowymi słupkami na prywatnym moło.

Koło mnie cumowała wyścigowa motorówka. Na szybie kabiny odbijało się niebieskie światelko systemu alarmowego.

Po tym jak stonoga z zakutą w kajdanki Prim, która z ożywieniem bełkotała o cenach form fryzjerskich, nieświadomie przetransportowała mnie na przystań, przez resztę nocy walczyłam z atakami kaszlu (nawdychałam się tony kurzu w układzie wentylacyjnym) i przemykałam między kamerami, szukając właściwego adresu.

Znalazłam dom tuż przed świtem, kiedy padałam już ze zmęczenia, a moje zdolności taktyczne, którymi nigdy zresztą nie brylowałam, z malały do zera. Wiedziałam tylko, że mam wejść do środka, skopiować pliki i ulotnić się jak najszybciej.

Dręczyła mnie świadomość, że napotykam po drodze podejrzenie mało problemów, lecz wątpliwości są jak zdradliwa bestia, więc skradałam się dalej po podjeździe. W pobliżu nikogo nie było.

Włamałam się bocznym wejściem. Zwykła zasuwka i czujnik ruchu. Robota sama w sobie nietrudna, lecz musiałam uważać, bo z powodu pośpiechu i zmęczenia w moje poczynania wkładał się chaos. Na szczęście nie było innych alarmów, psów ani sprytnych pułapek.

W korytarzach wisiały ogromne portrety, sięgające od podłogi po sufit. Przedstawiały tę samą osobę, której twarz, doskonale wszystkim znaną, natychmiast rozpoznałam. Tylko że ja ciągle jeszcze niczego nie jarzyłam. Stęchłe powietrze i przykryte meble też nie otworzyły mi oczu. Oświeciło mnie dopiero wtedy, gdy w gabinecie na górze włączyłam peceta i napakowany laluś odezwał się do mnie milutko:

– Cześć, Razz, kochanie. Tak się za tobą stęskniłem. Dokąd chciałabyś pójść?

Palce mi znieruchomiały nad klawiaturą. Przecież to pecet Razz Retribution, do cholery! Włazłam do jej pieprzonego domu! Przypuszczałam, że obserwują mnie wszystkie gliny i dziennikarzyny tego miasta. Omiotłam wzrokiem każdy kąt, szukając kamer, a jednocześnie zastanawiałam się, kiedy przestaną zacierać ręce i wyjdą z ukrycia, żeby się zabawić.

Nieczęsto się zdarza, by podejrzany przestępca sam składał ręczki i prosił o zakucie.

Mało się nie spieniłam z wściekłości. Spieprzę im sprzed nosa! I wezmę to, po co tu przyszedłam!

Szybko wkleiłam swojego uaktualnionego robaka do systemu operacyjnego. Wirus natychmiast zabrał się do grzebania w firewallach. Czekaając, aż skończy, próbowałam wykonypować jakiś alternatywny sposób ucieczki. Na pewno nie wrócę na stały ład tym samym środkiem lokomocji – co to, to nie!

Dobra, ale jak inaczej?

Robak sforsował pierwszą przeszkodę i zaczął kwiczeć.

Bębniłam w klawiaturę, chcąc go przepchnąć przez olbrzymią falę zabezpieczeń, które pojawiły się za zaporą ogniową. Jeszcze nigdy nie zetknęłam się z tak silną drugą linią obrony. Tama rosła i rosła, wciąż do góry, zamykając wirusa w głębokiej, niedostępnej otchłani. Wszystkie polecenia, które wpisywałam, od razu były odrzucane.

Spocone palce ślizgały się po klawiszach. Chodziły pogłoski o takich blokadach. Królewska fala. Diadem. Były już na to określenia.

Po kilku sekundach robak został zmielony na kotlety, a ja miałam przed sobą znów lalusia. Pogroził mi palcem z pikseli.

– Nieladnie, nieładnie! Razz ceni sobie prywatność. Przed tobą kłopoty. – Odwrócił się, obrażony, i pokłusował w głąb ekranu.

Laluś i Merry 3 przypadliby sobie do serca!

Wrócił momentalnie w białym frymuśnym mundurze galowym, by mnie poinformować, jakie są moje prawa. Ogólnie wynikało z tego, że dostanę dożywocie za próbę kradzieży tajnych plików z komputera dziennikarki.

Prychnęłam z wyjątkową pogardą i spróbowałam włamać się tylnym wejściem. Zawsze można znaleźć niedomkniętą furtkę.

Moje palce znowu fruwały nad klawiaturą. Poruszałam się po komputerze jak zwykły użytkownik, aż otworzyłam notes... który wyświetlił mi wielką, pulsującą kłódkę.

Pamiętając o sztuczkach Teece'a, sprytnie dorobiłam sobie klucz i zaczęłam nim grzebać w zamku. Upłynęło wiele cennych sekund, nim go dopasowałam.

Za oknem gabinetu dostrzegłam helikoptery. Zlatywały się jak myszołowy do ciepłej padliny i lądowały na kosztownych, wyłożonych z rolek trawnikach.

Niebawem dokooptują stonogi. Jedna z nich będzie wyposażona w aparaturę obezwładniającą do blokowania połączeń nerwowych, druga – we wbudowany w tapicerkę wymyślny sprzęt do paraliżowania więźnia na czas przejazdu do mamra.

Mówi się, że kto odsiaduje dożywocie w więzieniu w Vivacity, może spokojnie dożyć stu pięćdziesięciu lat. Tyle że w samotności, cierpiąc psychiczne tortury, przerywane od święta

torturami fizycznymi.

Gdy kłódka się odemknęła, włożyłam do napędu krążek od Langa. Czekając, aż się skopiują pliki, składałam karabin.

W ten sposób uciekały kolejne sekundy.

Z każdego śmigłowca wyskoczyło czterech policjantów.

Szli na mnie tyralierą. Powinnam czuć się mile połączona: tyle zachodu z powodu mojej skromnej osoby? Bałam się jednak ich liczebnej przewagi. Za dużo ich było.

Kolejny hałas skierował moją uwagę na ekran peceta.

Tym razem nie robak, ale lalusz. Potrząsał pięścią i rzucał we mnie mięsem. Wydawał się osłabiony, prawie przezroczysty...

Pasek wskazujący postęp kopiowania wyglądał normalnie, lecz strumień niezrozumiałych danych przepływał przez lalusia i ozdabiał wzorkami jego mundur. Instynkt powiedział mi, że to zmyła. Pliki nie kopiowały się, ale... kasowały.

Lang dał mi zakichany program do czyszczenia danych!

Diadem się udobruchał, lecz informacje z twardego dysku wywiewały w kosmos tak szybko, jak szybko pot zraszał moje czoło.

Migiem wysunęłam dysk z napędu.

Lalusz odzyskał kolory i odegrał na trąbce fanfarę, mimo że sforsowano mury jego twierdzy. Zupełnie go zignorowałam.

Pośpiesznie wysypałam zawartość szufladek, żeby znaleźć coś, na co mogłabym przenieść dane. Gdy wkładałam dyskietkę do stacji zip, ręce mi się trzęsły ze złości. Znowu mijały cenne sekundy, a ja zrzucałam na dyskietkę wszystko, co tylko się dało. Potem schowałam ją razem z krążkiem do wewnętrznej kieszeni bezrękawnika i wypięłam z bransolety ostatnie cztery amulety. Dwóch czarodziejów, trójcę i anioła.

Obchodziłam gabinet, kryjąc się za żaluzjami. Po jednym helikopterku z południa i wschodu. Z północy i zachodu to samo. A więc miałam do czynienia z szesnastoma gliniarzami, którzy otoczyli mnie ze wszystkich stron świata.

Na najbliższym skrzyżowaniu pokazały się dwie stonogi.

Jeśli nie wykonam ruchu, nim podejda bliżej, będzie potrzebny mały cud, żebym stąd związała. Ale kogo ja oszukiwałam? Bez cudu i tak niewiele zdziałam!

Za pomocą podręcznej lampki lutowniczej wypaliłam dużą, nierówną dziurę w przesłonie antywłamaniowej i wsunęłam lufę karabinu między dolne listewki żaluzji.

Syreny zawyły wniebogłosy.

Namierzyłam pilota „południowego” helikoptera, gdy wychylał się z maszyny. Słabo wyszkolony i głupi, pomyślałam z ponurą satysfakcją. Trafiłam go idealnie. Za pół minuty czekał go paraliż. Szybko popatrzyłam na wschód, lecz tam pilot był schowany w kokpicie za

kuloodporną szybą. Nawet go nie widziałam, nie wspominając o tym, że nie przebiłabym szyby.

Wyrwałam zawlecзки z dwóch amuletów, trójcy i czarodzieja, po czym gwałtownie rozchyliłam żaluzje. Gliniarze szturmujący budynek podeszli na dziesięć metrów. Liczyłam na to, że tamci po drugiej stronie domu są w podobnej odległości.

Czarodziej obalił całą czwórką ze wschodu. Stracili przytomność, ale powinni żyć... no chyba że ktoś miał chore serce. Ci z południa zblizali się w większych odstępach, dlatego trójca skosiła tylko dwóch. Wkurzyło mnie to, że muszę poprawić następnym amuletem, lecz z kierunkiem południowym wiązałam największe nadzieje.

Zaledwie śmignął drugi czarodziej, zbiegłam po schodach.

Jeżeli ktoś tam jeszcze się ruszał, będę musiała dołożyć mu z bliska.

W każdej chwili mogli mnie dopaść policjanci nadchodzący od strony północnej i zachodniej. Wypadłam na podjazd, biegnąc na pół gwizdka, i już pełnym sprintem pognałam po trawniku.

Amulety zrobiły swoje, liczba nieprzytomnych się zgadzała, więc na ostatnim odcinku zasuwałam już jak rakieta.

Na tyłach domu grzmiało, jakby odbywała się tam próba armagedonu. W pościgu za mną wystartowały dwa helikoptery, gliniarze na dole zostali nieco w tyle.

Już, już dolatywałam do „południowego” śmigłowca, gdy pocisk przeorał mi kolano. Ból był tak straszny, że przetoczyłam się po ziemi. Gdybym zamiast meduzy miała na sobie ortalion, kula by się ześliznęła. Do diabła z kieckami!

Strzeliłam za siebie z karabinku snajperskiego i chwytając się nieprzytomnego pilota, wdrapałam się do kokpitu. Noga wplątała mu się w pasy bezpieczeństwa i wisiał głową w dół.

Z komu jak oszalałe sypały się rozkazy. Satysfakcja złagodziła ból i strach. Dałam im popalić.

Na widok mrugających diod i ekranów dotykowych wpadłam w popłoch. Nigdzie tym nie polecę! Cholera, przecież ja niczym nie umiem latać!

Ból promieniujący z górnej części kolana utrudniał oddech, cóż dopiero mówić o rozsądnym myśleniu. A jednak perspektywa dożywocia w miejscowym więzieniu dodała mi energii; palce buszowały po pulpicie sterowniczym, jakby żyły własnym życiem.

Śmigłowiec może sam wznieść się w powietrze, trzeba mu tylko powiedzieć.

Ta myśl była tak jasna i konkretna, że wydawała się czyimś podszeptem. Normalnie wyśmiałabym każdego, kto twierdzi, że słyszy głosy, lecz w tej sytuacji skorzystałabym z byle jakiej rady, choćby miała okazać się złudzeniem.

– Helikopter, startuj!

I proszę: śmigłowiec przekrzywił się, oderwał od ziemi na wysokość dwóch metrów i z powrotem wylądował. Uderzenia pocisków zaczynały kołysać kabiną.

Nie rozumiesz – On słucha tylko ustalonych poleceń, w dodatku nie rozpoznaje twojego głosu. Nie wie, co robić.

To myśląca istota? – zapytałam w duchu.

Skądże znowu! – prychnął głos. – To przecież maszyna, nawet niezbyt inteligenta.

Ty jesteś aniołem? – spytałam ostrożnie.

Zbył mnie milczeniem.

Nagle pilot drgnął i wstąpiła we mnie nadzieja. Może zmuszę go, żeby stąd odleciał? Dźwignęłam go i wrzasnęłam mu w ucho kilka gróźb. Znowu zwiotczał.

Wyrzuć pilota.

Co?

Wyrzuć pilota. Nie polatasz sobie, jeśli będzie wisiał w drzwiach. Wyrzuć tego bydlaka!

Ostatnio ślepe posłuszeństwo nie jest moim lekarstwem na życie, zwłaszcza gdy trzeba słuchać głosów w głowie, ale co racja, to racja. Odpięłam klamrę pasa i pilot fiknął na ziemię.

Teraz poszukaj procedury startowej.

Gorączkowo przewijałam tematy pomocy, zasady użytkowania, parametry konfiguracyjne...

– Mam! – wykrzyknęłam, uruchamiając procedurę. Wzięłam głęboki oddech. – Helikopter, leć!

Nic nie nastąpiło.

Nazywaj go po imieniu!

Jak to, po imieniu? Włączyłam menu startowe i poszukałam informacji.

– Model osa, typ Keenu, 73 A... Leć!

Helikopter poderwał się z ociąganiem i skierował na południe. Niestety, dosyć nisko, w polu rażenia wzburzonych stonóg.

Musisz wznieść się wyżej, inaczej załatwi cię jeden z tych człapaków. Do góry!

Sam sobie leć do góry! – syknęłam do niewidzialnego drugiego pilota. Za żadne skarby nie chciałam się oddalać od ziemi.

Zbliżają się dwa następne. Zarządzono alarm. Odpal pociski zapalające.

Zapalające? Jak?

Z najwyższą trudnością oderwałam wzrok od moich prześladowców, aby w pośpiechu przejrzeć strony z instrukcją obsługi.

Wydaje mi się, że...

Wydaje ci się?

Im bardziej koncentrowałam się na słowach, tym mniej czytelne się stawały. Jeszcze chwila i poddam się panice... Gdzie się podziała zawodowa złość, gdzie spokój i opanowanie?

Z drżeniem wciągnęłam powietrze w płuca i spróbowałam ponownie.

– To musi być to! – Mimo paraliżującego strachu moje dłonie poruszały się jakby z własnej

woli, gdy wklepywałam odpowiednie kody.

Z tylnych wyrzutni wystrzeliły cztery pociski. Wprawdzie przeleciały w dużej odległości od ścigających mnie helikopterów, lecz zestrachane ogary zwolniły i uskoczyły na boki.

Przynajmniej ja tak oceniałam sytuację.

Uciekaj! Już!!

Rozległ się ogłuszający huk. Górne śmigła odskoczyły od pokrywy kabiny, odcięte laserem tak równo, jak nóż kroi plasterki sera. Katapultowałam się, nim maszyna rymnęła do jeziora.

Jak przeżyłam upadek wśród szczątków helikoptera, na zawsze zostanie tajemnicą. W każdym razie gdy wypłynęłam na powierzchnię, krztusząc się i prychając, zobaczyłam swoją kieckę nadętą jak spadochron i palące się resztki wraku.

Ryk silników. Krzyki.

Daremnie usiłowałam odciąć nasiąkniętą spódnicę: owinęła mi się wokół nóg wzdętymi zwojami, do tego rozpraszał mnie pewien drobiazg: prosto na mnie gnała motorówka.

W pierwszej chwili myślałam, że chce mnie staranować, więc zaczerpnęłam oddechu i przygotowałam się do zanurzenia.

Na szczęście motorówka w ostatnim momencie wyhamowała i obróciła się bokiem. Znad burty wychylała się jakaś postać, która wpakowała ręce do wody, jakby chciała nimi wiosłować.

Poznałam tę sylwetkę. Loyl-me-Daac!

Chwyciliśmy się w mokrym uścisku, a potem motorówka przyspieszyła. Holowano mnie jak rybę na haczyku, którą wolno podciąga się kołowrotkiem. Razem klapnęliśmy na dno łodzi.

– Zwariowałeś?! – prychnęłam. – Co ty sobie wyobrażasz? – Po wodowaniu i przebijaniu się przez fale czułam się oziębiała.

Bolało mnie kolano. Bezceremonialnie wypłułam wodę z gardła.

– Nie musiałeś mnie ratować.

– A kto ci kazał chwytać rękę? – mruknął i wyszarpnął dłoń z mojej dłoni.

Patrzyłam, jak oddała się i schodzi po schodkach do kabiny.

Motorówka ostro wrywała do przodu, opływając jezioro wśród furiackich rozbryzgów piany. Przeleciałam od burty do burty i walnęłam się w głowę, nim zmądrzałam i złapałam się wężła na linie.

Na lewo, w kokpicie, zauważyłam Ibisa, którego tłuste cielsko zdawało się przelewać na ster. Z tego co mówił Daac, mogli mnie zaprowadzić do każdego miejsca w Vivie. Ale czy mogli mnie stąd wydostać? I dlaczego mieliby to robić?

Zamknęłam oczy i z całej siły zacisnęłam palce na linie. Jeśli ujdę z życiem, będę miała dużo czasu na zadawanie pytań.

Z zamyślenia wyrwały mnie wrzaski Daaca. Rzucił mi po pokładzie coś w kształcie sflaczałej ośmiornicy i warknął:

– Przymierz sobie!

Przechwyciłam toto niezgrabnie nogami i ostrożnie wyciągnęłam rękę. Kolano rwało jak diabli. Trzymając się liny jedną ręką, zdołałam wcisnąć do środka najpierw lewą, a po chwili prawą stopę. Potem wierciłam się i wyginałam, aż podciągnęłam do pasa ten dziwny łań.

W tym momencie blisko dzioba eksplodowała pierwsza torpeda. Ostrzeżenie czy po prostu pudło? Ibis bez zwalniania energicznie zakręcił kołem. Z obu stron dostrzegłam niewyraźne sylwetki domów. Wpływaliśmy na kanał na wyspie M'Grey.

Ochłonęłam z przerażenia, gdy wyklarowało mi się, że nad kanałami helikoptery będą zmuszone do okiełznania swych artyleryjskich zapędów. Kto chciałby porozwalać grubym szyszkom wakacyjne daczki?

Leżąc na plecach na dnie łodzi, obserwowałam śmigłowce, które spadały na nas jak rój pszczoł, w dodatku pluących ogniem.

Ale Ibis tym się nie przejmował. Nadburcia wybuchały lśniącymi siateczkami pola siłowego. Olśniło mnie. Przecież ta łódź należała kiedyś do Razz Retribution!

Kiedy pole z trzaskiem przyjęło pocisk, instynktownie skuliłam głowę.

– Parrish, wkładaj kombinezon! – krzyknął Daac. – Kaptur uszczelnij się i napełnij tlenem. Będzie buczał, ale to normalne. Zapnij się na mój znak!

– Co potem!? – wrzasnęłam na całe gardło, żeby przebić się głosem przez ostrzał artyleryjski.

Błysnął uśmiechem.

– Mam nadzieję, że dobrze pływasz.

Poczułam, jak motorówka odrobinę zwalnia przed gwałtownym skrętem. Próbowałam odnaleźć wzrokiem Ibisa, ale rzucało mną jak piłką. Nagle silnik zamilkł. Równocześnie helikoptery wstrzymały ogień. Pchani impetem, płynęliśmy w ciszy.

– Teraz – szepnął Daac i przyczołgał się do mnie.

Skręcałam się na wszystkie strony, żeby wepchnąć ręce do środka i pospinać szwy.

Ibis zląkł ze swej grzędy w identycznym stroju. On i Daac chwycili mnie za ręce i dźwignęli, bym stanęła przy burcie. Pole siłowe niespokojnie trzeszczało kilka milimetrów nad moją głową. Daac pochylił się, żeby nie zawadzić o nie.

Ibis wskazał za burtę i wyprostował trzy palce, dając znać, że będzie odliczał. Z kieszeni kombinezonu wyciągnął mały przedmiot. Puścił mnie i z pilotem w dłoni uniósł wysoko drugą rękę.

Skoczyliśmy równocześnie. Poprawka, oni skoczyli. Ja odstawiłam truposza.

Tak nawiasem mówiąc, to nie umiem pływać.

Kiedy po grzmotnięciu do wody po raz chyba setny w ciągu ostatnich dni straciłam oddech ze strachu, pomyślałam sobie, że jak na ochroniarza kiepski ze mnie łowca wrażeń. Może

powinam poprosić Doll, żeby mi przeprogramowała neurony?

Albo przynajmniej dała chip pływacki?

Daac pociągnął mnie w niebieską otchłań. Kiedy już się bałam, że z braku tlenu przyjdzie mi tu wyciągnąć kopyta... odetchnęłam. Dokładnie jak powiedział, pod kombinezonem krążyło zdrowe powietrze. Jednostajnie buczało mi nad uchem.

Kiedy pomału odzyskałam zdolność widzenia, zaczęłam wiosłować ręką i odpychać się nogami, żeby ulżyć Daacowi.

Na dużej głębokości w wodzie tłoczyły się jakieś zdeformowane cienie i czułam tępy napór ciśnienia. Na samym dnie Ibis szarpnął i zdjął pokrytą kryształkami soli kratę, która zakrywała wylot rury. Rozejrzał się nerwowo i machnął ręką, żebyśmy się nie guzdrali. Czyżby się obawiał wodnych stonóg?

W supermiastach zdarza się, że najbogatsi milionerzy szukają ustronia w kanałach, więc stonogi zniechęcają ciekawskich do podwodnych wojaży.

Nie miałam ochoty wpychać się do rury, tak samo jak wcześniej wyskakiwać z helikoptera. Daac pierwszy wpłynął do środka, za nim ja, a na końcu Ibis. Nie czekając na Ibis, aż ten z powrotem założy kratę, poszusował w głąb rury jak olbrzymi robal.

Wiedziałam, że jeśli zmieści się taki wielkolud, zmieszczę się i ja, a jednak, kiedy już znalazłam się w środku...

Do listy moich lęków dopiszcie klaustrofobię...

Wyprawa trwała całe wieki. Daac majtał mi przed nosem nogami, a Ibis pewnie oglądał mnie pod takim samym kątem, lecz było za ciasno, żeby odwrócić się i sprawdzić. Kilka razy składaliśmy się jak scyzoryki, by wziąć zakręt. Próbowaliśmy zorientować się w upływie czasu i wyliczyć, na jak długo starczy tlenu w kombinezonie. Nie poprawiły mi humoru te kalkulacje. Musiałam zaufać Daacowi i Ibisowi: oby wiedzieli, co robią.

Zaufać! Debilne słowo!

Zadręczałam się z takim zaangażowaniem, że przywaliłam czołem w nogę Daaca. Zatrzymał się. Coś go zaniepokoiło. Po chwili z tyłu wrąbał się na mnie Ibis. Czekałam więc między nimi na dalszy ciąg wydarzeń.

Woda z każdą chwilą robiła się zimniejsza, chłód wdzierał się pod kombinezon. Najpierw zmarzł mi nos, potem stopniowo reszta ciała. Dzwoniłam zębami, poza tym nie było nic słyhać. Nawet na przezroczystej masce osadzała się lodowa mgiełka. Mroźne tchnienie usypiało myśli, świadomość gasła powoli. Póki niespodziewany zastrzyk adrenaliny nie zapalił we mnie ciepłego płomyczka. Miałam wizję: *Mój anioł topił lód pochodnią. Ogrzewał mnie, szczególnie stopy. Masował je, Żeby całkiem nie zdrętwiały... Masował mi stopy...*

Stopy? Tam przecież był Ibis!

Przetarłam maskę, żeby popatrzeć na stopy Daaca, lecz zobaczyłam pustkę. Jak długo byłam

nieruchoma?

Wyrwałam do przodu, ponieważ Daac nam się zawieruszył. Ibis, który chyba podzielał moje obawy, szturchał mnie za każdym razem, kiedy zwalniałam.

Po paru minutach dotarliśmy do rozwidlenia, a tu ani znaku Daaca! Skłęłam go w duchu za to, że zostawił nas na pastwę losu. Siebie też zwymyślałam, bo trzeba mieć oczy otwarte!

Gdybym chociaż mogła spytać o drogę Ibisa. Niestety, ciasnota rury nie pozwalała na przyjacielskie pogawędki. W akcie rozpaczy podkurczyłam nogi, na ile to było możliwe, wyciągnęłam do tyłu ręce i zaczęłam dawać paniczne sygnały. W końcu Ibis zareagował: szarpnął mnie za lewą rękę. Nie miałam zielonego pojęcia, czy zrozumiał, o co mi chodziło. Intuicja podpowiadała, że płynęliśmy na zachód, a więc możemy skrócić na północ lub południe. Niezależnie od tego, czy facet zgadywał, czy coś tam wiedział, wołałam zdać się na jego zdanie.

Lewa odnoga biegła na południe, więc wpełzłam w nią z tą przyjemną świadomością, że będę się zbliżała do Trójki. W życiu tak bardzo nie tęskniłam za Torleyem i powrotem do swojego maciupkiego mieszkanka. Wiłam się i czołgałam z takim zapałem, że prawie minęłam wyjście. Snop światła w wodzie skłonił mnie do spojrzenia w górę.

Zamiast wylotu rury było jeszcze więcej wody. Ostrożnie wypływałam na nowe akweny. Następna, pionowa rura okazała się o wiele szersza. Jej nierówne ściany pozwalały przypuszczać, że wykonano ją z innego materiału. Dostrzegłam szczebel drabinki.

Tutaj, odezwał się mój wewnętrzny głos.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy odwalić trochę kamasutry, by wyjaśnić Ibisowi, co znalazłam, ale przecież wiedziałam, że dobrze trafiliśmy.

Wspinałam się wytrwale przez mniej więcej dwadzieścia metrów, cały czas z nadzieją, że Ibis podąży za mną lub czeka przy rozwidleniu. Byłam tak wycieńczona, że nogi się pode mną uginały. Słyszałam swój rżący, nierówny oddech. Miałam za sobą naprawdę zabójczy tydzień. Dobił mnie jeszcze ten ośmiometrowy skok z helikoptera i szaleńcze płąsy na pokładzie motorówki.

Nagle moja głowa wystrzeliła z wody. Mrużyłam oczy, gdy wilgoć spływała z maski. Obok Daac z niepokojem zaglądał do wnętrza rury.

Uśmiechnął się promiennie, a potem wyciągnął rękę, żeby mnie odłowić. Ledwo dotknęłam nogami ostatnich szczebli.

Pchnął mnie na podłogę w jasno oświetlonej piwnicy.

Zatoczyłam się i odwróciłam, martwiąc się, co z Ibisem, lecz po paru sekundach grubas wynurzył się z rury.

Drżącymi rękami, czego wcale nie kryłam, rozerwałam kombinezon i chwyciłam w płuca trochę świeższego powietrza.

Przyszło mi do głowy, że Daac chce mnie znowu pocałować, lecz ograniczył się tylko do

miażdżącego uścisku ręki. Osunęłam się na niego.

– Co ci się stało? – spytał.

– T-to z zimna... Nie m-mogłam się ruszyć. I potem mi zniknąłeś.

Pokiwał głową.

– To system chłodzenia. Opracowany po to, żeby żaden organizm nie mógł przeżyć w rurach. Kombinezon chroni, ale trzeba wiedzieć, czego się spodziewać. Myślałem, że dasz sobie radę, jeśli będziesz między nami.

Koło nas stanął Ibis, uśmiechnięty od ucha do ucha. Na jego pucułowatej twarzy nie zachowały się ślady trudów tej przeprawy.

– Toś mnie, złotko, postraszyła. Tam w dole. Gdy sobie fantazjowałem o sam na sam z tobą, myślałem o miłszej scenerii!

I jak takiego nie lubić? Facet uratował mi życie. Uścisnęłam go spontanicznie.

– Nie wiem, Ibis, czemu to zrobiłeś, ale dzięki, wielkie dzięki.

Cmoknął z reprimendą.

– No, no, tylko niech cię Pat nie przyłapie w takiej sytuacji.

Daac wcisnął mi do ręki tubkę ze słodkim płynem.

– Masz. Musimy iść dalej. To ci na pewno pomoże. Zdobyłaś je?

– Co?

– Jej pliki.

– Wiedziałaś?

– Niezupełnie. Powiedzmy, że się domyślałem.

Kołały mi się w głowie pytania i wątpliwości. Za dużo ludzi wiedziało, co robię, właściwie nim to zrobiłam.

– I dzięki temu mnie znalazłeś? Bo się domyślałeś?

– Prawdę mówiąc, ani na chwilę nie straciłem cię z oczu.

– To znaczy, że od początku mnie śledzisz?

– No, niezupełnie śledzę – odpowiedział wymijająco.

– Czyli co?

– To masz je czy nie? – zapytał z niecierpliwością.

– Czemu miałabym ci powiedzieć?

– Dobra, coś za coś. Dowiesz się, jak cię znalazłem, ale udowodnisz, że masz pliki Razz.

Miałam przecucie, że będę tego żałowała, z drugiej strony chciałam wiedzieć, jak mnie namierzył.

– Owszem, mam je. – Sięgnęłam pod etaminowy materiał do skórzanego bezrękawnika i wyciągnęłam krążek z programem do kasowania danych. Dyskietka zip spoczywała bezpiecznie w innym miejscu. Bez sensu, żeby zdradzać od razu wszystkie tajemnice!

Mała, mokra, czarna płytka prezentowała się w mojej dłoni jak muszla ostrygi. Daac powstrzymał się przed gwizdnięciem jej... ledwo, ledwo.

Wymownie schowałam krążek w garści.

– Kolej na ciebie.

Zastanowił się przed odpowiedzią.

– Dałem ci klips do komu z pluskwą.

– Klips do komu z pluskwą! – Ponownie pogrzebałam w bezrękawniku, tym razem szukając klipsa. Nosiłam go blisko serca. Za blisko.

Ręka mi drżała z zimna i złości. Głównie ze złości. Ze wstrętem rzuciłam mu jego pluskwę.

– Jak się dostałeś na wyspę?

– Mam pozwolenie. – Wzruszył ramionami. – Gdybyś mi powiedziała, dokąd się wybierasz...

Miał pozwolenie! W mojej głowie kłębiły się setki podejrzeń.

– To znaczy, że mogłam po prostu przyjść sobie... A co z łodzią? – spytałam.

– Bo my... – wdał się w rozmowę Ibis. – Siedzieliśmy na niej w nocy.

Pokręciłam głową. Nie do wiary, bawili na łodzi motorowej, gdy ja kilka metrów dalej kisiłam się między dwoma betonowymi słupkami. Do dupy z takim życiem!

– Idziemy! – Podniósł z kąta plecak ze sprzętem i zarzucił go sobie na ramię.

Z zalem pomyślałam o własnych narzędziach, które teraz zalegały gdzieś na dnie jeziora. Nie zostało mi nic oprócz szpilek i garoty w stringach. Nie wiem, czy przez rok odłożę na drugi karabin snajperski, nie wspominając o robaku. Wykorzystałam też wszystkie amulety, te wybuchowe, rzecz jasna.

Rozejrzałam się po piwnicy.

– Co to za nora?

– Chodźmy już, pogadamy później! – rzekł Daac.

Ibis położył mi rękę na ramionach i poprowadził mnie w stronę wąskich schodów.

– Skąd wiedziałas, gdzie odbić w górę? – zapytał po cichu.

Popatrzyłam na niego ze zdziwieniem.

– Co ty mówisz? Była tylko jedna pionowa rura.

Wolno pokręcił głową.

– Nie. Minęliśmy z dziesięć po zgubieniu Loyla.

Poczułam uścisk w piersi. Przypomniałam sobie pogaduszkę z aniołem w helikopterze. I ciepło rozchodzące się po skostniałym ciele. I jeszcze ten wewnętrzny głos, który kazał mi płynąć w górę. Co się ze mną działo? Uśmiechnęłam się promiennie do Ibisa.

– Cholerna ze mnie farciara.

ROZDZIAŁ 15

Tuż po zmroku Ibis wprowadził nas do maleńkiego, skromnie urządzonego mieszkania w pośrednim kręgu miasta. Na klatce nie przywitał nas lokajczyk. Napotkaliśmy za to kilka wandaloodpornych czytników tkanki i mnóstwo przyblokowanych drzwi. Miejsce, gdzie człowiek nie widuje sąsiadów.

Ibis rozstał się z nami, bąknąwszy na odchodnym coś o Pacie, który umierał ze zmartwienia, i żebyśmy – to surowym tonem – nie pozabijali się wzajemnie.

Nie uśmiechało mi się nocować z Daakiem, lecz zmęczenie zagłuszyło zdrowy rozsądek. Zresztą, czy miałam wybór?

Podszedł do lodówki i otworzył dwa piwa.

– Tam jest sanitariatka. – Wskazał drzwi do łazienki.

– Ty pierwszy – zdecydowałam, gdyż nie ufałam mu w stu procentach. Jemu ani sobie.

Wzruszył ramionami i poszedł z piwem wziąć prysznic.

Piwo miało boski smak. Wyżłopałam od razu prawie całą puszkę, a kiedy usłyszałam szum lejącej się wody, wydobyłam z kieszeni krążek i przyjrzałam mu się uważnie. Po szybkim sprawdzeniu, czy pecet w tym mieszkaniu nie różni się od innych, ostrożnie umieściłam krążek w napędzie. Sprytna pułapka, nie ma co: program udający, że ściąga dane, wyświetlający pasek postępu, kasuje wszystko na cacy.

– Korciło cię, co? – odezwał się Daac nade mną.

Zatrzymałam program i odwróciłam się raptownie.

Przysunął sobie stolik, żeby usiąść. Po wyjściu spod prysznic miał jeszcze mokrą skórę. To mi przypomniało, w jakim paskudnym stanie są moje włosy oraz potargany kaftan, którego strzępy pozwijały się na mnie.

– Dobra, idę wziąć prysznic – powiedziałam nerwowo.

Pokręcił głową.

– Wiesz co, nie przedłużajmy tego.

– Jak chcesz – zgodziłam się podejrzliwie. – No to zaczynaj.

– Opowiadałem ci o badaniach Anny, pamiętasz?

– A co ona ma z tym wspólnego? – burknęłam.

Uśmiechnął się blado.

– Nie zastanawiałaś się, kto je sponsoruje? I jak to się stało, że ktoś z moją przeszłością ma dostęp do świetnie wyposażonego laboratorium i paralotni? I czemu wolno mi swobodnie podróżować po Vivie?

Wzruszyłam ramionami.

– Wydawało mi się, że Anna jest bogata. Kurde, przecież ma posiadłość!

– I wykorzystuje technikę zaawansowanych badań genetycznych. Odziedziczyła spory majątek, zgoda, ale nawet z nim daleko by nie zajechała.

Pomyślałam o skanerze.

– Do czego zmierzasz?

Znów się zawahał, prawdziwa ręka mu drżała. Facetem targały jakieś wewnętrzne rozterki.

– Jeśli będziesz to wiedzieć, znajdziesz się w poważnym niebezpieczeństwie.

Poważnym niebezpieczeństwie, dobre sobie!

– Jeśli nie będę tego wiedzieć, zginę! – zripostowałam.

– Nasze badania sponsoruje... sponsorowała Razz Retribution.

Rozdziawiłam usta jak półdidiota. Czemu królowa dziennikarzy finansowała badania mające pomóc biedakom?

Czytał w moich myślach.

– Miała swoje powody. Ale ktoś poznał wyniki. I doszedł do wniosku, że jeśli odetnie nas od pieniędzy, będziemy musieli spakować walizki.

– Kto? – W żyłach miałam lód zamiast krwi.

– Nie jestem pewien. Przynajmniej nie jestem pewien dlaczego. Wyniki badań Anny też zostały skradzione. Jedyny ślad po nich mamy na tym krążku. – Głos mu drżał, gdy skinieniem głowy wskazywał komputer.

Serce we mnie zamarło. Co mu powiedzieć? Że zmazałam dane? Czy że zmazałam część danych, a resztę zachowałam?

Czy mogłam mu zaufać?

Prosta odpowiedź: Nie! Grałam więc na zwłokę.

– Czemu Lang mnie namówił, żebym się włamała?

– Chyba chce pogrzyźć Jamona. Każdy wie, że jesteś, hm, jego własnością. Cokolwiek zbroisz, dostanie rykoszetem. W dodatku, Parrish, świetnie się nadajesz do tej roboty, masz zadatki na dobrego włamywacza. Miałaś wykonać zlecenie i zostać schwyтана. Na jaką przynętę cię złapał? Założę się, że nie poleciałaś na forszę.

Dopiekł mi jak cholera, chciało mi się wrzeszczeć. Szkoda tylko, że miał rację.

Skuliłam się na krześle ze ścierniętą skórą, rozmyślając o tym, jak Lang mnie wystawił.

Twierdził, że dzięki tym plikom zapuszczają Jamona. Sama też miałam siedzieć w kiciu, ale o tym nie wspomniał. Gdyby Daac nie wyłowił mnie z jeziora, gniłabym już za kratami.

Przez chwilę nic nie mówiliśmy. Wyczuwałam jego zniecierpliwienie: chciał przejrzeć zawartość krążka.

Na koniec wstałam sztywno, bojąc się spojrzeć mu w oczy.

– Płytką jest twoja. – Wysunęłam ją z kompa i podałam mu. – Lang dał mi program do kasowania danych. Sprytnie zakamuflowany. Nieświadomie sczyściłam dysk. Przykro mi, ale chyba nas wykołował.

Wstrząsnęła nim ta nowina. Nie mógł w to uwierzyć.

– Idę pod prysznic – oświadczyłam.

W sypialni wyciągnęłam szpilki oraz dyskietkę, którą następnie schowałam do buta. Potem wyprałam skórzany bezrękawnik, po namoczeniu przypominający jakąś zdechłą i wysuszoną istotę. Na koniec weszłam do sanitariatki. Dawno nic nie sprawiło mi takiej przyjemności jak gorąca woda. Kiedy ochlapywała zmęczone, sfatygowane mięśnie i obolałe kolano, dumałam nad tym, co wyjawiał mi Daac na temat dziennikarki.

Wychodziło na to, że tańcowałam w klatce ku uciesze ludzi, których nawet nie znałam. Choć trudno mi było się z tym pogodzić, misja ratunkowa Daaca uchroniła mnie od więzienia.

Tylko co z nim? Instykt ostrzegał: nie papłaj o dyskietce. Nie miałam pojęcia, ile informacji przypadło, a ile – jeśli w ogóle – się uratowało. Wolałam nie zdradzać wszystkiego Daacowi, póki się nie okaże, jaką grę prowadzi. Ocalił mnie, to jasne. Ale też łąził za mną i patrzył, jak wpadam w pułapkę. Gdyby nie pliki dziennikarki, nie wiadomo, czy by mi pomógł. Czy w tej sytuacji mam powody do gniewu, czy dług do spłacenia?

Wyszłam spod prysznica, ociekając wodą, otuliłam się szlafrokiem i rozejrzałam za czymś do zacerowania kolana. W szafeczce znalazłam plaster skórny. Pozginałam go parę razy i wróciłam do ciasnego pokoju.

Daac, przygębiony, rozwałił się na wąskiej kanapie i sączył drugie piwo.

– Nie wytłumaczyłeś mi jednej rzeczy. Czemu tak się starasz, żeby uratować mi dupę? Chciałeś tylko odzyskać płytkę, czy może służę jakimś innym, tajemniczym celom?

Gapił się na puszkę dziwnym, nieprzeniknionym spojrzeniem, które przypominało minę Langa na przyjęciu u Jamona.

– Mój klan mieszkał w Trójce od niepamiętnych czasów. Długo przed pojawieniem się Monda i Langa. To nasza ziemia. Nawet jeśli nie jesteśmy już plemieniem, mamy wobec niej pewne obowiązki.

– Obowiązki? – Dreszcz mnie przeszedł, gdy słuchałam jego spokojnej wypowiedzi.

– Nasza ziemia jest zatruta i chora. Mamy obowiązek wyrwać ją z obcych rąk, uzdrowić, wyleczyć jej mieszkańców. Nie ja pierwszy próbuję tego dokonać, ale mnie się to uda.

Stwierdził to z takim przekonaniem, jakby niedawno radził się wyroczni.

– O jakim klanie mówisz? – spytałam burkliwie. – Trójka to zasyfiałe zadupie, jedno wielkie śmietnisko.

Drwiący wyraz przemknął mu po ustach.

– Widać, że pochodzisz z Vivy, że tu się urodziłaś. Pojęcia rodu i miejsca na świecie niewiele dla ciebie znaczą. Kiedy ludzie wracają, pokolenie za pokoleniem, wciąż w jedno miejsce, zapisuje się ono w ich duszach. Niezależnie od brudu i plugastwa, jakie się w nim nazbierało.

Wybałuszyłam oczy.

– Jesteś rdzennym mieszkańcem kontynentu?

Zaśmiał się chrapliwie.

– Częściowo może i tak. Pod względem genetycznym jestem takim samym mieszkańcem jak ty. Ale klan to skomplikowana rzecz, trudna do zdefiniowania. Ci z nas, którzy kultywują tradycje praprzodków, wiedzą to i rozumieją. Spisujemy kroniki.

– Tradycje praprzodków? Kto dziś wierzy w te bzdury?

Wbił wzrok w pustą ścianę.

– Jest ich wielu. Niektórych znasz osobiście.

– Akurat – odpowiedziałam sceptycznie. – To wymień paru.

W oczach zapaliły mu się dzikie błyski.

– Takich informacji nie udziela się byle komu, Parrish. Przyjmij je z szacunkiem.

Znowu poczułam dreszczyk.

– Dobra – powiedziałam – zastosuję się, z ręką na sercu będę słuchać...

Nie wydawał się przekonany, ale ja nie byłam w stanie się pozbierać. Dzisiejszy dzień – co ja mówię, cały tydzień – kosztował mnie wiele nerwów. Gdy Daac zastanawiał się, czy dopuścić mnie do sekretu, wyżyłamałam włosy nad szlafrokiem.

– Raul Minoj – odezwał się w końcu.

– Minoj?! – wykrzyknęłam.

Ostatnie pół godziny wywróciło do góry nogami moje pojęcie o świecie. Teraz Daac przypinał nowe łatki osobom, które znałam.

– Przecież pytałam Minoj a, czy zna...

– Mamy wspólne korzenie, ale się nie przyjaźnimy. Jedno z drugim nie idzie w parze. On może mieć o mnie nienajlepsze zdanie, może nawet udawać, że mnie nie zna. Ale zawsze mi pomoże. I nigdy mnie nie wyda.

– Aha. – Walnęłam się na drugą kanapę. – No więc Anna prowadzi badania, żeby twój klan był znów zdrowy? – spytałam, wolno cedząc słowa.

– Tak.

– Jaki ja mam w tym udział? – Mój głos drżał, co mnie mocno deprimowało.

Wstał, przesiadł się na moją kanapę i naparł na mnie biodrem i ramieniem. Potem wyciągnął prawdziwą rękę i chwycił mnie pod brodę.

– Do czego Lang wynajął cię tak naprawdę?

Rozważyłam jego pytanie. Chyba nie stanie się nic złego, jak mu powiem?

– Miałam dostać nagrodę, jeśli w domu pod wskazanym adresem zabezpieczę dane z komputera. Myślę sobie, pikuś. Nie było gadki o tym, że to mieszkanie Razz Retribution.

– Lione. Naprawdę nazywała się Lione Marchand.

Na skutek emocji ścisnął mi mocniej szczękę, ale coś mi podpowiadało, żeby się nie wyrwać. W bezruchu walczyłam ze sprzecznymi uczuciami.

– Jak miał cię wynagrodzić, Parrish?

– Powiedział, że załatwi Jamona.

– Wierzysz mu?

– Chyba mnie wrobił. Kazał skopiować pliki i dał program do kasowania. Nie przewidywał wysyłania kawalerii z kaucją.– Chciałam się uśmiechnąć, ale wzięił mnie w morderczym uścisku.

– Tak w ogóle, to dzięki.

– Te pliki były moją ostatnią nadzieją na odtworzenie rezultatów badań. Bez nich Anna musi zaczynać od początku. Tylko że...

– Tylko że? – naciskałam.

– Nie mamy już tyle pieniędzy.

Widziałam w jego oczach smutek i frustrację.

– Trzeba było samemu pójść po nie. Podobno masz wolny wstęp na wyspę M'Grey.

– Nie poszedłem tam z tego samego powodu, dla którego pomogłem ci uciec. Nie mogłem ryzykować, że zrobią ze mnie kozła ofiarnego. Nie zamordowałem Lione. Ale oni chcą krwi. Kto zabija dziennikarza, tego dosięgnie ich zemsta.

W takim razie kto ją zabił? Zadawaliście sobie w duchu to pytanie.

– Powinam ci zrobić awanturę za to, że się mną posłużyłeś.– Westchnęłam. – Ale jestem głodna i zmęczona.

– Nie przesadzaj, Parrish, nie posłużyłem się tobą. Po powrocie do Trójki musiałem zapewnić bezpieczeństwo Stolowskiemu i uporządkować parę spraw. Ty się nim opiekowałeś, ja odświeżałem kontakty. Nic się nie działo nadaremnie. Jeśli zdecydujesz się dokonać wielkich rzeczy, zawsze znajdą się ludzie, którzy ci pomogą.

Słuchałam z otwartymi ustami jego tłumaczenia i zachodziłam w głowę, jak to jest, że raz wydaje się taki miły, a raz jakby zmysły postradał.

Puścił moją twarz i nakreślił palcem linię na szlafroku, nad piersiami. Mogłabym go za to spoliczkować, ale odurzyłam się zapachem jego ciała. Im mocniej go wdychałam, tym bardziej

mnie zniewalał. Przypomniałam sobie jego język w moich ustach.

Następne słowa wypowiedział powoli, jak człowiek, który krok po kroku zrywa narzucone sobie więzy.

– Pragnę cię.

Parsknęłam urywanym śmiechem.

– Takiś pewny swego?

Pokiwał głową.

– Co do tego... tak.

Nie wiedziałam, jak go skontrować. No bo co się mówi w takiej sytuacji? Chyba powinnam uciekać albo krzyczeć.

– O nie, nigdy, choćbym miała żyć dwadzieścia razy.

Teraz powiecie, że jestem żałosna. Próżna. Zupełnie pogubiona. Powiecie, że kobrę sparaliżowało kołysanie fakira.

Bo ja po prostu nie zrobiłam nic.

Pochylił się i musnął mi wargi językiem.

– Proszę cię, pocałuj mnie – szepnął ochryple.

Ta prośba mnie rozbroiła. Tak samo jak jego zapach, uśmiech i zagadkowe, brązowe oczy.

Ostrożnie zrobiłam to, na czym mu zależało. Poczulałam ciepło, gdy przywarł do mnie ustami. Aczkolwiek całował delikatnie, jakby spijał ze mnie nektar. Kusił mnie, hipnotyzował, ośmielał.

Z gardła wyrwało mu się głośne westchnienie. Położył mi rękę na piersi. Cholerka, zbyt fajnie mi było, żeby ją odsuwać!

Bez uprzedzenia powalił mnie na podłogę, rozchylił poły szlafroka i podźwignął się na łokciach, żeby mi się lepiej przyjrzeć.

– Parrish, jesteś taka piękna! – bąknął drżącym głosem.

Nie jestem piękna. Silna, zręczna, atletycznie zbudowana, ale nie piękna. Gdzieś w moim mózgu naszprycowanym hormonami odezwał się ostrzegawczy dzwonek. Zagłuszyła go jednak wulkaniczna erupcja żądy.

Nie próbował we mnie wchodzić, tylko przysunął usta do moich ud i zostawił na nich językiem mokre ślady. Potem rozłożył mi nogi i wcisnął się między nie z werwą wygłodzonego wilka.

Kolano mi dokuczało i ogólnie bolały mnie wszystkie kości, a mimo to leżałam totalnie uwiedziona, aż – ku mojemu rozczarowaniu, bo już po kilku sekundach – dostałam orgazmu.

Odsunął się i uśmiechnął. Triumfalnie? Z rozbawieniem?

Co za poniżenie...

Wolno się podniósł.

– Możesz spać na łóżku – oznajmił.

Gdy brakło jego ciepła, jakby mnie ktoś walnął. Pragnęłam wyciągnąć rękę, błagać, żeby został. Jeszcze raz poczuć z bliska jego intensywną energię. Ale nie mogłam, nie wiedziałam jak. W sumie, żadna nowość.

* * *

Obudziłam się po kilku godzinach, kiedy przez okno podłej sypialenki wpadł wąski snop rachitycznego światła. Wyświetlacz zegara wskazywał 5:30 rano.

Zsuwając się z łóżka, czułam się skonana i połamana. Do tego burczało mi w brzuchu. Nie pamiętam już, kiedy coś jadłam, pewnie wieki temu. Przez ostatnich parę lat przywykłam do skromnych racji żywnościowych, co nie znaczy, że gdybym mogła, nie jadłabym więcej.

Pokuśtykałam z sypialni do pustego pokoju. Aż mi się ciepło w dołku zrobiło, gdy zobaczyłam puszki po piwie i kawałek przestrzeni między kanapami.

– Co, wizję masz? – Daac wszedł po cichu drzwiami frontowymi i stanął za mną.

Owinęłam się szlafrokiem i odwróciłam twarzą do niego.

Miał na sobie nowe dżinsy i koszulkę.

Ściągnęłam brwi.

– Przy twoich gabarytach tak się skradać to sztuka.

Ignorując moją drwinę i skrepowanie, rzucił mi walizkę.

– Ubranie i coś, co ci jestem winien.

Musiałam puścić szlafrok, żeby ją złapać. Jak to, winien?

Miał jeszcze paczkę, z której zaczął wyciągać jedzenie.

Aż mi ślinka pociekła.

– Głodna? – zapytał.

– Może. Skąd wzięłeś ubranie?

– Już tu kiedyś bywałem. Nawet w Vivie są miejsca, gdzie bez zbędnych pytań wszystko można kupić. Masz ochotę na jajka?

– Co? – zdziwiłam się. – Takie w skorupkach?

Kiwnął głową i zaczął wciskać guziki na kuchence.

Po krótkim namyśle udałam się z walizką z powrotem do sypialni.

– Pięć sadzonych! – zażyczyłam sobie i zniknęłam.

To „coś”, o czym mówił, sprawiło, że tętno mi podskoczyło i oczy zaszyły łzami. Najprawdziwszy pistolet Glocka w odróżnieniu od podróbek sprzedawanych przez Minoja. Dostałam również dyskretny karabin, granaty i komplet noży, na które każdy Mueno patrzyłby z zazdrością.

Ubranie też trzymało poziom. Wydobyłam na światło dzienne strój polowy, czarny welurowy

kostium i siateczkową kamizelkę kuloodporną. Kamizelka była lekka i elastyczna, ale też niewiarygodnie wytrzymała.

Włożyłam wyprany skórzany bezrękawnik, zmieniłam plaster na kolanie i włożyłam kamizelkę. A potem się zawahałam. Chociaż chętnie pochodziłabym w stroju polowym, to nie pasowała do Vivy. Jeśli miałam wyjść na ulicę, to tylko tak, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Dlatego zdecydowałam się na kostium, a resztę wetknęłam do walizki.

Na koniec spojrzałam w lustro i napomniałam surowo samą siebie:

– Jest super, ale szajba mu odbija, pamiętaj o tym!

Smakowita woń wywabiła mnie z powrotem do pokoju.

Daac spojrzał badawczo w moją stronę i zaraz się skupił na przygotowywaniu jajek, grzanek i gorącego napoju, który wyglądał jak zamulona woda, ale smak miał wyborny.

Zasiadłam do śniadania i upiłam mały łyżeczek.

– Herbata? – mruknęłam, zachwycona.

Kiwnął głową.

– Słyszałam, że znowu można ją dostać w Vivie. Wynaleźli nowy sposób uprawy.

Daac podsunął mi talerz.

Danie wyglądało bajkowo, zwłaszcza trójkątne kromeczki chleba i zielona dekoracyjna posypka. Modliłam się, żeby żołądek nie narobił mi obciachu.

Nim zrobiłam pierwszego gryzą, przypomniałam sobie o zarciu, którym Jamon próbował mnie załatwić. Znieruchomiałam z widelcem w ręku.

– Od kur z chowu bateryjnego, co?

Usiadł naprzeciwko mnie i zabrał się do jedzenia.

– Oczywiście. Przecież nie będę cię truć wiejskim syfem, Parrish – powiedział cierpko – skoro przeciskałam się rurami, żeby uratować ci życie.

Co prawda, to prawda. Zaczęłam ostro młócić widelcem.

Daac jadł wolniej, z wesołym błyskiem w oku.

– Co cię tak śmieszy? – spytałam podejrzliwie.

– Kiedy ostatni raz jadłaś?

– Śniadanie w „Emporium” – odparłam, pałaszując grzanekę.

– A przedtem?

– Dość dawno.

Ta jego troskliwość zaczynała się robić kłopotliwa.

W zasadzie, to wszystko mi przeszkadzało. Siedzieliśmy przy śniadaniu, rozmawialiśmy. Przecież to nienormalne!

Spróbowałam zmienić temat.

– Co dokładnie zawierały pliki Razz... to znaczy Lione?

Westchnął.

– Anna wyodrębniła geny odpowiedzialne za naturalną odporność na metale ciężkie. Mieliśmy już sklejać sekwencje DNA na skalę masową. Doświadczenia na ludziach zakończyły się pomyślnie. W przyszłym pokoleniu albo jeszcze w następnym zmiany będą się rozprzestrzeniać o wiele szybciej, niż gdyby człowiek sam miał w sobie wykształcić mechanizmy obronne. Liczba urodzeń w Trójce jest zaskakująco wysoka, ale chodzi o to, żeby nasze dzieci żyły trochę dłużej. Wszystkie zapiski, zgodnie z umową, gromadziliśmy na komputerze Razz. Miała tak dobre zabezpieczenia, że ten pomysł każdemu się spodobał.

Dobre? O tak, już ja mogłam zaręczyć!

– Świetnie się orientujesz w naukowych zawiłościach.

Wzruszył ramionami.

– ALC.

A więc chip przyspieszonego uczenia. Jakoś mnie nie przekonał. Było coś dziwnego w jego sposobie bycia, co trąciło dużymi pieniędzmi i wykształceniem, którego nie otrzyma w Vivie przeciętny sieciowy uczeń. A już na pewno nie łachmyta z Trójki.

– To skąd teraz weźmiesz środki na badania?

– Może w końcu kogoś namówię do wsparcia projektu. Na razie musimy siedzieć cicho. Nie wiemy, kto nam bruździ.

– Skąd to wzięłeś? – Szarpnęłam za ubranie i wskazałam walizkę. – No i to mieszkanie? Kto za to płaci?

Daac odwrócił wzrok, skonsternowany.

– Ludzie są mi winni to i owo... A jeśli nie mnie, to Razz. Poprosiłem kilku o przysługę. Ona miała niezłe dojścia.

Nagła myśl chlasnęła mnie jak różga.

– Obracałeś ją! Dlatego ci sprzyjała!

Nie odpowiadał.

Zawrzałam strasznym gniewem – niczym dziewczyna, która odkrywa, że jej ukochany jest pornogwiazdą.

– Kogo jeszcze? Domyślam się, że z Schaum też się umawiasz na bara-bara.

Pochylił się nad talerzami już nie jak człowiek zażenowany, ale jak chmura burzowa przed wyładowaniem.

– A ty się za kogo uważasz, do diabła? Za cnotliwą westalkę?

Aż mnie zmroziło. Zacisnęłam pięści.

– Ja gram w otwarte karty. Taka już jestem. Po prostu szukam miejsca, w którym nikt nie nasmrodzi.

– Można się przyłączyć, czy to zamknięte przyjęcie?

Niewinne pytanie Ibis odebrało nam mowę. Grubas wtoczył się do pokoju i rzucił okiem na resztki śniadania.

– Na co się skarżysz? – spytał z kokieteryjnym uśmiechem. – Przyrządził ci jedzonko. Wymaszerowałam do sypialni, nie odzywając się ani do jednego, ani do drugiego.

* * *

Kiedy Ibis wreszcie namówił mnie do wyjścia z sypialni, Daaca już nie było. Wyświetliłam mapę miasta i zaczęłam obmyślać drogę do domu. Mój nowy plecak leżał koło mnie spakowany. Z początku zamierzałam go zostawić, ale zmieniłam zdanie. Daac był mi w końcu coś winien.

Ibis krążył wokół mnie, zdając sobie sprawę, że chcę się ulotnić.

– Musisz zostać – powiedział. – Za dużo ludzi nas szuka... to znaczy ciebie. Wyciągniemy cię z tego, ale bądź cierpliwa. Loyl poszedł po pomoc.

Cierpliwa? Nie do mnie ta mowa.

– Do kogo po pomoc? – Uniosłam brwi z ironiczną miną. – Do dziewczyny?

– Tolly nie jest dziewczyną – zachnął się. – Jest systemem strategicznego planowania. Tak czy owak, polują na ciebie w całym mieście. On z nią handluje: kopia modelu policyjnych procedur śledczych w zamian za...

– Nie chcę wiedzieć! – Podniosłam rękę.

Ibis skwitował to nieporadnym, na pół przepraszającym uśmiechem.

Wyłączyłam mapę i wróciłam do sypialni, przeglądając serwisy na różnych stacjach. Ibis miał rację, Parrish w technicolorze. Gdybym wychyliła nos na ulicę, zgarnęliby mnie w okamgnieniu.

Świadomość tego była dobijająca. A także fakt, że musiałam polegać na czarnowłosym draǳalu z wariackimi papierami.

Ibis wałęsał się po mieszkaniu, czasem coś sprzątnął, ja natomiast siedziałam na kanapie z ponurą miną i śledziłam jego poczynania. W końcu ciekawość zwyciężyła:

– Jak się poznaliście?

Zaparzył dwie herbaty i podał mi filiżankę. Usiadł naprzeciwko mnie.

– Szczerze mówiąc, jesteśmy ze sobą spokrewnieni.

Otworzyłam szeroko oczy.

– Naprawdę? – Jaja sobie robił? Miał niewielki wzrost, wydęty bandzioch, jasną cerę i pogodne usposobienie, gdy tymczasem Dark był śniadym olbrzymem, dziwnym, poważnym i zasadniczym.

– No, jesteśmy dość dalekimi krewnymi – przyznał Ibis.

– Loyl ma obsesję na punkcie przodków. Jeśli płynie w tobie cząstka tej samej krwi, jesteś

jego bratem. Czasem myślę o nim: nadczłowiek. – Westchnął ciężko. – Ale nic mu nie można zarzucić.

– Jak poznał Razz Retribution? Tylko mi nie mów, że też są spokrewnieni.

Uniósł brwi.

– Opowiadał ci o niej?

– Jasne – skłamałam, kiwając głową.

Oczy Ibis zamglily się, jakby był istotą nie z tego świata.

– Loyl załamał się, kiedy została zamordowana.

– Co ty powiesz – zakpiłam.

– Choć była dziennikarką, naprawdę dała się lubić. I miała o Loylu wysokie mniemanie.

Przekonał ją, żeby finansowała badania Anny... mimo śmiertelnych pogróżek.

– Śmiertelnych pogróżek?

Ibis urwał, zażenowany.

– Za dużo gadam.

Owszem, pomyślałam. Ale dzięki temu uchyliło się okienko do umysłu Daaca. Wiem, że to cyniczna uwaga, lecz nie spotkałam jeszcze człowieka, który nie uwzględniałby w swoich planach własnych interesów, nawet jeśli przyświecały mu najszczytniejsze cele. A zatem najpierw liczą się osobiste emocje, a dopiero potem reszta. Daac mógł sobie wierzyć w te swoje klany i misje, teraz jednak prawdopodobnie toczył wewnętrzną walkę, zmagał się ze złością i poczuciem winy. Jego dzieło zniweczone, kochanka nie żyje. O tak, potrafiłam wejść w jego skórę.

Z drugiej strony, mdliła mnie ta cała śpiewka o celach wyższych.

Hm, może załęgły mi się w brzuchu jakieś złośliwe stwory, które wiercą się i przepychają za każdym razem, kiedy Daac patrzy na mnie?

Ostatecznie Ibis wyszedł na spotkanie z Patem. Przynajmniej tak twierdził, bo z miny wywnioskowałam, że idzie poszukać Loyla.

Żeby zająć czymś myśli, rozpięłam pod szyją kamizelkę kuloodporną i wygrzebałam dyskietkę. Potem zabarykadowałam drzwi kanapą i usiadłam za komputerem.

Zobaczyłam tylko nieuporządkowany ciąg symboli. Chowały w sobie informację, ale potrzebowałam pomocy do ich odczytania.

Teece!

Wyłączyłam peceta, schowałam dyskietkę i płytkę, odstawiłam kanapę na swoje miejsce i pobuszowałam w kuchni w poszukiwaniu chleba. Potem ległam na łóżko. Na ekranie ściennym wyświetlały się wiadomości OneWorldu, ale nie miałam ochoty oglądać siebie pod każdym możliwym kątem.

Zwinęłam się na boku z glockiem pod poduszką, trzema nożami na podorędziu i walizką z

granatami na wyciągnięcie ręki. Zaraz mi się zdrzemnęło (bałam się mocno zasypiać, żeby nie śniły mi się jakieś głupoty) i wszystko schrzałam.

– Hej, Parrish! – rozległ się nade mną gardłowy, natarczywy szept.

– No? – mruknęłam półsennie, słysząc znajomy głos. Może śnił mi się Daac, tak troszeczkę?

– Mamy towarzystwo – ostrzegł.

Usiadłam jak rażona piorunem i błyskawicznie sięgnęłam po glocka. Zobaczyłam tylko swoje dość niekorzystne odbicie w lustrze.

Daac kuczał obok mnie i wyglądał przez szparę w drzwiach.

Z pokoju dolatywał głos Ibisa, wyważony i kokietyjny:

– Jejku – gruchał obzartuch. – Szczęście się do mnie dzisiaj uśmiechnęło. Taki duży, silny mężczyzna...

– Spirelle, 43971 A, jednostka wojskowa. Przeprowadzamy rewizję w budynku. Podejrzewamy, że udziela się tu schronienia groźnemu przestępcy. Proszę się odsunąć.

Daac spojrział na mnie wymownie. Teatralny głos z metaliczną barwą należał do bolka, wojskowego mechanoida.

Nazywa się ich bolkami, bo muszą uprzętać bałagan, ufajdane i zepsute resztki, jak robote w brygadach postrzygaczy, kiedy wełnę otrzymywano jeszcze z żywych zwierząt.

Z jednej strony źle to wróżyło, z drugiej – dobrze. Bolki są sumienne i bezkompromisowe, na żartach się nie znają. Ibis tracił czas, flirtując. Ale też zupełnie tracą głowę, jeśli umie się wciągnąć je w logiczną pułapkę.

Daac ostrożnie domknął drzwi i przysunął się do mnie.

– Pakuj rzeczy – szepnął.

Już to robiłam.

Do głowy przychodziły mi najróżniejsze pomysły. Okno od razu wykluczyłam: pięćdziesiąt cztery pietra do chodnika, zresztą i tak się nie otwierało. Zsypanie na brudne pranie? Zmieściłabym się od biedy, lecz Daac nie miał szans. Jediną deską ratunku była więc dla mnie zawartość walizki. W razie czego zostanie po mieszkaniu wielka dziura w ścianie apartamentowca.

Z zaskoczeniem zauważyłam, że Daac prędko się rozbiera.

Pacnęłam go cicho w nagie ramię.

– Co ty... ?

– Na pewno szli za mną. Zwiąż mnie! – rozkazał szeptem.

Gapiałam się na niego. Był już w samej bieliźnie. Krople potu wystąpiły mi na czoło. Dziwna mieszanina strachu i podniecenia wywoływała ucisk w brzuchu. Ciekawe, czy był z inną kobietą? Tolly, prawda?

– Przestań się pocić! – syknął. – Poczują cię! Zwiążesz mnie, wskoczysz do szybu i zjedziesz do pierwszego połączenia. Dalej nie, inaczej spadniesz na sam dół. Nawet jeśli nie zginiesz

podczas lądowania, czyszczarki parowe wyżrą ci skórę. Kiedy zrobi się bezpiecznie, rzucę ci to.
– Pokazał czarną, nylonową linę. – A teraz zwiąż mnie, tylko lekko, w nadgarstkach.

Nie mogłam oderwać od niego wzroku, gdy ściągał resztkę ubrania. Rozrzucił pościel i położył się na wznak całkiem goły.

Wyrobione mięśnie i delikatna szczecinka ciemnych włosów.

Miał czarne sutki.

Nogi wrosły mi w ziemię, nieźle się podjarałam.

– Parrish! – zganił mnie cichym szeptem, z nutą rozbawienia. – Nie teraz.

Ta łagodna ironia wyzwoliła mnie z kleszczy pożądania.

W ciągu pół minuty spętałam go jak mięsną roladę.

– Obiecuj mi coś – szepnął, kiedy pakowałam się z walizką do zsypu.

Odwrociłam się do niego, zaciekawiona.

– Obiecuj mi, że to powtórzymy.

Tylko się skrzywiłam.

– Ale ja go zabawiam! – ciągnął Ibis podniesionym głosem.

– Nie możesz tam wchodzić, nie rozumiesz?

Bolek był już pewnie połączony z obsługiwaną przez człowieka konsolą sterującą. Super, to się za chwilę zdziwią!

Przywiązałam walizkę do ręki i dałam susa do zsypu.

Zdaje się, że zrobiłam to na kilka sekund przed godziną zero. Gdy brałam zakręt, dogoniły mnie jeszcze wrzaski święcie oburzonego Ibis, potem już nic nie słyszałam.

Pięć metrów niżej znajdował się pierwszy zbieg szybów.

Chociaż zapierałam się o ściany, żeby wyhamować pęd, o mało mnie tam nie rozerwało. Roztarłam obolałe miejsca i niezdarnie znalazłam dla siebie wygodniejszą pozycję.

Gdy lewą odnogą spadła sterta ubrań, ze strachu o mało się nie ześliznęłam. Skończyło się na tym, że czyjaś bielizna uwiesiła mi się na głowie i musiałam przepchnąć między nogami łachy i parę ręczników. W takim miejscu można złapać jakieś wstrętne choróbsko!

Chroniąc głowę walizką, wcisnęłam się pod ścianę, by przepuszczać lecące z góry rzeczy. Obrałam dobrą taktykę, choć raz zleciała z góry taka bomba, że prawie mi głowę urwało.

Rozmyślałam o Daacu, który leżał związany na łóżku. I o sobie, uziemionej w zsypie, bombardowanej przez brudy. Ten wszechświat był jednak strasznie chamski!

Minęła godzina, może więcej. Albo coś poszło nie tak, albo o mnie zapomnieli. Jak długo bolek może przeszukiwać mieszkanie?

Obróciłam się w zsypie, żeby trochę poeksperymentować.

Ściany były gładkie i śliskie; wspinaczka nie wschodziła w grę, musiałabym mieć przyssawki. Może udałoby się porobić jakieś wgniecenia na oparcie dla palców, ale czy nie

włączyłby się alarm?

Odłożyłam ten pomysł na czarną godzinę. Na tym etapie podróż w dół wydawała się o wiele bardziej atrakcyjna niż w górę. Tak, tylko jak hamować? Zwłaszcza jeśli na łeb sypią się brudne ubrania. Pralnia chyba znajdowała się w piwnicy.

Strach myśleć, ile by trwał taki ześlizg! Ponad pięćdziesiąt pięterek! Ech, lepiej jeszcze trochę poczekam.

Nagle gdzieś pode mną rozległo się buczenie, z każdą chwilą głośniejsze. Robot serwisowy? No chyba! Pewnie sprawdzał raport o zatorze w zsypie. A zator tworzyłam ja!

Nie widziałam dotąd robota serwisowego, ale moja wyobraźnia pracowała na najwyższych obrotach. Robot niewątpliwie miał szczypcę do rozsypywania pozwijanych ubrań. Bałam się, że wyhaczy mnie i zawlecze do kadzi z parą.

To, co z początku wydawało się łatwiejszym do przełknięcia wyjściem niż konfrontacja z bolkiem, teraz przeraziło mnie nie na żarty.

Loyl, rusz się!

Robot się zbliżał, drżały ściany zsypu, a ja na próżno wysilałam mózgownicę. Może jakoś go zmyślę, żeby poszedł inną odnogą? Gdyby dopisało mi szczęście, popęłznąłby na samą górę.

Pomału otworzyłam walizkę i sprawdziłam zasoby. Karabin, noże, granaty. Kuszące! Zajrzałam do przegrody zamykanej na rzep. Mój nowy komplet moro. Trudno, z żalem wyciągnęłam spodnie i wydobyłam soga. Skromniejszy model od tego, który miałam kiedyś, co nie znaczy, że zawodny.

Spróbowałam dosięgnąć spojenia w lewej odnodze zsypu.

Najbliższe, nie licząc tego w mojej odnodze... było ciut za daleko. Norma!

Odetchnęłam, żeby się uspokoić, ostrożnie wsparłam kolano na styku odgałęzień i wyciągnęłam rękę. Przeszkadzała mi walizka. Gdy trzymałam ją na lewej ręce, traciłam równowagę, gdy na prawej, nie mogłam swobodnie posługiwać się nożem.

W końcu ścisnęłam ją udami.

Po kilku minutach drapania – cała zlałam się potem – oderwałam kawałek aluminiowej blachy i pieczołowicie nabiłam na nią spodnie moro.

Robot nie buczał już, tylko głucho ryczał. Był tuż, tuż, ale musiałam to sobie dobrze skalkulować. Jeśli wyjdę do góry za wcześnie, zmęczę się i ześliznę. Należało poczekać na ostatnią chwilę.

Odetchnęłam głęboko i wzięłam się w garść. Dam radę. Nie chcę do końca życia gnić w pierdlu. Wydostanę się stąd! – mobilizowałam się. Wydostanę się stąd!

Zsyp drżał tak, że zęby mi dzwoniły. Robot musiał być kilka metrów ode mnie.

Wpełzłam do prawej odnogi, ponad pierwsze spojenie, i wczepiłam się w ściany. Niestety, wilgotne dłonie ześliznęły się i zsunęłam się w dół. Wspinając się z powrotem, zastanawiałam się

– trochę w innym temacie – ile musiałabym zapłacić, żeby Doll uwolniła mnie od tego zdradzieckiego potu. Dodałam do listy kolejne życzenie. Jeśli chciałam nadal wieść takie życie, powinnam w siebie zainwestować. W moim fachu naturalna, oszczędnie zmodyfikowana dziewczyna była skazana na pożarcie.

Robot zbliżył się z rykiem do rozwidlenia i przystanął. Wąsate czujniki wsuwały się to w jedną, to w drugą odnogę zsypu. Ze wstrzymanym oddechem nasłuchiwałam, gdy obwąchiwał spodnie.

Wysunął sztuczną rękę, żeby usunąć zawadę. Metalowy zadziór jednak nie puszczał, więc rozpoczęło się swoiste przeciąganie liny, które na pewno sprawiało trudność maszynie. Miałam nadzieję, że zaprogramowano ją tak, by niczego nie rwała.

Ciekawe, czy zakaz obejmował mnie?

Ostatecznie robot zwyciężył, choć nie uniknął rozdarcia materiału. Na chwilę znieruchomiał i wszczął alarm, jakby chciał zmarłych pobudzić. No i mój plan diabli wzięli! Nogi zaczynały mi drżeć z wysiłku i wiedziałam, że za moment wpadnę prosto w te ohydne czujniki i nabiję się zadkiem na szczypcie sztucznej ręki.

Już zaczęłam się zsuwać, gdy nieoczekiwanie chlusnęła mnie w twarz czarna linka. Owinęłam ją sobie wokół nadgarstka i z mozołem, rozpaczliwie, ruszyłam w górę. Mięśnie mi już omdlewały.

Wreszcie Daac wyciągnął mnie ze zsypu.

– Czemu tyle to trwało? – burknęłam.

Nie odpowiedział. Wtedy mu się przyjrzałam. Wyglądał jak siedem nieszczęść! Plecy i pierś, nadal odkryte, miał poszarpane i okrwawione. Trząsał się jak torturowane zwierzę.

Ibis leżał na łóżku i nie dawał znaku życia.

– Boże, co to!?

– Chłopcy za konsolę chcieli się zabawić. Zdaje się, że to... homofoby – stęknął.

Delikatnie dotknęłam jego piersi. Okazało się, że nie są to zwyczajne ślady po biciu, ale oparzenia.

– Dranie! – ryknęłam.

Wzdrygnął się, oczy zaszkliły mu się z bólu. Dziw, że wyciągnął mnie z tego zsypu.

– W walizce znajdziesz szczypcę. Zbudź Ibisa.

Kiwnęłam głową i z traskiem otworzyłam walizkę.

– A co dla ciebie? Jakież prochy?

– Nie mogę, dostałem dermę z kreru. Nie wolno mi brać żadnych prochów. Anna na pewno coś poradzi. – Zatoczył się nad brzeg łóżka i grzmotnął w pościel.

Potraktowałam Ibisa środkiem cucącym i po kilku minutach odzyskał przytomność. Jeśli nie liczyć przekrwionych oczu, wyglądał całkiem normalnie.

- Daac tymczasem przejawiał oznaki szoku. Przy pomocy Ibisa ułożyłam go na łóżku.
- Nie możemy wzywać Anny, to zbyt niebezpieczne – stwierdził. – Weźmiemy go do niej.
 - Ile czasu to zabierze? – spytałam ze smętną miną.
 - Stonogą dojedziemy w pół godziny. Jeśli nic nas nie zatrzyma.
 - No więc ją załatw! – powiedziałam, lecz jego już nie było.

* * *

Ibis wrócił stosunkowo szybko, lecz mnie się zdawało, że upłynął rok. Daac przewracał się na łóżku, narzekał na pragnienie i pojękiwał cicho. Cała pościel wybrudziła się krwią.

Oderwanym kawałkiem prześcieradła próbowałam owinąć najgorsze rany, ale ciągle się wiercił. Wszędzie były plamy z krwi i wodnistego, żółtego płynu.

W końcu stracił przytomność. Moje zmartwienie przerodziło się w panikę. Czy od tego się umiera?

Popatrzyłam na jego palce, sine i pocięte. Przysunęłam się bliżej i otuliłam ramionami jego głowę.

– Nie martw się, Loyl – szepnęłam. – Zabieramy cię do Anny. Sam mówiłeś, że ona wyleczy każdego. Wytrzymaj jeszcze trochę.

* * *

Nie pamiętam już, jak Ibis, Pat i ja zdołaliśmy przetransportować go na postój stonóg w podziemiach. Pamiętam tylko, że liczyło się coś więcej aniżeli siła. Dla ratowania mu skóry przeniosłabym go na grzbiecie na drugi kontynent – ba, na dziesiąty, i to nad morzem wrzącej lawy. Bo chociaż budził we mnie mieszane uczucia, szkoda byłoby, cholera, zmarnować takiego przystojniaczka!

Umieściliśmy go na tylnym siedzeniu, tak by siedział w środku między mną a Ibisem. Pat wskoczył na fotel kierowcy z werwą nabuzowanego maniaka prędkości.

Przez zmatowione szyby niewiele mogłam zobaczyć.

Siedzieliśmy spięci, dzieląc się tlenem i czekając na wycie ścigającej nas stonogi lub warkot policyjnych helikopterów.

Niechby się zbliżyli – byłam w wojowniczym nastroju.

– Czemu nas jeszcze nie zatrzymali? – przerwałam milczeniu.

Później – co trwało wieki – przedmieścia ustąpiły maleńkim, szarzielonym domeczkom w zewnętrznym kręgu.

Daac w końcu przestał stękać, ale gdy ucichły jęki, przestraszyłam się jeszcze bardziej.

Dzięki nim miałam pewność, że żyje. Utkwiłam spojrzenie w jego nagiej, zakrwawionej piersi i starałam się oddychać w tym samym rytmie co on.

Kiedy stonoga pędem dojeżdżała do celu, Pat odezwał się do komu:

– Anna, ograniczysz strefę bezpieczeństwa do dwudziestu metrów i wprowadzisz nas na posesję. Nie zamierzam tracić czasu na uprzejmości.

– Bardzo źle z nim? – Zakłócenia przygłuszyły troskę w jej głosie.

– Źle – potwierdził Pat. – Zobaczymy się w szopie.

W szopie? Rozmyślałam o jej laboratorium i aparaturze medycznej. Miałam nadzieje, że dysponuje odpowiednim sprzętem, żeby wyleczyć Daaca. Naukowcy rzadko się zajmują zwykłą opieką nad chorymi. Z drugiej strony, Daac przyprowadził mnie do niej, kiedy myślał, że jest ze mną naprawdę niedobrze.

Ibis chyba czytał w moich myślach. Ścisnął mi dłoń.

– Anna zna się na rzeczy. Dziesięć lat pracowała w klinice wojskowej w Terytorium.

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem. Oczy miał w strasznym stanie, nabiegłe krwią, na wpół przysłonięte powiekami, a jednak uraczył mnie szczerym, sympatycznym uśmiechem.

– Nie żartujesz? – Czyżby jednak dr Schaum miała jakieś zalety? Jeśli wykuruje Daaca, może przestanie mnie tak denerwować.

Ibis pochylił się i pocałował mnie lekko w policzek. Nie odwzajemniłam uśmiechu, zajęta czuwaniem nad oddechem Daaca, lecz delikatnie wsparłam głowę na jego ramieniu.

* * *

Stan Daaca ustabilizował się dopiero po kilku godzinach.

W ciągu pierwszych dwóch Pat, Ibis i ja kręciliśmy się w kółko, gdy Anna uzupełniała ubytki wody w jego organizmie.

W milczeniu przełykała łzy. Dołowała mnie tą swoją rozpaczą, jakbym już wcześniej nie umierała ze zmartwienia.

– Wyjdzie z tego, prawda? – spytałam ją z nadzieją na słowo pociechy, gdy późno w nocy jedliśmy kolację.

Popatrzyła na mnie z nieskrywaną nienawiścią.

– Wszystko przez ciebie. A przecież nie zdobyłaś tego, na czym nam zależało.

– Anna! – zganił ją Ibis. – Proszę cię, opanuj emocje.

Głośno przełknęła ślinę, jakby walczyła z gniewem. Wstała i odeszła do pacjenta.

Tak czy inaczej, kręciłam się po rezydencji do wieczora. Czekałam niecierpliwie na nowiny i patrzyłam, jak inni przechadzają się tam i z powrotem, zatroskani. Nikogo przy mnie nie było, kiedy Anna Schaum wyszła na krótką przerwę.

– Odzyskał przytomność – uprzedziła moje pytanie.

Obrałam kurs na drzwi, gdy nagle w blasku księżyca zauważyłam jej zdruzgotaną minę. Zamurowało mnie.

– Wiesz, czego on chce? – spytała.

– Czego? – Zdziwiłam się. Co za bzdura, facet odzyskał przytomność, żył, więc jakie znaczenie miały jego zachcianki?

– Ciebie! – burknęła oskarżycielskim tonem.

Z trudem się powstrzymałam od nerwowego śmiechu. Ona to traktowała jak osobisty dramat, a do mnie czuła śmiertelną nienawiść.

Zazwyczaj ludzie nienawidzą mnie z konkretnego powodu.

Ale z zazdrości o faceta? Trudno mi było się z tym oswoić, coś takiego nie spotkało mnie jeszcze nigdy w życiu. W każdym razie ani mi się śniło kogokolwiek przeproszać.

Z drugiej strony, Schaum uratowała mu życie, czym zmasała wiele swoich grzeszków. To właśnie skłoniło mnie do zrobienia czegoś, co było pewnym wyrazem wdzięczności. Odeszłam bez pożegnania się z nim.

* * *

Po północy cichaczem wyskoczyłam na ciemne podwórze i zakradłam się do szopy. Daaca już wcześniej przeniesiono do domu, w laboratorium nie było żywej duszy. Nie zamknięto drzwi, bo i po co? Kucnąwszy przed głównym komputerem Anny, zaczęłam grzebać w plikach. Jakoś nie miałam ochoty siadać na jej krzesle.

Po walce z pecetem Razz sforsowanie zamka Anny było dla mnie banalnie proste. Nawet hasło wymyśliła dziecinne: Loylmedaac. Cóż, z jednej strony naukowiec, z drugiej – kobieta z krwi i kości.

Kiedy już włamałam się do środka, chwilę zabrało mi dotarcie do informacji, przeważnie pisanych enigmatycznym, naukowym żargonem. Przeglądałam je, szukając czegoś sensownego.

Nawet najbardziej zrozumiały wpis nie pomógł mi za wiele:

Obserwacje grupy doświadczalnej po modyfikacjach genetycznych. Ochotnicy wybrani przez L-m-D. Zauważone zmiany zachowania granul chromafinowych i receptorów adrenergicznych. Zwiększone wydzielanie neurotransmiterów. Przyspieszona glikogenoliza.

Objawy symptomatyczne:

Polepszona praca mięśni, nudności, potliwość, halucynacje wzrokowe i słuchowe, na twarzy...

Ekran zgasł, nim skończyłam czytać. Pewnie zadziałała ochrona przed wścibskimi szpiegusami i włączył się alarm.

Dobra, pora spadać!

Po paru minutach przed szopą pojawili się Anna i Pat, zapaliło się światło. Skryłam się przy drzwiach, gdy wpadli do środka i zaczęli sprawdzać sprzęt. Kiedy spierali się na temat możliwych przyczyn alarmu, przeczołgałam się na brzuchu do wyjścia i dałam nogę.

Opuściłam rezydencję skoro świt, obudziwszy Ibis, bo musiał wyłączyć blokadę. Pat jeszcze spał, Anna prawdopodobnie grzała Daaca w łóżeczku. Myśl niewesoła, ale trudno.

Ibis uścisnął mnie niezbyt mocno. Stałam skrepowana w jego objęciach.

– Uważaj na siebie, kotku – powiedział.

– A ty na siebie.

Dziwna rzecz, ale zrobiło mi się żal. Nie pamiętałam, kiedy po raz ostatni było mi smutno w czasie pożegnania. Może dawno temu, przy rozstaniu z Kat.

– Wiem, Ibis, że nie powinnam ci zwracać głowy, ale gdzieś w Vivie jest dziewczynka adoptowana przez króla Bana.

Wytrzeszczył oczy.

– Ta, o której mówili we wszystkich wiadomościach? Znasz ją?

– Tak. Chcę się dowiedzieć, jak to z nią jest naprawdę. Czy ma się dobrze.

Nie musiałam mu tego wyoślać, zrozumiał mnie znakomicie.

– Popytam. Wpadnij do mnie, kiedy załatwisz swoje sprawy. Coś już będzie wiadomo.

Znowu się uścisnęliśmy, tym razem z uczuciem.

– To na razie – powiedziałam.

– Na razie – odparł, choć dostrzegłam powątpiewanie w jego oczach.

**CZEŚĆ
TRZECIA**

ROZDZIAŁ 16

Na obrzeża Vivy doszłam pieszo, schroniwszy się pierwszego dnia w rurze kanału burzowego. Milicja chyba nie wpadła na to, że będę drałować z trepa, ale i tak kilka razy musiałam się kryć przed stonogami patrolowymi.

Ibis pożyczył mi stare, zniszczone sztuczne futro, w którym w słoneczny dzień można było się ugotować, ale dzięki temu upodobiłam się do meneli włóczących się po obrzeżach miasta. Walizkę trzymałam pod futrem, przewieszoną przez ramię. Ocierała się o kamizelkę kuloodporną, co dodawało mi otuchy.

Koło piątej rano znalazłam następną betonową rurę, nie dalej niż kilometr od granic Vivy i głównego punktu granicznego.

Przy punkcie kontrolnym nazjeżdżało się mnóstwo stonóg z bolkami, a w górze, na podobieństwo sępa, krążył szpiegus. Przez chwilę z tęsknotą wspominałam paralognię Daaca, aż nagle dał o sobie znać przemożny lęk przed lataniem. Następnym razem wzbiję się w powietrze, jak wyrosną mi skrzydła!

Przycupnęłam w rurze i wyjrzałam na zewnątrz.

– Gdzie twoje maniery? Pukaj, jak wchodzisz!

Zerwałam się z miejsca, wystraszona tą gniewną odzywką.

Przy drugim końcu rury z kupy śmieci wyrosły ręce i głowa.

W mętym, porannym świetle dostrzegłam błysk noża.

– Przechodziłam tędy i tyle – odpowiedziałam ostrożnie. – Myślałam, że to pustostan.

Połowa ciała trochę się wydłużyła.

– No to źle myślałaś. Zamiejscowa, co? Tu się czeka na swoją kolej. Na rurę trzeba pierwszej zapracować. – Nóż wprawnie przeskoczył z ręki do ręki. – Chyba że jesteś z bandy Trunka.

– Trunka? Kto to?

Wsunęłam dłoń pod futro i namacałam zamek walizki. Zwykle mam pod ręką noże lub szpilki, ale w obecnej sytuacji reklamowanie arsenału broni nie wydawało się dobrym pomysłem.

– Ręce przed siebie, mają być na widoku! – Mówił głosem suchym jak piach w Trójce. – Udowodnij, żeś nie od Trunka, to może cię nie zabiję.

Rozważałam różne możliwości. Gdyby miał tylko nóż, chyba dałabym mu radę. Ale jeśli to amputas? Teece ostrzegwał, że kręcą się tacy pod granicą. A jednak coś mi mówiło, żebym nie chojrakowała. Wrogów narobić sobie łatwo, o przyjaciół trudniej. Postanowiłam trzymać się prawdy.

– Milicja i dziennikarze chcą mnie dorwać za coś, czego nie zrobiłam. Muszę wracać do Trójki. Weź mnie nie pogrążaj.

Kupa szmat i papierzyśk deliberowała nad moimi słowami.

– Podejdz bliżej. Pomału. Pomaleńku, mówię.

– Jak się nazywasz?

– Tu ja zadaję pytania, ty masz odpowiadać. – Podobnie jak Bras, połykał niektóre sylaby.

– Nie ma sprawy.

– Dobra! Stój, gdzie stoisz. Co tam masz pod kapotą? Pokazuj! Ino pomału!

Wolno sięgnęłam do walizki i odpięłam pasek.

– Zahandlujesz? – spytałam.

Parsknął śmiechem, dzikim i piskliwym chichotem.

– Co powiesz na to: ja biorę, ty idziesz? Tak ja rozumiem handelek.

– Posłuchaj, muszę się ukryć do nocy, potem sobie pójdę. Może coś ci dam w zamian, mam parę fajnych rzeczy. – Z bliska widziałam kontury jego twarzy i ramion. Celował nożem w moje oko.

– Otwórz teczkę i połóż ją na ziemi! – rozkazał.

Zrobiłam, jak chciał, i pchnęłam walizkę w jego stronę.

Schylił się po nią łapczywie. Gdy się ruszył, przeturłałam się po dnie rury, wyciągnęłam z przegródki największy nóż i przyłożyłam go skubańcowi do szyi, wytrącając mu z ręki jego własny. W tym samym momencie poczułam na brzuchu ukłucie lufy półautomatu.

– Ho, ho, ho... – szepnął, chuchając na mnie fetorem zgniłego mięsa. – I co teraz będzie?

Myślałam, że zemdli mnie z tego smrodu.

– Prędeż naciśnę spust, niż ty ciachniesz mnie nożem. – Znowu zarechotał. – Wygrałem.

Po chwili wahania przymusiłam usta do uśmiechu.

– Wygrałeś.

Słyszając, że się poddaję, odrobinę zmniejszył nacisk – może był zmęczony, a może źle ocenił sytuację. Z całej siły, ile tylko miałam pary w nogach, kopnęłam kolanem w pistolet, który z klekotem spadł na ziemię. Jednocześnie przystawiłam mu nóż do samej grdyki.

– Coś mi się zdaje, że i tak nie miałeś amunicji.

Teraz dokładnie widziałam rysy jego twarzy. Długi nos i pobrużdżone, obwisłe policzki. I oczy koloru brudnych płyt chodnikowych.

Wzruszył ramionami.

– Twoje na wierzchu – przyznał. – Ile zapłacił ci Trunk, żebyś mnie usunęła z domu? – Czule pogłaskał ścianę przepustu.

Powoli, bardzo ostrożnie, cofnęłam nóż. Potem, ciągle z zadartym ostrzem, odsunęłam się od niego.

– Nic. Już ci mówiłam, szukam schronienia do nocy. To wszystko.

Gapił się na mnie w rozterce.

– Nie zabijesz mnie?

Tym razem szczerze się uśmiechnęłam. Nie chowając noża, powiedziałam:

– Mam na imię Parrish.

Ponownie zionął na mnie śmierdzącym oddechem.

– Gwynn.

Przyciągnęłam do siebie walizkę i pogrzebałam w niej jedną ręką. Kiedy znalazłam to, na czym mi zależało, podziękowałam w duchu Daacowi. Odpięłam magazynek i pomachałam mu nim przed nosem.

– Pasuje do twojej giwery?

Przyjrzał się i skwapliwie pokiwał głową.

– Zostawię ci go, nim odejdę. W charakterze zapłaty. Będzie ci łatwiej bronić tego... kąta. Zgoda? – Wróciłam na swój koniec rury. – Nie musimy wchodzić sobie w drogę.

Gwynn skurczył się, jakby ktoś go przydeptał. Z mojego miejsca wyglądało, że drży. Zastanawiałam się, skąd, u licha ciężkiego, facet bierze jedzenie.

Pół godziny później znałam już odpowiedź. U wejścia do przepustu pojawiła się chuda postać i podeszła do Gwynna.

Staruszek z ochotą wdał się w cichą rozmowę. Po krótkiej wymianie zdań postać zniknęła.

– Zjesz coś, Parrish? – odezwał się znienacka mój współlokator. Wyciągnął na dłoni jakieś nędzne resztki.

Umierałam z głodu, ale miałam pod futrem zapas porządnego żarcia z dobrze zaopatrzonej kuchni Anny. Było mi wstyd, że nie poczęstowałam Gwynna. Gdy tymczasem on chciał się ze mną dzielić czymś, czym szczer by może pogardził.

Z drugiej strony, próbował mnie obrabować!

– Nie, dzięki.

Ucieszyło go to chyba. Całą garść jedzenia spałaszował w ciągu kilku sekund. Po śniadaniu stał się bardziej rozmowny.

– To czemu cię szukają, Parrish? – spytał.

Zawahałam się. Czy można ufać kloszardowi? Szczegóły postanowiłam zachować dla siebie.

– Podejrzewają mnie o zamordowanie znanej dziennikarki.

Zagwizdał niemelodyjnie.

- No to kicha.
- Nie da się ukryć – burknęłam ze złością.
- Jak chcesz wykiwać gliny?
- Nie wiem. – Uśmiechnęłam się ponuro.
- A wiesz, kto ją zabił?
- Może.

Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy. Wydawało mi się, że Gwynn zasnęła. Powędrowałam myślami do rezydencji Anny Schaum. Czy Ibis wrócił do „Emporium”? Czy Daac dochodził do siebie?

- Nie znasz Trunka?

Głos Gwynna brutalnie wyrwał mnie z zadumy. Popatrzyłam na niego.

- Ile razy mam ci powtarzać, że nie? Kto to?
- Trunk chce mnie ograbić, ale może to zrobić tylko w jeden sposób.

Chodziło mu o to, że biłby się do upadłego o swoją wstrętną rurę. Zaraz, jak powiedział Daac? Miejsce zapisuje się w duszy człowieka, nawet brudne i plugawe. Niewykluczone, że w ten obrazowy sposób mówił o ludziach, których życie zmusiło do mieszkania w norze.

- To może pokażę ci drogę? – Gwynn znowu mnie zaskoczył.

- Inną drogę? – Wstrzymałam oddech.

Parsknął śmiechem i puknął się w czoło.

- Gwynn, klucznik kratowiska. Dokądkolwiek zechcesz. Pokażę ci jak.

- Co znaczy: dokądkolwiek?

– No, tam już czeka milicja... – Skrzywił się z obrzydzeniem. – Gwynn nauczy cię chodzić dołem.

- Dołem?

Wyciągnął rękę.

- Ty mi dasz naboje, ja ci pokażę drogę do Trójki.

Przyglądałam mu się w szarym świetle.

- I co, Gwynn, mam ci ufać?

- Nie musisz – odparł bez ogródek.

Cóż, przynajmniej nie kłamał. Przez chwilę obracałam w palcach magazynki, potem mu go rzuciłam. W ciągu kilku sekund wetknął go do gniazda przy komorze półautomatu.

Z głębokim westchnieniem i zadowoloną miną oparł się o beton.

- Musimy zaczekać, bądź gotowa.

* * *

Czekanie przeciągnęło się do paru godzin. Zdążyłam już zwątpić w dobre intencje Gwynna... i swój zdrowy rozsądek, skoro dałam mu magazynek z ostrą amunicją. Instynkt często podpowiadał fajne rzeczy, ale też nieraz zwodził na manowce.

Wspominając dawne pomyłki, zastanawiałam się, czy właśnie nie popełniłam kolejnej.

Aż nagle Gwynn, jakby dostał skądś niewidzialny znak, wygrzebał się ze śmieci i przelazł koło mnie w stronę wyjścia z przepustu. Był stary, uświniony, lecz bary miał jak sztangista.

Zdaje się, że wózki inwalidzkie nie sprawdzały się w rurach.

To samo sztuczne nogi.

Trzymałam się z tyłu blisko niego, choć bez dotykania.

Zatrzymał się kilka metrów od wylotu rury i rozgarnął śmieci.

Stęknął i naprężył mięśnie. Gdy betonowa płyta oderwała się ze zgrzytem, z łatwością odrzucił ją na bok.

– Silny jesteś. – Byłam naprawdę pod wrażeniem.

Jego sterana twarz wyraźnie się rozpromieniła.

– Gwynn zdobył medal PanSatu. Ładnych parę lat temu.

Pogmerał w głębinach złachmanionej koszuli, by wyciągnąć zszarzały, srebrny krążek na brudnej wstążce. Logo PanSatu było jeszcze widoczne.

Rozdziawiłam usta. Cisnęło się oczywiste pytanie, lecz w porę ugryzłam się w język. Jeśli Gwynn był utytułowanym atletem, to chyba wolał nie rozmawiać o swoich obecnych warunkach mieszkaniowych.

Ze smutkiem poskrobał się po głowie.

– Zaglądali mi do środka. Chcieli wiedzieć, skąd mam tyle siły bez prochów. Zmienili mnie. Na zawsze.

– Zdobyłeś medal bez koksu?

– Byłem taki, jaki się urodziłem. Potem mnie wzięli. Odebrali mi nogi.

– Co?! Otworzyli ci głowę i odcięli nogi, żeby sprawdzić, czemu jesteś taki silny?

– Niezupełnie. Otworzyli głowę, żeby się lepiej przyjrzeć. A potem nogi już nie działały należycie. Chorowałem. Lekarz musiał amputować nogi.

– Kto ci to zrobił?

– Nieważne, Parrish. Było, minęło. Dostaję jedzenie, mam pracę. Gwynn, klucznik kratowiska.

Wciągnął w płuca haust powietrza i z dumą wypiął pierś.

Potem kiwnął palcem.

– Możesz schodzić. Kieruj się na południe. Rury biegną w trzy strony. Idź na wschód, znaczy w lewo. I uważaj, pełno tam psioszczurów.

Wydobyłam spod futra jedzenie, które dał mi Ibis na drogę.

– Masz, kolego – powiedziałam. – I dzięki. Może jeszcze kiedyś cię odwiedzę.

Uśmiechnął się. Wydawało mi się, że nie był to sztuczny uśmiech. Schodząc w czarną studnię, obejrzałam się na niego, ale on już przykładał pokrywę. Jeszcze chwila i ogarnęły mnie egipskie ciemności.

* * *

Człowiek mojego wzrostu ma przerąbane w ciasnych zakamarkach. Na szczęście rura na pierwszych kilometrach była na tyle szeroka, że mogłam swobodnie iść z lekko pochyloną głową. Mimo to po pewnym czasie rozbolały mnie nogi i plecy. Zdecydowałam się na zmienny sposób wędrówki: raz z męczącym kaczym przykucem, raz z przygiętym karkiem.

Czołganie się nie wchodziło w rachubę.

Szczelnie okutałam się futrem i nałożyłam kaptur, żeby nie otrzeć się o ziemię gołą skórą.

Czasem aż włos się jeżył, kiedy wytężonymi zmysłami wykrywałam psioszczury. Cholera, że też całe żarło zostawiłam Gwynnowi!

Żeby nie zwariować, myślałam o rurach. Znajdowałam się w istnym labiryncie przedpotopowej kanalizacji. Miejscami korzenie drzew sterczały ze ścian jak szpony. Gdzie indziej rury były nie uszkodzone, choć pokryte brudnym nalotem i pstrymi płatami grzyba. Niektóre grzyby mogły być jadalne, ale wolałam nie ryzykować. Przynajmniej na razie.

Ciekawe, ilu tu ludzi zaglądało, czy choćby o tym wiedziało. Otwierały się przede mną zdumiewające możliwości nielegalnego przekraczania granicy.

Od czasu do czasu odbiegały w bok mniejsze rury. Tyle ich było, że przestałam je liczyć. Kiedy już bolesne skurcze chwytały brzuch i nogi, dotarłam do głównego rozgałęzienia.

Mięśnie tak bardzo domagały się odpoczynku, że siadłam, by odsapnąć.

Po krótkim myszkowaniu w kieszeniach futra znalazłam tabliczkę czekolady od Ibisa. Ekstra! Przesłałam mu w wyobraźni rozradowany uśmiech z dołączeniem gorącego uścisku. Aż raptem zrobiło mi się głupio. Ibis najbardziej zasługiwał na miano mojego przyjaciela, odkąd... odkąd sięgałam pamięcią.

Jeśli nie liczyć Kat.

Kat robiła niezły szmal na grze w baseball gdzieś w Eurazji.

Żyła ostro i grała ostro. Nie mogłam mieć o to do niej żadnych pretensji. Pozyje krótko, ale za to dostatnio. Chyba właśnie wtedy, gdy wyjeżdżała, ostatni raz płakałam. Cóż, jej wybór.

Przynajmniej go miała!

Z drugiej strony, jak myślałam o przejściach Gwynna, to aż mnie skręcało. Jeśli uda mi się załatwić własne sprawy i uniknąć zapuszkowania, odszukam Gwynna i zobaczę, co się da zrobić. Może uwolnię go na dobre od tego Trunka.

No nie, znowu to samo! Muszę się pilnować, inaczej zacznę przypominać Daaca i sama decydować, kto i kiedy potrzebuje pomocy.

Długo i dokładnie masowałam krzyż, by usprawnić obieg krwi, po czym podniosłam się, skręciłam w lewo i poczłapałam przed siebie.

Niebawem natknęłam się na pierwszego psioszczura. Nie widać ich w ciemności, ewentualnie można je wyczuć, co dzięki nakładkom węchowym nie sprawia mi większych trudności.

Smród psioszczurzej sierści kazał mi momentalnie sięgnąć do kieszeni po glocka. Fajnie było posługiwać się wyostrzonym węchem, przydałby się jeszcze równie dobry wzrok.

Ale co tu oglądać? Grube strąki śliny ściekającej spomiędzy zmutowanych zębów? Ohyda!

Wyciągnęłam przed siebie pistolet.

– Przepuść mnie! – zawołałam. – Nie zrobię ci nic złego!

Psioszczurom kiepsko wychodziło gadanie, ale co nieco rozumiały. Najlepszy przyjaciel człowieka i największy śmieciarz w przyrodzie w jednym.

Warknęłam niskim, złowieszczym głosem. Ile się za nim czaiło? Poczulałam ich obecność, zbliżały się jak mgła idąca rurą. Rozpaczliwie rozmyślałam nad sensownym wyjściem z sytuacji, bo nie chciałam wystrzelać całej amunicji na dwa pierwsze zwierzaki, które zastąpią mi drogę. Kto wie, jak by się to skończyło?

Postanowiłam to rozegrać w ryzykowny sposób, choć pomysł nie wydawał się wcale najszcześniejszy. Psioszczury żyły w zorganizowanej społeczności. Miały swoją sieć komunikacji i hierarchię ważności. Może coś słyszały o moim starciu z Wielgusem?

– Zabiłam Wielgusa! – krzyknęłam.

Powarkiwanie przerodziło się w kakofonię przerażających odgłosów: prychnania, ujadania. Wstęp do wybebeszania i przeżuwania.

Dzięki wędkom wiedziałam, że na miejscu jednego psioszczura pojawiło się z dziesięć. Wyczuwałam ich głód.

One za to czuły jedzenie. Czyli mnie.

Usilnie starałam się przekrzyczeć hałas:

– Wielgusa, zabiłam Wielgusa!

Teraz to już brzmiało jak trzęsienie ziemi. I nagle mnie oświeciło!

– Oja! Jestem Oja!

Zaległa cisza. W ciągu jednej sekundy zrobiło się cichutko.

Ze zdumieniem wyczułam, że się oddalają. Po pięciu minutach miałam pewność, że wyniosły się na dobre.

Ich zachowanie dało mi do myślenia. O tak, miałam nad czym główkować, kiedy kark mi drętwiał, a horrendalny głód skręcał kiszki. Musiałam często odpoczywać. Rura wydawała się

ziarnista... a może wzrok mi się mącił? Najchętniej wróciłabym do Gwynna, ale spędziłam w podziemiach już sześć, może osiem godzin. Za późno na powrót. Na górze musiało być po zmierzchu.

Na boki strzelały mniejsze kanały, całe krocie. Zaczynałam się bać, że zabłądzę tu i będę się błąkać aż do śmierci.

Aż wreszcie, jak kiedyś w kanale pod wyspą M'Grey, coś przykuło moją uwagę. Dostrzegłam drobną różnicę. Żaden tam otwór, niestety, lecz mniej paskudztwa na rurze. Przyjrzałam się temu uważnie.

Jedną ręką przetałam to miejsce, drugą osłoniłam oczy przed sypiącym się brudem. Palcami namacałam trzy z grubsza ociosane krawędzie prostokątnej płyty. Jakby ktoś próbował zrobić wejście do kanału i dał sobie spokój.

Czy tędy wyjdę? Nie tracąc czasu, sprężyłam się i zaczęłam pchać, tłuc i drapać. Na próżno.

Zastanawiałam się, czy nie iść dalej. Jeśli inni korzystali z tych przejść, musieli wydostawać się łatwiejszym wyjściem.

Gwynn na ten temat nie wspomniał ani słowem, a ja, idiotka, nie pytałam. Czasem, gdy człowiek jest zmęczony, dostaje małego rozumu. Chciałam się wreszcie stąd wydostać!

Przecież tu nie zdechnę! – pomyślałam.

Nożem, wyciągniętym z walizki, wyryłam linię, gdzie powinna powstać szczelina. Następnie wzięłam się za bary z „pokrywą”, aż omdlałe ręce odmówiły posłuszeństwa.

Obluzowałam toto? Drgnęło? Podniosło się choć tyci, tyci? Z animuszem położyłam się na plecach i wpasowałam się nogami w obrys prostokąta. Używając silniejszych mięśni nóg, zaczęłam wymierzać kopniaki. Mało mi szyja nie pękła.

Ostre kamyki wżynały się w plecy, lecz nie zamierzałam rezygnować.

„Pokrywa” poddała się bez ostrzeżenia. Nogi wyprostowały się i wróciły z impetem, aż przewróciłam się na bok.

Wciąż czułam stopy, a więc kręgosłup nie strzelił. Karta się odwracała!

Jakoś się pozbierałam, wstałam i wychyliłam głowę przez dziurę. Zobaczyłam niskie, długie, cuchnące pomieszczenie, na końcu zaś krzywe schody. Usmarkana, zapaskudzona robactwem jarzeniówka świeciła wątlym światłem. Szorując rękami i kolanami po dywanie z brudu, wdrapałam się na wierzch i podczołgałam do schodów. Gdy mijałam zwały skrzyń, dławił mnie wstrętny fetor. Wołałam nie myśleć, co tak śmierdzi w tych pakach. Zapach lgnął do mnie jak zepsuta woda kolońska.

Na końcu schodów był właz. Ucieszyłam się co niemiara: może pusta willa?

Za trzecim pchnięciem kłapa się poruszyła. Poraziły mnie odgłosy zwierząt i krąg jasnych świateł. Chyba nie była to jednak pusta willa.

Mrużyłam oczy jak wariatka i wdychałam świeższe powietrze, a jednocześnie machałam

ręką, jakbym trzymała białą flagę. Na razie pięści i noże nie wchodziły w grę. Wiedziałam, że gdziekolwiek jestem, będę musiała wcisnąć dobry bajer.

– Nie chcę kłopotów! – krzyknęłam, oślepiona.

Zero odpowiedzi.

Wygramoliłam się cała na górę, aż uderzyłam w coś głową.

To mnie zmusiło do skulenia się i zsunięcia na bok z pochylonym czołem. Przez chwilę leżałam zasapana, próbując rozeznaczyć się w otoczeniu. Oczy dość szybko przywykły do nowych warunków. Mózg potrzebował dłuższego czasu.

Trafiłam do klatki w jakiejś ciasnej komórce. Okazało się, że odgłosy, które słyszałam, dolatują z sąsiedniego pomieszczenia, gdzie grupa seksmaniaków urządzała sobie hardkorowe tortury. Drzwi były otwarte, więc trochę widziałam.

O, w mordę! Wrąbałam się na sado-party!

Nie chciałam psuć im zabawy, każdy ma swoje upodobania, zresztą dostałam już w kość w inny sposób. Niepotrzebne mi były kolczaste druty, rzeźnicze haki i elektryczne pieszczochy.

Próbowałam znaleźć jakieś drzwiczki – nic z tego. Był tylko długi łańcuch i ciężki mechanizm podnośnika. Dźwignię dostrzegłam na drugim końcu komórki.

– Wypuście mnie! – wychrypiałam, szarpiąc klatkę.

Nie słyszeli. Zebrałam w sobie resztki sił.

– Pali się!!! – ryknęłam.

Z sześciu klientów – tych, którzy nie byli związani lub przywiązani – wpadło do komórki. Jedni mieli zaszkłone oczy, drudzy byli splotakani lub zaślinieni.

Proszę, nawet ktoś znajomy! Stellar, pinda z body-shopu.

Jeszcze żyła. No, ledwie... To było nas dwie. Poznałam ją po paznokciach i niezdrowej cerze. Poza tym, wszystkie gnaty obwiązano jej bandażami.

Ale chyba miałam pecha, bo w jej martwych oczach pojawił się chytry błysk. Ogarnęła wzrokiem otwarty właz i umorusańca w klatce.

– Dziwko... – mruknęła na powitanie.

Ze strachem wypatrywałam Jamona, ale chyba go nie było.

Dzięki ci, losie!

– Co to za jedna? – sypały się pytania.

Stellar skorzystała z okazji, która nadarzyła się jej tak niespodziewanie. Przyczłapała do klatki w swoich monstrualnych, niewygodnych szpilkach.

– To... prezent od Jamona. Schował ją w krypcie.

W krypcie! O, fuj! Aż mnie zemdliło.

– Należało to wcześniej obgadać – odezwał się cudacznie szczudłowaty facet z obwisłymi ramionami, wielkimi łapskami i surową twarzą. – Przecież zna zasady.

– Chciał panu zrobić niespodziankę, panie Jayse. – Stellar uklękła przed nim i pochyliła głowę w geście poddaństwa.

– Ale co to za brudas?! – burknęła blondynka, która przyglądała mi się krytycznym wzrokiem. Drut kolczasty pozostawił krwawe ślady na jej ciele.

Próbowałam zachować spokój, ale gdy zaczęli gadać o „składaniu ofiary”, nie wytrzymałam:

– Stellar! – zawołałam histerycznym głosem. – Chodź tu bliżej!

Wlepiała we mnie spojrzenie. W jej pustych oczach malowała się ciekawość.

– Mogę pana przeprosić, panie Jayse, na minutkę?

Wielka Łapa z namaszczeniem dotknął swój sączonek na genitalia.

– Proszę bardzo. Zdecyduj, jak ma się zaprezentować.

Osobiście wolę brudną.

Wrócił do swego zajęcia. Po krótkiej chwili na nowo wybuchły jęki.

Stellar podpełzła do mnie jak niewolnica, choć tylko dlatego, że miała kłopot ze wstaniem.

W końcu chwyciłam ją za ramię i przyciągnęłam do samej klatki.

– Wypuść mnie stąd! – szepnęłam z desperacją.

– A niby czemu? – Wydęła usta w swoim stylu, lecz nie było w tym życia. Podobnie jak w jej urywanym oddechu.

– Niedługo zjawi się Jamon. Szuka cię.

– Jesteś chora, Stellar. – Staralam się wzbudzić w sobie współczucie, lecz jakoś nie mogłam.

Drżąc, zlizwała pot znad ust.

– *La morte vite*. Kto ci powiedział?

Pokręciłam głową.

– Pamiętasz to przyjęcie, kiedyśmy się ostatni raz widziały? Jamon dał nam do zjedzenia ryby z rtęcią.

– Ale ty przecież...

– Ja swojej nie tknęłam. Lang mnie ostrzegł.

Na jej skurczonej twarzy odbiła się złość, cierpienie, niedowierzanie.

– Ty już wtedy jadłaś – dodałam. – Wierz mi, powstrzymałabym cię, gdybym wcześniej wiedziała. – Mówiłam całkiem serio. Nie znosiłam jej, ale była tylko ofiarą Jamona Monda.

– Czemu mi to zrobił?

Wzruszyłam ramionami.

– Tak mu się zachciało. Lubi zadawać ból.

Inne wytłumaczenie z miejsca by odrzuciła... lecz to akurat trafiło jej do przekonania.

Siedziałyśmy oparte o siatkę, policzek przy policzku, gdy próbowała przetrawić to, co powiedziałam. Miała kwaśny oddech.

– On kiedyś był inny – wyznała. – Teraz wchodzi w układy z palantami, jak ten tu... –

Wskazała pana Jayse'a. – I co noc ćwiczysz na symulatorach.

Chodziło jej o symulowane strategie walki.

– Co to za układy?

Patrzyła gdzieś w dal. Na pewno myślenie sprawiało jej trudność.

– Mówi, że klany chcą wysiadać go z rewiru. Dlatego pierwszy uderzy.

– Klany? – Niestety, podejrzewałam, jaka będzie odpowiedź.

– Wspólnoty rodowe. Starzy lokatorzy. – Odwróciła się i rzygnęła żółcią.

Znowu mnie naciągało. Zamknęłabym włącz, żeby nie waliło już smrodem, ale na razie była to dla mnie jedyna droga ucieczki.

– Przez niego umierasz, Stellar. Dopilnuję, żeby za to zapłacił.

Chwyciły ją dreszcze. Sprawiała to ręk czy emocje? Podpełzła do dźwigni. Łzy kapały jej na ręce, kiedy ciągnęła za uchwyt. A więc jednak emocje. Wzruszyłam się.

Nasmarowany łańcuch uniósł klatkę na tyle, że mogłam się spod niej wyturlać. Stellar opuściła ją i wróciła do mnie.

– Lepiej się pośpiesz – szepnęła. Po łzach zostały brudne plamy na policzkach, lecz oczy patrzyły przytomnie. Ze smutkiem. – Za chwilę przyjdzie Jamon. Powiem im, że zabiłaś mnie, kiedy próbowałam cię umyć. Wyjdź drugimi drzwiami na korytarz.

– Wypuszczą mnie?

– Łatwo sobie poradzisz. – Uśmiechnęła się blado.

Chciałam podziękować, wyrazić swój żal. Mogłam jej pomóc stąd odejść, zamiast jej nienawidzić. Mogłam... tylko że ona nie potrzebowała moich podziękowań. Ciężko się podniosła i chwiejnym krokiem wróciła do towarzystwa.

ROZDZIAŁ 17

Jak się okazało, salon tortur Wielkiej Łapy znajdował się w połowie drogi między Shadoville a wypożyczalnią motorów Teece'a. Dotarłam do niego ostatkiem sił, zmieniona do niepoznaki grubą warstwą brudu. Gdy go zobaczyłam, gapił się żałośnie na puste miejsce w garażu.

– Przepraszam za ten motocykl, Teece – powiedziałam ochryple.

– Parrish! – wykrzyknął, odwracając się. – Na wombata, co ty tutaj robisz? Hej, jeszcze wszystko mi tu zasmrodzisz!

– Dałbyś wody. – Język przysychał mi do podniebienia, słałam się na nogach.

Podszedł do mnie w trzech wielkich krokach i podstawił ramię, żebym nie upadła.

– Do wanny! – rozkazał. – Cuchnie gorzej niż ścierwo psioszczura.

Zaciągnął mnie do łazienki – małej, prostej klitki dwa na cztery z jednym luksusowym drobiazgiem: wanną. Zwlókł ze mnie brudne łachy, stare futro i suknię, którą dostałam od Daaca i Ibisa, a na stosie położył walizkę. Potem ulokował mnie w wannie, przy czym nie raczył sprawdzić, czy jest już napełniona albo czy się nie oparzę.

Zostawił mnie na parę minut, by wrócić z dzbankiem wody, który postawił na ziemi niedaleko mnie.

– Pij wolno. I nie utop się – dodał ponuro, nim zostawił mnie samą.

Gdy nieco odżyłam, namydliłam się i szybko, zaraz po napełnieniu się wanny, spuściłam wodę. Tę czynność powtórzyłam raz jeszcze, aż zniknęły resztki brudu. Na koniec z rozkoszą zanurzyłam się w gorącej wodzie.

Moczyłam się chyba kilka godzin, próbując odsunąć od siebie myśli o Stellar, salonie tortur, Gwynnie i Loyl-me-Daacu. Nie udało mi się.

Wygramoliłam się z wanny i wrzuciłam do buta płytkę i dyskietkę, wyciągnięte z bezrękawnika. Po opłukaniu wanny chwiejnym krokiem poszłam do sypialni.

Teece czekał na mnie w łóżku z odsłoniętą pierśią i stopami jedna na drugiej, w bładniebieskim jedwabnym szlafroku – pod kolor oczu. Na kolanach leżał półautomat.

– To z mojego powodu?

– Jest na ciebie duży popyt na rynku. Mam swoich szpiegów na granicy. Każdy chciałby cię

dorwać.

Westchnęłam. Miałam na sobie tylko ręcznik, ale byłam zbyt zmęczona, żeby się tym przejmować. Zwinęłam się w kłębek w nogach łóżka niczym przemoczony dachowiec niespotykanych rozmiarów.

– Mogę sobie pożyczyć taką zabaweczkę? – wymamrotałam.

Kiwnął głową.

– Wiesz co, Teece? – Ziewnęłam.

– Co? – Nachylił się nade mną z uwagą.

– Jak się obudzę, dasz mi coś do jedzenia?

– Hej, poczekaj no sekundkę! Wyśpisz się, ale najpierw pogadamy...

Więcej nie słyszałam.

Obudziłam się trupio sztywna. W sypialni było ciemno, ale inaczej niż w środku nocy, bardziej jak w szarówce wczesnego poranka. Teece pochrapywał z dala ode mnie, z półautomatem wciśniętym pod pachę.

Leżąc, zastanawiałam się, czy się nie ulotnić, nim zasypie mnie pytaniami. Choć dokuczał mi głód, wolałam prysnąć, niż bić się w piersi i tłumaczyć, czemu zniszczyłam jego kask i motocykl. Tak więc po cichu i w miarę płynnym ruchem ześliznęłam się z łóżka.

Dotarłam tylko do drzwi.

– Wybierasz się gdzieś?

Przeciągnęłam się, odwróciłam i uśmiechnęłam do niego w półmroku.

– Nie chciałam cię budzić, ale zjadłabym konia z kopytami.

Wskazał stolik z tacką, na której leżały chleb, ser i pro-substy.

Zrobiło mi się wstyd. Teece traktował mnie po przyjacielsku, a co miał w zamian? Rozwalone motory!

Usiadłam na skraju łóżka i ochoczo zabrałam się do jedzenia.

– Dzięki – powiedziałam między jednym kęsem a drugim. – Naprawdę, Teece, wielkie dzięki.

Leżał z głową na poduszce i z ciekawością patrzył, jak jem.

Kiedy już prawie ogołociłam tackę, zapytał spokojnie:

– Powiesz mi, kochanie, co jest grane?

Powoli miętosilałam w ustach ostatnie okruchy, żeby zyskać na czasie. Na ile mogłam mu zaufać? Kiedyś mówił o miłości.

Czy miłość trwa dłużej niż parę tygodni lub miesięcy? Nie bardzo w to wierzyłam. Na pewno nie w tym mieście. Ale chyba byłam mu coś winna.

– Ktoś chce mnie wsadzić do pierdła. Na amen.

Roześmiał się.

– Też mi nowina! Twoją twarz pokazują wszystkie stacje. – Zmarszczył czoło. – Ale co się naprawdę stało? Ostatnio powiedziałaś, że coś w twoim życiu może się wreszcie zmienić.

Pokiwałam głową.

– Faktycznie, zmieniło się... – Głos mi drżał odrobinę.

Na dobitkę Teece mnie dotknął, a właściwie współczująco poklepał po ramieniu. Ten prosty gest przyjaźni przeważał szalę.

Nim się obejrzałam, wyśpiewałam mu całą historię.

– Lang zlecił mi robotę. Obiecał, że jeśli zdobędę dla niego informacje z komputera w pewnym miejscu w Vivie, Jamon spędzi w więzieniu resztę życia. Grzechem byłoby zmarnować taką okazję!

Pokiwał głową. Doskonale mnie rozumiał. Między innymi ze względu na Jamona przestał bywać na Torleyu.

– Widocznie Lang mnie wrobił, żebym beknęła za zabójstwo dziennikarki.

– Czemu chciał pogrzyźć akurat ciebie?

– Wszystko to strasznie poplątane, sama się gubię. Ale znajdę odpowiedź. Bo widzisz, Razz sponsorowała pewne badania genetyczne. Chodzi o odporność na trujące metale. Chyba znalazła sposób, żeby pomóc ludziom w Trójce. No ale ktoś ją stuknął, więc forsa się skończyła i badania zostały przerwane.

Otwierał usta, jakby chciał coś wtrącić, ale nie pozwoliłam mu dojść do słowa. Wszystko mu opowiedziałam.

Nie sprawiał wrażenia zdumionego, co najwyżej zmartwionego.

– To mówisz, że informacje zostały skasowane? – spytał.

Wyszczrzyłam zęby.

– Niezupełnie.

Wstałam, poszłam do sanitariatki i wyciągnęłam dyskietkę z buta. W sypialni rzuciłam ją na łóżko.

– Kiedy kapnęłam się, w czym rzecz, dałam nogę. Tutaj mam wszystko, co dało się uratować. Muszę wiedzieć, co to jest. Pomożesz mi? – Starłam się nie mówić tego błagalnym tonem.

Nie udzielił mi jednoznacznej odpowiedzi.

– Ciekawe, czemu Lang chciał, żebyś odsiadywała wyrok za zabójstwo?

Wzruszyłam ramionami.

– Pojęcia nie mam. Może wybrał mnie przez przypadek?

– Co zyska, jeśli badania skończą się klapą?

Ponownie wzruszyłam ramionami i wskazałam na dyskietkę.

Leżała między nami jak granat.

– Miałam nadzieję, że ty mi powiesz. Aha, jest jeszcze coś, o czym powinieneś wiedzieć. Może to cię oświeci. Otóż Lang potrafi zmieniać zewnętrzny wygląd, i to nie za pomocą makijaży lub medycznych sztuczek. – Pstryknęłam palcami. – Robi to naturalnie.

Tym razem zmrużył oczy z niedowierzaniem. A może sądził, że mam nie po kolei w głowie?

– Widziałam na własne oczy, Teece. Myślę, że to jakiś efekt uboczny eksperymentów genetycznych. Prowadzono przecież badania na mieszkańcach Trójki.

Zagwizdał cicho.

– Jasna dupa...

Przez chwilę patrzyliśmy na dyskiolkę w zadumie.

– Dobra, gdzie się tak umorusałaś? – spytał w końcu.

Opowiedziałam mu o Gwynnie, Stellar i salonie tortur.

Zaśmiał się.

– Co cię tak śmieszy? – spytałam z czkawką.

– Ty! Jak to się dzieje, że zawsze się bawisz w brudnej piaskownicy?

Przysunął się i położył mi dłonie na ramionach, żeby rozmasować spięte, obolałe mięśnie.

Ciepło przyniosło im taką ulgę, że mimowolnie jęknęłam.

– Masz talent – mruknęłam. – Mmm... super...

Rozchylił ręcznik i pogłaskał mnie po brzuchu.

– Wiesz co, Parrish?

Było to pytanie z rodzaju tych, na które nie trzeba odpowiadać słowami. Może nawet wywietrzeje mi z głowy Loyl-me-Daac?

Jednakże natarczywe walenie w drzwi uwolniło mnie od podejmowania decyzji.

– Co tam!?! – zawołał ze złością Teece.

– Przepraszam – doleciał skruszony głos – ale to ważne.

– Idę!

Chwyciłam go za rękę.

– Zrobisz to dla mnie, Teece?

Prosiłam o nie byle co. Pewnie za dużo od niego wymagałam. Z drugiej strony, już samym swoim przyjściem naraziłam go na niebezpieczeństwo.

Wziął dyskiolkę i schował ją do kieszeni. W bladoniebieskich oczach malowała się tęsknota.

– Będziesz miała u mnie wielki dług – zastrzegł się. – I spłacisz go co do joty.

– Jasne. – Uśmiechnęłam się promiennie. Niezła ściema.

* * *

Kiedy wyszedł, przetrząsnęłam szafę, żeby znaleźć dla siebie jakieś ciuchy. Wpadła mi w

ręce przyduża koszulka z wyblakłym, trójwymiarowym zdjęciem Beach Boysów.

Przy wannie ubrałam bezrękawnik, a dopiero na to włożyłam koszulkę. Prawie zakryła mi tyłek. Spodni Teece'a nawet nie przymierzałam. Pod względem figury różniliśmy się diametralnie. Wydostałam ze skrytki płytę z programem do kasowania danych i wcisnęłam w buty napuchnięte stopy. Rany, nie wyglądało to dobrze. Nie wspominając o bólu.

Bez mizdrzenia się przed lustrem z grubsza wygładziłam włosy, zabrałam walizkę i wyruszyłam na poszukiwanie Teece'a. Siedział w pokoiku przed komem ze skwaszoną miną.

Twarz na ekranie wyrażała równie podły nastrój, lecz była o wiele straszniejsza. No kurna, zajeście! Loyl-me-Daac!

Cofnęłam się, żeby facet z komu nie dosięgnął mnie wzrokiem. Za późno. Daac spojrzął w moją stronę. Z jego oczu wyczytałam zaskoczenie, złość i coś jeszcze...

Stojąc na skraju pola zasięgu kamery, ponownie na niego popatrzyłam. Choć wyglądał na osłabionego, jak zwykle był stanowczy.

Skoncentrował się na Teesie.

– Tomas.

Tomas? Coś mi się tu nie zgadzało. Odkąd Teece miał na imię Tomas? I odkąd pogadywał sobie przez kom z Daakiem?

– Co jest, Loyl? – burknął Teece.

Loyl? Wstrzymałam oddech. Czego Loyl mógłby chcieć od Teece'a? Przewiercał go na wylot ognistym, fanatycznym spojrzeniem. Wzdrygnęłam się. Ten widok odpychał.

– Chciałem cię tylko ostrzec, Tomas – powiedział wyraźnie. – Klany wstąpiły na wojenną ścieżkę.

Mogłoby się wydawać, że z pokoju uszło powietrze. Teece pochylił się, jakby ktoś przywalił mu w brzuch, a mój świat z szumem i rykiem odleciał w inny wymiar.

Anioł, radość, tańce. Opalizujące skrzydła raz w kolorze błyszczącego złota, raz gorącej, krwistej czerwieni. Diabelskie, ekstatyczne wołania: Wojna! Wojna! Wojna!

Ocknęłam się chwilę potem w pozycji horyzontalnej. Teece przyglądał mi się z bliska, a głośniczki prychały cienkim głosikiem Loyla.

– Co z tobą? – stęknęłam, sparaliżowana strachem.

Teece podniósł mnie jak worek suszonej fasoli.

– To ja się pytam, co z tobą?!

Miewałam jakieś paskudne halucynacje. Goniło mnie pół świata. Facet, który mnie najbardziej kręcił i któremu najmniej ufałam, kumplował się z facetem, który mnie nie pociągał, ale któremu ufałam bezgranicznie. Powiedziałam więc sobie: basta!

Wyrwałam koszulę z palców Teece'a i zwiałam bez słowa.

* * *

Wałęsanie się półnago po Trójce może mieć przykre następstwa. Uzmysłowiłam sobie, że jeśli dłużej będę robić z siebie widowisko, wieść o moim powrocie migiem dotrze do Jamona.

Fakt, Stellar już dawno mogła go uprzedzić. Od pewnego czasu nie nazywałam jej w myślach pindą – ściślej, odkąd zobaczyłam, jak płacze nad dźwignią podnośnika.

Przehandlowałam koszulkę z Beach Boysami na podkoszulek i szerokie portasy, mając nadzieję, że naćpany slumsiarz nie przyplaci życiem tej wymiany gdzieś na plaży w Fishertown.

Już w mniej rzucających się w oko ciuchach minęłam z boku Shadoville, unikając okolic salonu tortur. Zastanawiałam się, co dalej. Chociaż pojadłam sobie u Teece'a, żołądek znowu domagał się posiłku, a przecież byłam całkowicie splukana.

Nawet się nie łudziłam, że uda mi się zakraść do skrytki w moim mieszkaniu. Gdybym wpadła na Jamona, pewnie nie byłby w nastroju do wybaczenia. Może chciałby otruć mnie tak samo, jak otruł Stellar, tylko że osobiście: nie podzieliłby się z nikim taką przyjemnością.

Jeśli chodzi o Langa, to zajmował czołowe miejsce na liście ludzi, którzy mieli u mnie przechlapane. Niech sobie gra, w co chce, mnie już nigdy nie wykiwa!

W tej sytuacji nie miałam dokąd iść. Do tej pory żyłam na dość niskim poziomie, lecz nigdy nie brakowało mi kąta do spania, nigdy nie głodowałam. Czułam się dość kaprawo.

Wśliznęłam się na tyły jakiejś mordowni, gdzie przycupnęłam między ujściem zsypu na śmieci a olbrzymią stalową kadzią z olejem spożywczym. Zakonotowałam sobie, żeby nigdy tu nie jeść. Nie wiadomo, kto po godzinach maczał łapy w oleju.

Stopniowo łączyłam w całość fakty. Lang wystawił mnie.

Ukartował to tak, żebym włamała się do mieszkania Razz Retribution i wpadła w sidła policji. Długo o tym myślałam i byłam już przekonana, że ta jego zdolność do zmiany rysów twarzy ma coś wspólnego z badaniami Anny Schaum. Chciał, żebym poszła siedzieć za morderstwo. Media zagięły na mnie parol.

Zbieg okoliczności? A może istniało jakieś wspólne ogniwo?

Młot i kowadło z dawnego powiedzenia to w porównaniu z tym żelowa poduszka i jedwabne prześcieradełko.

A co z imć panem Stolowskim, spisany pewnie na straty?

Znajomość z Loyl-me-Daakiem wpędziła go w poważne tarapaty. Było mi żal biedaka, bo został wystawiony do odstrzału, choć zawinił tylko tym, że znalazł się w dobrym miejscu w złym czasie. No i zaufał fanatykowi. Jego problemy wynikały ze znajomości z Loyl-me-Daakiem, samozwańczym mesjaszem i przystojniakiem nabitym feromonami.

Siedziałam więc w zasyfionym zaułku i walczyłam z rozterkami. Daac mówił o wojnie. Co miał na myśli, na wombata?

Czyja wojna? Dlaczego wojna? Ze słów Stellar wynikało, że Jamon też się na nią sposobi.

Pytania nawarstwiały się bez porównania szybciej niż odpowiedzi. Na domiar złego, chyba żeby tylko pogłębić chaos w mojej głowie, miałam zwidy. Objawy nieodparcie kojarzyły mi się z zapiskami Anny Schaum. W sumie bez sensu, przecież nie byłam jej królikiem doświadczalnym.

Tak czy owak, podobieństwa były uderzające. Strach pobudzał do drżenia całe ciało, jakby w brzuchu grała gruba, basowa struna. Krew huczała w skroniach, w ustach zbierała się ślina.

Wyrosła przede mną kolejna nieproszona wizja:

... zmasakrowane, zalane krwią ciała. Ciała leżące pokotem na chodniku, wiszące w oknach budynków. W ustach ciepła, słona substancja o metalicznym posmaku. Wpływa do gardła...

Potrząsnęłam głową, by odpędzić majaki. Ze zgrozą uświadomiłam sobie, że ugryzłam się w rękę i pijam własną krew.

Zakrztusiłam się i zwymiotowałam. Potem wstałam, uspokojona.

Znałam osobę, która mogła mi pomóc. Mei.

Ale Mei równa się Stolowski, a Stolowski – Daac. Daac z kolei to wewnętrzny dygot i wyjaśnienia, na które nie miałam ochoty.

Skąd się we mnie wzięło to tchórzostwo? Westchnęłam i starłam rzygi z czubka buta. Po co się zdręzczać Daakiem i tą jego obsesją, po co się zastanawiać, kiedy dziennikarski terro strzeli mi w plecy? Jeśli nie skończą mi się te halucynacje, pójdę ludziom na rękę i sama się zastrzelę.

Kurde, nie znoszę zatwardziałych szajbusów.

* * *

Wykombinowałam sobie, że Mei przebywa w jednym z dwóch miejsc: w moim dawnym mieszkaniu lub w klinice Daaca. A ponieważ powrót do domu byłby idiotyzmem z mojej strony – chyba że chciałabym się rzucić w objęcia Jamonowi – postanowiłam zacząć od kliniki.

Przejrzałam pamięć kompasu z dnia, kiedy Daac, stojąc ze mną na dachu, pokazywał mi Fishertown. Znałam już kierunek.

Jeśli wszystko pójdzie dobrze, jutro dotrę do celu.

Trójka jak zwykle drażniła swoimi wstrętnymi zapachami i dziwnymi hałasami. Kierowałam się na wschód. Normalnie zahaczyłabym o północną część Torleya, dziś jednak skręciłam na południowy wschód, by ominąć znajome miejsca.

Wędrując po Trójce, nie napotyka się urzędowo wytyczonych granic dzielnic, choć płaci się myto poborcom. Człowiek uczy się określania terytorium jak odróżniania strony lewej od prawej. Pomagają w tym pewne oczywiste znaki.

Muenowie mają zwyczaj przystrajać wszystko pstrokatymi ozdóbkami. Torley, jak całe północne pogranicze, wyróżnia się wyjątkowym nagromadzeniem barów i spelunek. Na Plastyku

spotyka się ofiary najbardziej ekstremalnych chirurgicznych doróbek. We wschodniej części, gdzie mieszkał Teece, koczują biedacy z Fishertown, którzy przynoszą ze sobą swój rybi odór.

Podróżując na południowy wschód od Torleya, ryzykowałam spotkaniami z najgorszym sortem świrów, którzy powoli migrowali na południe, dzięki czemu tworzyli strefę buforową przed Disem i czarnym sercem Trójki.

Na zdewastowanej bocznej drodze w kompleksie willowym poczułam nieprzyjemny dreszczyk, jakby ktoś mi się pilnie przyglądał z ukrycia. Powoli i ostentacyjnie odłamałam pękniętą deskę z prowizorycznej barykady, tak żeby zostały w niej gwoździe. Obserwator śledził mnie chwilę, ale nie ruszył się z miejsca.

Szkoda. Akurat byłam w nastroju, żeby komuś przyłożyć.

Pomimo to wolałam wpłynąć na uczęszczane szlaki. Późnym popołudniem nie czułam już, by mnie szpiegowano.

Pod wieczór przekroczyłam granicę Torleya, gdzie zaczęły się częściej pojawiać klockowate budynki z bogatą kolekcją bulwiastych kokonów i pająkowatych anten.

Zadekowałam się na dachu w pustym kokonie, w którym – często się budząc – przespałam noc. Nazajutrz rano poznawałam już budownictwo charakterystyczne dla domów w sąsiedztwie siedziby Daaca. Teraz musiałam jeszcze wytropić jego enklawę. Kiszki marsza mi grały, ale nauczyłam się ignorować głód. Bardziej doskwierał mi brak przyzwoitej wody. Ludzie tu przeważnie gaszą pragnienie w publicznych zbiornikach z deszczówką. Niektórzy posiadają własne beki. Czysta woda bieżąca w Trójce przeszła do historii.

Walczyłam ze zmęczeniem i chandrą. Jak zdobędę żywność, wodę i informacje, skoro jestem bez forsy?

Przekopałam walizkę i zaraz ją zamknęłam. Nie zamierzałam się z niczym rozstawać, nawet w zamian za wodę. W akcie rozpaczy przeszukałam kieszenie w spodniach od slumsiarza.

Pudło. Przejechałam palcem wzdłuż powydzieranych szwów.

Coś siedziało w podwiniętej nogawce. Pociągnęłam i wyrwałam haczyk wędkarski! Czego się więcej spodziewać po cholernym slumsiarzu?!

Prędko dopadłam najbliższego kramarza, który prowadził rodzinny stragan, w tym momencie otoczony zgrają bezdomnym szkrabów. Bez certolenia się zapytałam o cenę.

Roześmiał się szyderczo.

– Potrzebuję pieniędzy – nalegałam.

Przyjrzał mi się uważniej... aż mnie poznał, o czym świadczył błysk w oku.

– To ty ratowałaś to zabiedzone dziecko. Widziałem cię na LTA. Uganiam się za tobą popieprzony terro. Milicja też.

LTA, telewizja na żywo! Ze wstrzymanym oddechem zastanawiałam się, jak facet wykorzysta swoją wiedzę.

– Stara mi mówi, że ty jesteś święta. Masz. Nie tępiące się haki rzadko się trafiają. – Puszczając do mnie perskie oko, zaoferował garść kredytów za maleńki haczyk. Nie była to fortuna, ale na posiłek spokojnie powinno starczyć.

– Dzięki – powiedziałam. – Może się kiedyś odwdzięczę. Jak ci na imię?

– Flashette, ale nie rozgaduj o tym na lewo i prawo. Nie szarżuj za ostro, nie rzucaj się w oczy.

Jeszcze raz mu podziękowałam i bezzwłocznie odszukałam budkę.

– Proszę oznaczoną wodę i trzy quesadille. Wiesz może, gdzie znajdę szamankę Mei Sheong? – spytałam sprzedawczynię.

Ze zmarszczonym czołem pakowała quesadille.

– Pierwsze słyszę.

– A dealer Styro, taki typek z Plastyka? – spytałam po chwili zastanowienia. Pewnie kolega Daaca był tu powszechnie znany.

Wyłożyła na małą ladę jedzenie i wodę oczyszczoną.

– Wiem który to, ale najpierw pieniądze.

Zmierzyłam ją lodowatym wzrokiem i dałam jej forszę, którą schowała pod zatłuszczony fartuch. Jakby nigdy nic, mieszała długim widelcem kulki mielonego mięsa.

– Hej! – oburzyłam się. – A co ze Styrem? Gdzie go znajdę?

– Odwróć się. – Spojrzała na mnie przelotnie.

Odwróciłam się i zamarłam bez ruchu, nie zdążywszy ugryźć quesadilli. Styro opierał się o prowizoryczną palarnię cztery kroki dalej. Łaciatą skórę zastąpił gładką, oliwkową cerą, lecz buty wciąż nosił te same: różowe, sięgające do uda. Fryzurę wymodelował na kształt gotyckiego zamczyska z wałami obronnymi. Uśmiechnął się do mnie łobuzersko, jakby bawił go ten spektakl.

Rzecz na później: nauczyć manier Styra.

Pożerając quesadillę, podeszłam do niego spacerowym krokiem.

– Czego chcesz? – zapytał drwiąco.

Zawahałam się, sparaliżowana obawą, że gdzieś tu może się kręcić Daac. Ale zaraz przypomniałam sobie, przed czym ostrzegał Teece'a: klany wstąpiły na wojenną ścieżkę. Z pewnością mój czarny, wysoki i nabuzowany hormonami mister szykował się na wojenkę.

Wolałam się nie zastanawiać, co oznaczały jego butne słowa, bo na samo wspomnienie wybuchały mi przed oczami czarne plamy. Za Chiny nie chciałam odstawiać przed Styrem numeru z oddawaniem się halucynacjom w pozycji horyzontalnej.

– Fajowych butów – mruknęłam.

Patrzył na mnie podejrzliwie.

– Naprawdę – dodałam.

– Chyba nie szukałaś mnie, żeby podziwiać moje buty.

– Nie. Gdzie jest Mei Sheong?

Udając brak zainteresowania, Styro dłubał w paznokciach, ostrych jak sztylety.

– Czemu miałbym ci powiedzieć?

Przełknęłam ostatni kęs ostatniej quesadilli i chwyciłam go za falbaneczkę koszuli. Kołnierz zacisnął się jak pętla. Z bliska przekonałam się, że – jak przystało na porządnego dealera – nie jest naćpany.

– Czego od niej chcesz? – wysapał.

Dostrzegłam w jego wąskiej, zasepionej twarzy coś nowego, płomyček rozczenia. Chyba się w Mei podkochał. Od tej chwili nie przyduszałam go już tak mocno.

– Nie zrobię jej nic złego, Styro. Chcę się tylko poradzić.

Uniósł brwi na dźwięk ostatniego słowa.

– A jeśli nie zechce ci udzielać rad?

Przez chwilę myślałam.

– Nic mi nie jest winna. Jeśli nie ma dla mnie rady, zostawię ją i pójdę sobie. – Ze słodkim uśmiechem wygładziłam falbankowy kołnierz koszuli.

Kiwnął głową na znak zgody, ale chyba go nie przekonałam.

Umiejętność skutecznego postraszenia to prawdziwa sztuka.

Wcale nie trzeba być wielkoludem, choć gabaryty upraszczają sprawę. Przed wszystkim należy mówić z wewnętrznym przekonaniem. Pamiętam pewnego wyspiarza, którego spotkałam kilka miesięcy po przyjeździe do Trójki. Był to niewysoki, krępy człeczyna z dziecięcą buźką i małymi loczkami. Ludzie go szanowali albo unikali. „Może to zabrzmi głupio, Parrish – powiedział mi pewnego razu – ale ja się niczego nie boję. Serio. Popytaj klientów. Jeśli z kimś zadzieram, gość wie, że to nie przelewki”.

W tej chwili na niczym tak mi nie zależało, jak na pozbyciu się tych zwidów. Styro, który naszpikował mnie kiedyś środkami nasennymi, był dla mnie zwykłą pluskwą. Co pewnie wyczytał w moich oczach.

* * *

Szłam za nim wzdłuż szeregów identycznych zabudowań, które dawniej musiały być trudne do odróżnienia. Nadal wyglądają podobnie, z tym że teraz jednorodny wygląd zapewnia im mozaika przeróbek i kiczowatych elementów dekoracyjnych.

Dachy o lekkim spadzie, bez rynien, budowane z myślą o gwałtownych letnich ulewach, nadają się doskonale dla tysięcy kokonów sypialnianych. Choć gdzieś pod ich ciężarem zawaliły się całe połacie.

Uwidadcznia się tutaj wpływ kultury Muenów, mieszkających w Hałdowiskach. W szeroko otwartych bramach i oknach wiszą brudne, pstrokate kilimki, a tu i ówdzie wokół powyginanych schodowych poręczy bujnie pienia się ohydne, odporne na ołów pnącza z szarymi listkami. Czasem kryją się w tych gęstwinach psioszczury i inne, mniejsze krzyżówki.

Styro wprowadził mnie do budynku, który łączył się z sąsiadem zawitym przejściem. Wspinaliśmy się po schodach, aż zobaczyłam długi korytarz o dziwnie znajomym wyglądzie.

Zaglądając do pomieszczeń, poznawałam sale kliniki, w której kurował się Stolowski.

Zdawało się, że wieki minęły.

Przeszliśmy obok wielu sal, nim Styro zatrzymał się raptownie. Na korytarzu siedziało dwóch chudzielców zajętych kartami, a dokładniej grą w piętno. Zwyczajca wypala sobie znaki na nogach i rękach, co trochę przypomina obrzędy inicjacyjne.

Styro poprosił ich szeptem, żeby się odsunęli, i zapukał do drzwi. Wrócili do swoich kart, jakby żyli we własnym świecie.

Ale mnie nie nabrali.

Czekałam w mrocznym korytarzu, ciekawa, jak Styro załatwi tę sprawę.

Drzwi otworzył Stolowski z zamglonym wzrokiem i spłowiałymi włosami, rozczochranymi na podobieństwo ptasiego gniazda. Twarz też mu się zmieniła: zniknęły piegi. Dać z myślą o jego bezpieczeństwie musiał mu zafundować kompletny makijaż.

Widać było, że między nimi iskrzy. Nie tracili czasu na uprzejmości.

– Co? – burknął Stolowski.

– Jest Mei?

– No. A na co ci ona?

Styro zrobił się purpurowy.

Innym razem ubawiłaby mnie ta sytuacja, ale czas naglił.

Wyszłam z cienia tak, żeby mieć na oku strażników.

– Muszę zobaczyć się z Mei – powiedziałam.

– Parrish? – zdumiał się. – Myślałem, że...

– Cożeś sobie myślał, Stolowski? Że nie żyję? Że mnie przymknęli? Chyba nie łykasz wszystkiego, co mówią ludzie?

Prędko przełkną ślinę, jakby miał się lada chwila zakrztusić.

Potem otworzył szerzej drzwi, żebym weszła. Zatrzasnęłam je przed nosem Styra, zaryglowałam zamek i się rozejrzałam.

Nie wyglądało to na przytulne mieszkanie. Łóżko wysuwane z garderoby, okropnie złuszczone lustro (z prymitywnego szkła) oraz zlew zamiast sanitariatki. Zaskoczyła mnie jednak czystość. Pokój wypełniał zapach jaśminowych kadzidełek.

Mei, usadowiona w kucki na parapecie, majstrowała coś nad palnikiem i aluminiowym

rondelkiem. Tylko tak mała osóbką mogła się tam zmieścić. Ja nie miałabym szans.

– Mei – odezwał się niepewnie Stolowski. – Masz gościa.

– Parrish, proszę, proszę... – Nawet nie podniosła głowy.

Na pewno jeszcze się na mnie dąsała.

– Stolowski, weź się przewietrz – powiedziałam spokojnie.

Patrzył to na mnie, to na Mei, czekając na jej decyzję. Westchnęłam. Kobiety nie zawsze wiedzą, jakiego mają fuksa.

Mei zeskoczyła z parapetu jak egzotyczna kociczka, przysunęła się do Stolowskiego i potarła się o jego koszulę.

– Idź na spacer, kochanie.

Przytulił ją i posłusznie się wyniósł.

Kiedy drzwi się za nim zatrzasnęły, przyskoczyła do mnie z rękami na biodrach i stanęła w rozkroku. Miała w sobie dużo ikry jak na takiego mikrusa.

– Chcesz wiedzieć, skąd te halucynacje, co?

Rozdziawiłam usta, tak mnie zatkało.

– Skąd... ?

– To takie jakby opętanie – przerwała mi. – Wyczuwałam to już przedtem, ale nie byłam pewna. Dziś poczułam wyraźnie, nim weszłaś do pokoju.

– Takie jakby co? – Nie podobała mi się ta cała historia.

Przecież opętania zdarzają się tylko skończonym świrusom!

– To nie takie proste. Usiądź na podłodze – pouczyła mnie – i wypij to, jeśli chcesz się przekonać na sto procent.

Po chwili wahania zrobiłam, jak mi kazano. Nie ufałam jej, ale czy miałam inny wybór? Tak więc siedzieliśmy po turecku naprzeciwko siebie, gdy z podgrzanego rondelka, uciekając w bok językiem, spijałam gorzką nalewkę. Grzybki lub dziędzierzawa, gdybym miała zgadywać. Halucynogeny lekiem na halucynacje?

Kiedy przełknęłam resztkę napoju, ujęła moje dłonie, które wydawały się wielkie i szorstkie w porównaniu z jej ciepłymi, delikatnymi rączkami.

– Postaram się, choć niczego nie mogę obiecać. Przygotuj się, Parrish, na nieprzyjemne doznania – ostrzegła.

Wpatrywałam się w zimne, migdałowe oczy, zapominając o jej śmiesznych różowych lokach i wyniosłym zachowaniu.

– Czemu mi pomagasz, Mei? Potrzebujesz pieniędzy?

– Kto powiedział, że ci pomogę? – Wzruszyła ramionami. – Tak czy siak, to mój zawód. To samo zrobiłabym prawie dla każdego.

Jej szczerłość nie była dla mnie zbyt wielkim pocieszeniem.

– A teraz się skoncentruj – poleciła. – Pojadę tam z tobą na barana. Myśl o tym, czego ostatnio doświadczasz. Niech wizje wypełnią twój umysł. Bez obaw, siedzę ci na plecach. Cokolwiek się stanie, nie zrzucaj mnie, kapujesz? Resztę biorę na siebie.

Pokiwałam głową, przerażona perspektywą przywołania wizerunku anioła. Wspominałam już, że nie znoszę tego zakichanego voodoo?

Mei kiwała się i nuciła coś pod nosem niemelodyjnie.

Wykonała kilka złożonych ruchów rękami i woń jaśminu się nasiliła... co było ostatnią rzeczą zapamiętaną przeze mnie z „realnego” świata.

Obrazy kłuły mnie w oczy, napływały tak szybko, że traciłam oddech. Fragmenty miejsc i istot przetaczały się koło mnie i wpadały do leja. Wir miał taką siłę i tak strome brzegi, że z lękiem zwinęłam się w kłębek. Na darmo zamykałam oczy, i tak wszystko widziałam. Wspomnienia. Gniewne krzyki.

Kolory wciskały się zewsząd pod zaciśnięte powieki. Róże ustępowały brązom. Rozjarzone świetlówki na srebrnych i złotych łańcuszkach.

Łańcuszki opadały niżej, owijały mi się wokół rąk i nóg.

Zaciskały się i rozchodziły na boki. Rozkrzyżowywały mnie coraz bardziej. Rozrywały mnie na kawałki, aż mój wrzask zlał się z kolorami.

Cisza. Wrzaski ustały. Ciało z powrotem się skurczyło, na nowo narodzone. Anioł pluskał się leniwie, z lubością, w wartkim strumieniu krwi...

Usłyszałam sapanie nad uchem, czyjś gwałtowny oddech.

Szok. Był tu ze mną ktoś jeszcze.

– Mów do niego – odezwał się ów ktoś.

Chciałam sprawdzić, kto to taki, ale syknął ostrzegawczo:

– Jestem za mała, nie zobaczysz mnie! I nie odwracaj się tyle, bo to podejrzane.

Czułam się jak kretyńka, lecz posłuchałam rozkazu:

– Hej! – zawołałam.

Anioł wypłynął na powierzchnię i rozproszył chmurę kropel – niczym królewski ptak, który strzepuje wilgoć z piór. Podfrunął do mnie i wylądował z wdziękiem.

Usiłowałam patrzeć mu prosto w twarz, ale tak mnie bolały oczy, że musiałam zadowolić się obserwowaniem końców skrzydeł, z których długimi, gęstymi strużkami skapywała moja krew. Ogłuszyło mnie brutalne dudnienie setek bębnow. Z trudem oparłam się pokusie zasłonięcia rękami podrażnionych uszu.

Chociaż nie widziałam twarzy, miałam świadomość, że jest przerażająca. Przerażająca i piękna. Zachwycać się mogłam za to perfekcyjną rzeźbą odsłoniętego ciała. Ledwo łapałam oddech.

– Zajmij go jakoś! – syknął mi ktoś do ucha.

– Kim jesteś? – wybełkotałam. – Szatanem albo Mambą?

Wygiął skrzydła i roześmiał się wzgardliwie, aż mrówki przeszły mi po plecach. Zamiast piór zauważyłam stłoczoną, ruchomą masę informacji. Przesuwała się z szaleńczą prędkością. Słowa przeciekały do mojego umysłu, pomалу układały się w zrozumiałą treść – trochę jak głos, ale tylko trochę.

Mamba. Szatan. Imiona nic nie znaczą. Są dla nas tylko otoczką. Czekaliśmy długo na wyzwolenie.

Zaraz, zaraz, bo już mi się robił w głowie mętlik.

– Na co żeście czekali?

Wpatrywałam się w anielskie skrzydła, wyobrażając sobie, że podglądam historię, strzępy dziejów biblijnych i ludowych podań. Wyświetlały się imiona: Jezus, Thor, Zeus.

Zamieszkiwała we mnie przedziwna istota! Czy zawsze miałam ją w sobie?

– No rozmawiaj! – ponaglił mnie ów ktoś jeszcze. – Potrzebuję trochę czasu.

Czasu?

Anioł po raz kolejny nappełnił mój umysł słowami.

Pragniemy jedynie żywić się i rosnąć. Twoja rasa dostarcza nam wszystkich niezbędnych substancji pokarmowych. Tutaj nareszcie możemy swobodnie ewoluować.

– Ewoluuować?

Zagnieździł się tak głęboko w waszych organizmach, że skłonności do okrucieństwa, które odczuwacie, uważacie za swoje własne. A jednak nie zdołaliśmy się w pełni narodzić.

Pionierzy nie docenili siły ludzkiego układu odpornościowego.

Wpadliśmy w pułapkę i tak czekamy na odpowiednią porę. Teraz wystarczy rozlew krwi, żeby nastąpił nasz rozwój.

Czułam dziwne napięcie na karku. Swędząca skóra rozciągała się i falowała.

Jesteśmy istotami, dla których podstawowym składnikiem Życia jest adrenalina produkowana w ludzkim ciele. Żywimy się strachem i złością. Nie kierujemy się dobrem ani złem, po prostu żyjemy.

– To znaczy, że jesteście pasożytami?

A wy nazywalibyście siebie pasożytami? Weź pod uwagę to, co jest wam niezbędne do przetrwania. Spożywacie jedzenie, pijecie wodę. A gdyby wasze potrzeby niosły śmierć innej rasie?

Gdybyście ją doprowadzili na skraj wymarcia poprzez zwykłe zaspokajanie swoich potrzeb? Przestalibyście pić i jeść?

Próbowałam rozważyć tę kwestię na spokojnie, choć nie było łatwo.

– Może i nie. Ale co masz na myśli, mówiąc o spożywaniu? Prawda jest taka, że jeśli będziecie korzystać z nas bez umiaru, w końcu zużyjecie wszystkie zasoby. Wtedy sami

zginiecie.

Anioł zabrzączał w parodii śmiechu.

Nie zostaniecie unicestwieni. Przyuczmy wasze ciała do ciągłego strachu i gniewu. Niektórych, silniejszych, wybierzemy do nękania pozostałych i obdarzymy szczególnymi uzdolnieniami.

Szczególnymi uzdolnieniami? Co to znaczyło, u licha?

– Czemu wyglądasz jak anioł?

Siebie zapytaj, nie mnie. Będę taki, jakiego sobie wyobrazisz. Tak naprawdę, jeszcze mnie nie widziałaś.

– To jak się nazywacie?

Nasza starożytna nazwa raczej nic ci nie powie. Czasem mówiono o nas: Eskaalimi. Raduj się, nosicielu, bo wprowadzimy cię w wyższe stadium rozwoju. Upodobnisz się do nas.

– Ale co się zmieniło!? – krzyknęłam. – Co cię uwolniło?

– No, jestem gotowa – odezwał się ktoś inny nad moim uchem.

Gotowa na co?

Odejdź już! – rozkazał anioł.

Grunt pod moimi nogami zaczął się kołysać. Próbowałam utrzymać równowagę, kiwałam się to w lewo, to w prawo.

– Tylko mnie nie zrzucaj! Poczekaj jeszcze!

– Staram się... – wyszeptalam, zrozpaczona. – Lecz muszę wiedzieć... co się zmieniło...

Skóra na ramionach pękła, coś spod niej trysnęło. Ból ściał mnie z nóg, padłam na kolana, a jednak wysilałam wzrok, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Dostrzegłam frunącego ptaka; był zlepkiem energii, uformowanym na kształt kulika, z patykowatymi nogami i długą dziobem. Z wściekłym wrzaskiem energetyczny ptak wspinał się na olbrzymią postać anioła jak rzucony oszczep, aż minął szerokie bary i smukłą szyję. Przybrał postać strzały; rozcinała powietrze grotem nie mniej ostrym i zabójczym od sztychu miecza.

Oczy. Zamierzał przekłuć oczy aniołowi. Śledziłam jego lot, jak długo mogłam. Dopóki nie dotarł do szczęki. Dopóki ból pleców nie pozbawił mnie przytomności. Wrzask kulika odpłynął w dal...

* * *

Kiedy się ocknęłam, czułam potworne pieczenie na ramionach. Leżałam na brzuchu i ciężko dyszałam.

Ktoś chwycił mnie nad łokciem i natarczywie potrząsnął.

– Nie ruszaj mnie! – warknęłam.

– Parrish? – To był Stolowski. W jego głosie pobrzmiwał strach. – Parrish, co tu się wydarzyło? Mei źle się czuje.

Nie zważając na ból karku, obróciłam głowę na drugi bok. Pot spływał mi po kręgosłupie. Gigantycznym wysiłkiem woli powstrzymałam się od jęknięcia i oderwałam tułów od podłogi.

Mei leżała niedaleko mnie z szyją zgiętą pod śmiesznym kątem.

– Nie dotykaj jej, Stolowski, tylko skocz po lekarza. No już!

Pobiegł, potykając się o własne nogi.

Podczołgałam się do Mei, żeby sprawdzić tętno na nadgarstku. Słabe... aczkolwiek w moich żyłach krew huczała tak, że trudno było o porównanie. Nie wiem, co to za debilne monstrum nam się przywidziało, w każdym razie Mei próbowała wyciągnąć nas z tego.

Już po chwili z drugiej strony badał ją lekarz. Nad nami kręcili się zaniepokojeni Stolowski i Styro.

Lekarz spojrzał na mnie ze zdziwioną miną.

– Co jej się stało?

Pewnie bym wzruszyła ramionami, gdybym mogła nimi ruszyć. Musiało wystarczyć lekkie potrząśnięcie głową.

– To szamanka. Ona... to znaczy byliśmy w transie. Kiedy odzyskałam przytomność...

Wsunął jej pod głowę płaską poduszczkę. Napęlniła się powietrzem i przybrała najwygodniejszy kształt.

– Wygląda na to, że próbowałaś skrócić jej kark.

Nie ja!

– Ale żyje, prawda? – chciałam się upewnić.

– Jeszcze zipie – mruknął lekarz i zwrócił się do Stolowskiego: – Dawaj je.

Starannie wygładził prześcieradło na noszach. Irytowała mnie ta jego pedanteria. Lekarzom zawsze się zdaje, że czas działa na ich korzyść. W końcu dał znak Stolowskiemu, żeby pomógł mu dźwignąć nosze.

Gdy wynosili Mei, Stolowski poszarzał tak, że chyba cała krew mu z twarzy odpłynęła. Styro, który dreptał obok niego, nie wyglądał dużo lepiej.

Lekarz przed wyjściem zerknął przez ramię.

– Tobie też radzę przyjść – powiedział. – Zanim wykrwawisz się na śmierć – dorzucił od niechcienia.

Dopiero wtedy się pokapowałam, że to nie pot leje mi się po plecach, ale krew. Zbierała się na ziemi jak kałuża oleju.

Przyłożyłam rękę do szyi, żeby zatamować krwawienie.

Zrobiło mi się mdło i zakręciło w głowie. Pokusa położenia się była wręcz nie do

przewyciężenia. Wyciągnęłam się jak długa...

* * *

– Parrish!!! – otrzeźwił mnie zwierzęcy ryk.

Gdy spróbowałam przetrzeć oczy, oblepiłam je tylko lepka, krzepnącą krwią. Poczułam jej zapach. Brr...

Ktoś zaczął mnie dotykać od stóp do głów. Powinnam się wkurzyć na bezczelnego obmacywacza... lecz było mi całkiem dobrze. Ciepło.

Dłonie jakby upewniły się wreszcie, co trzymają, bo zostałam mocno chwycona za przód koszuli i postawiona na nogi.

Przez obklejone rzęsy spjrzałam na twarz wściekłego Daaca.

– Co tu się dzieje? – warknął.

Próbując się uwolnić, przy okazji uświadomiłam sobie, że ramiona bolą mnie dużo mniej niż przedtem.

– Czemu krzyczysz? – zapytałam, poruszona.

Potrząsnął mną tak, jakby tym sposobem chciał wydrzeć zeznania.

– Myślałem, że nie żyjesz.

Uśmiechnęłam się – mam nadzieję – kpiąco.

– Nic z tych rzeczy, odpoczywałam sobie.

Odsłonił zęby, chyba żeby mnie pożreć. Na szczęście puścił koszulę.

Osunęłam się z powrotem na kolana. Kucnął przy mnie bez słowa, podczas gdy ja wytarłam oczy i zebrałam myśli. Szczerze mówiąc, czułam się zaskakująco dobrze, co przypuszczalnie zawdzięczałam stworowi, który we mnie siedział. Starłam się nie wspominać tego, co się stało, jak koszmarnych wizji po najgorszym kopie.

– Co z Mei? – wychrypiałam.

Daac odwrócił się. W profilu zarys ust i nosa wydawał się perfekcyjny, mimo wyrazu złości.

– Nie wiadomo, czy się z tego wylize. Lekarz wpompował w nią wszystko, co się dało, ale ma złamany kark i leży w śpiączce. Aparatura rejestruje przedziwne sygnały nerwowe. Nikt tu jeszcze takich nie widział. Cholera, co wyście tu robili?

Skóra mi ścierpła na samą myśl, że jestem zdana wyłącznie na siebie, że Mei już mi nie pomoże. A jednak w pewnej kwestii miałam stuprocentową pewność...

– Musisz natychmiast porzucić swoje plany. – Złapałam go za rękaw. – Nie może wybuchnąć wojna. Nie może się przelać krew.

Odwrócił się do mnie prawie że z wrogością i rozłożył ręce.

– Za późno, Parrish, wojna już się zaczęła.

– O, nie!

– Co się z tobą dzieje! Na miłość boską, gadaj!

– Powiedziałbyś, że bredzę – odparłam wymijająco. – Poza tym, trochę ściemniasz.

Otworzył szeroko oczy, a ja przyrąbałam mu pytaniem:

– Na kim, do diabła, eksperymentujecie, co?

Wzdrygnął się, ale nie zamierzałam popuszczać.

– Wiem, że są skutki uboczne. Widziałam zapiski.

– A więc to ty! Tak twierdziła Anna, chociaż Ibis zaprzeczał.

Czyżby Ibis mnie krył?

– Spodziewasz się, że tak po prostu pogodzę się z rolą narzędzia? Że oddam ci twoje kochane zapasowe pliki i sobie pójdę? Lepiej mów, co jest grane! To moją dupę cały świat chce skopać.

Przez chwilę przechadzał się po pokoju, a potem odpowiedział powoli, jakby starannie dobierał słowa:

– Owszem, były pewne skutki uboczne. Doświadczenia potwierdziły zdumiewającą odporność ludzi na substancje trujące, jednak w grupie doświadczalnej byli tacy, u których zaczęły się objawiać niezwykle symptomy.

– W grupie doświadczalnej?

– Wybraliśmy ich na chybił trafił. Dostali hojną zapłatę.

– Jakie to są symptomy?

– Bóle głowy, halucynacje. Niektórzy twierdzą, że coś ich opętało. Nie wiemy, skąd to przekonanie. Bez finansowego wsparcia Lione, to znaczy Razz, badania stanęły w martwym punkcie.

Coś ich opętało? Super!

– Na dodatek ktoś wam ukradł wyniki badań.

Spochmurniał.

– Lang wysłał cię, żebyś zniszczyła pliki, ale nie rozumiem, z jakiego powodu. Co mu odbiło?

Przypomniało mi się spotkanie Jamona, Rода i Topaza.

Co wspólnie ustalili tamtego wieczoru? Kto komu zaprzedał duszę?

Zaczerpnęłam powietrza i odetchnęłam ciężko. Ilekroć dodawałam dwa do dwóch, wychodziło mi czterdzieści cztery.

Zaczynało mnie to już wpieniać.

ROZDZIAŁ 18

Wojna w Trójce, choć inna niż wszystkie, naprawdę była straszliwa. Ludzie woleli głodować, niż wychodzić na ulicę.

Ci, którzy jednak wychodzili, trzymali się w kupie, uzbrojeni w prymitywne narzędzia i nowoczesną broń, co razem wzięte tworzyło zabójczy melanz. Były pałki, były oszczepy, były bioładunki z trującymi substancjami.

Stałam w oknie w pokoju Loyl-me-Daaca, kiedy w wymarłej alejce zapadał zmrok. U wylotów niespokojni strażnicy pilnowali w grupach terenu.

– Jamon zaczął? – spytałam, nie odrywając wzroku od uliczki.

Siedział zakryty kapturem komu i mruczał coś po cichu.

Kątem oka uchwyciłam błysk, gdy zmienił obraz.

– Moment – mruknął.

Po rozmowie zerwał z głowy kaptur i zbliżył się do mnie.

Chociaż miałam głowę zaprzątą myślami, jego obecność przyprawiała mnie o dreszczyk. Ciekawe, czy się zastanawiał nad moją znajomością z Teece'em. I czy w ogóle go to obchodziło.

– Lśniesz czystością – szepnął mi do ucha.

Parsknęłam wymuszonym śmiechem. Po raz drugi w ciągu ostatnich trzech dni wykapałam się w męskiej łazience. Jeszcze mi to wejdzie w nawyk.

– Co, nie podobają ci się zalane krwią kobiety?

Prychnął, poirytowany, i odsunął się na bok.

Zerknęłam na niego z ukosa. Wystarczyło. Jego oczy znów błyszczały żarliwym, ewangelicznym zapalem, którego tak nie cierpiałam.

– Pierwszy chwycił za broń Jamon. – Rysy mu się ściągnęły. – Kiedy byłem w Vivie, zaczął organizować napady, systematycznie zabijał moich ludzi. Rytualne morderstwa.

– Ze złości rozwierał i zaciskał pięści. – Podrzynał im gardła, Parrish.

– Gardła? – powtórzyłam głupkowato.

– Co mieliśmy robić? Musimy się bronić przed nim i drugim takim jak on.

– Drugim takim jak on? Mówisz o Muenach i... ? – Coś mnie w brzuchu ścisnęło. – A Doll

Feast?

– Zależy, czy go poprze.

– To bezsensowna walka, Loyl! – Staralam się nie krzyczeć, lecz ponosiło mnie. – Skąd Jamon miałby wiedzieć, kto należy do twojego klanu, a kto nie? Sam powiedziałeś, że wymieszaliście się z innymi rodami, że nie tworzycie już jednolitej społeczności.

– Kłamałem – odpowiedział bez zmrużenia oka. – Dokładnie wiem, kim byli moi przodkowie. U mnie w rodzinie od wielu lat spisuje się historię rodów. Niestety, Jamon zdobył kopię.

– Ale to nie będzie zwykła wojna, tylko ludobójstwo. Zresztą, w każdej ginie masa ludzi!

Patrzył na mnie z zaciętą miną.

– Znamy swoją tożsamość i jesteśmy u siebie. Co byś zrobiła na moim miejscu? Dałabyś się zabić?

No to mnie zagiął. Tak, tylko że ja nie próbowałam rządzić ludźmi.

– Co ci przyjdzie z tej wojny? W żaden sposób nie wygrasz. Tyle lat pomagałaś w badaniach, żeby ratować ludzi. Teraz ich pozabijasz.

– To zawsze nade mną wisiało. Po prostu zdarzyło się wcześniej, niż myślałem. Liczę się ze stratami.

– Liczysz się? – fuknęłam. – Nie rozumiesz, że tu już nie chodzi tylko o Jamona? On zwoła następnych. Jeśli przyłączy się Lang, cały dotychczasowy porządek szlag trafi! Muenowie będą zabijać dla samego zabijania. Doll skorzysta z okazji, żeby przetrzebić szeregi Road Teddera. Powstanie chaos. Czy twój klan zabiega o chaos?

– Chaos... Tak, wiem o tym...

Trochę się pohamował w swoim ferworze, lecz jego zamiary wciąż były przejrzyste jak kranówka w Vivie. Pragnął tej wojny i żadne argumenty do niego nie trafiały.

Przysunął się bliżej.

– Należało podjąć kilka decyzji, Parrish. Może nie były najszcześniejsze, ale nie mogłem się uchylać. Mój klan chce widzieć we mnie przywódcę. Chaos to nic dobrego, zgoda, lecz nie potrwa długo. Człowiek zawsze dąży do ładu. I lubi mieć kogoś nad sobą.

Już to kiedyś przerabiałam: w rozmowie z Teece'em. On też mnie wtedy nie przekonał.

– Tak mówi każdy z obsesją na punkcie władzy.

Daac otoczył mnie ramionami. Chciałam się wyswobodzić... i nie zrobiłam tego.

– Czego się po mnie spodziewasz? – spytałam.

Swą naturalną dłoń trzymał milimetr od mojej skóry, a mimo to czułam jego dotyk.

– Coś nas łączy – powiedział.

Przyciągał mnie jak magnes, fakt, doświadczyłam tego już w pierwszej chwili, gdyśmy się zobaczyli w barze u Heina. Teoretycznie powinnam przestać się bronić, ulec mu. Zmusiłam się

jednak do myślenia.

– Skąd znasz Teece'a?

– On też należy do mojego klanu. Potrzebuję go, bo zna ludzi w Fishertown. Jeśli mi pomogą, okrążymy Jamona ze wszystkich stron.

– A więc się przydaje?

– Tak.

Serce we mnie zamarło. Teece miał dyskietkę Razz. Opowiedział już o niej Loylowi? Może zaufałam niewłaściwej osobie?

– A ja? Jestem ci do czegoś przydatna?

Chwycił mnie mocniej.

– Przydatna? To określenie nie pasuje do ciebie, Parrish. Prędzej już nieprzewidywalna, uparta. Kiedy zobaczyłem cię z Tomaszem...

Nagle przywarł ustami do moich ust. Biernie przyjąłem jego pocałunek, bojąc się choćby odetchnąć.

Z tyłu doleciał nagły sygnał komu.

– Czekaj tu na mnie, dopóki to się nie skończy – poprosił szeptem. – Jeszcze pogadamy.

Patrzyłam, jak siada pod kapturem, skoncentrowany już tylko i wyłącznie na walce. Prosił mnie o czas! Czasu akurat nie miałam na zbyciu. Musiałam borykać się z własnymi problemami, wyjaśnić parę zagadek, wyrównać rachunki. Moja... fascynacja Loyl-me-Daakiem niczego nie zmieniała.

Niebawem do drzwi zaczęły pukać podejrzane indywidua. Przyszedł również Stolowski, trzymając bojaźliwie remingtona, jakby pistolet mógł go pogryźć. Daac wciągnął go do środka.

– Zostaniesz z Parrish. W tym budynku nic wam nie grozi... chyba że – zażartował – milicji strzeli do głowy potraktować go atomówką.

Nikomu nie było do śmiechu.

– Czemu mieliby to robić? – spytał Stolowski.

– Może ci Parrish wyjaśni – mruknął Daac. – W okolicy aż się roi od szpiegusów. Muszę wyjść na chwilę. Zostań tu z nią, wszystko będzie dobrze. – Otworzył drzwi i zmierzył mnie tym swoim dziwnym spojrzeniem. – Poczekaś tu, prawda?

Nim sformułowałam odpowiedź, dołączył do korowodu cieni na korytarzu.

Stolowski odprowadził go wzrokiem i zamknął drzwi.

– Co z nią? – zapytałam.

– Dalej w sypialni. Lekarz nie ma czasu jej doglądać. Zaczyna przybywać rannych.

Zadrżałam.

– Czy coś w ogóle powiedziała? Chociaż jedno słowo?

Pokręcił głową. Łzy zakręciły mu się w oczach i spłynęły na twarz.

– Co ty jej zrobiłaś, Parrish? Co się stało?

Bezradnie wzruszyłam ramionami.

– Trudno mi to wyjaśnić. Miałam te, no, halucynacje. Było ze mną coraz gorzej, więc przyszedłam, żeby z nią porozmawiać. Powiedziała, że się wszystkiego domyśla. Że je wyczuwa. No i był jeszcze ten cały... anioł, ale nie taki prawdziwy. Stwór zbudowany z samych informacji. Zagnieżdżony we mnie jak wirus. On marzy o wojnie. Chce się nami posłużyć, żeby urosnąć i ewoluować. Mei... zamieniła się w ptaka i pofrunęła do anioła, żeby wydziobać mu oczy. Nic więcej nie pamiętam. – Na tym skończyłam te męczące wyjaśnienia, które na pewno brzmiały głupio. Czekałam na jego zakłopotaną minę. Gdyby ktoś mi wciskał takie kity, poczęstowałabym go ołowiem i bez skrępułów zatopiła w rzece Filder.

Debilizm do kwadratu!

Tymczasem Stolowski wolno kiwał głową, jakby to wszystko do niego docierało.

– Mei ciągle mówiła, że dzieje się coś dziwnego. Że dojdzie do wielkich wydarzeń. Podobno czuła zmiany w przepływie energii. Nie tylko ona, inni też.

– A więc nie myślisz, że świruję?

Obdarzył mnie nieporadnym uśmiechem.

– Pewnie, że świrujesz, ale nie w tej sprawie. Wiesz, boję się.

Podeszłam do niego.

– Ja też. Gdzie mogłabym się spotkać z innymi szamanami?

Podrapał się po głowie. Bładymi, spoconymi palcami przeczesał płowożółtą czuprynę.

– Nie powinienem ci tego mówić, ale uważam, że jestem ci coś winny. Poszukaj Vayu, znajdziesz ją gdzieś na Torleyu.

Siląc się na ciepły uśmiech, ścisnęłam go za ramię.

– Uważaj na siebie – powiedziałam.

Otworzył drzwi i podał mi remingtona. Wzięłam spluwę i wyszłam z pokoju.

* * *

W kryjówce Daaca nikt się za mną nie oglądał. Szybkim krokiem przemierzyłam korytarz i zesłam na dół. Za pierwszymi drzwiami wyjściowymi zobaczyłam uzbrojonych po zęby strażników i tłumek gorliwych bojowników. Jedna wielka rodzina, pomyślałam.

Ciekawe, czy Minoj zaszył się gdzieś ze swoim arsenałem?

Komu dostarczał uzbrojenie? Pewnie wszystkim. Zarabiał niezłą kasę na zabijaniu.

Myśląc o nim, przypomniałam sobie Teece'a. Daac wciągnął go do tej wojny. Jak bardzo? Czy na tyle, żeby mnie zdradził? Nie...

* * *

Czmychnęłam z powrotem na schody i sprawdziłam inne wyjścia. Wszędzie to samo. Westchnęłam. Cóż, został strych.

Wskoczyłam znowu na schody i na ostatnim piętrze wybrałam pierwsze lepsze pomieszczenie. Przekręciłam klamkę i wśliznęłam się do środka. Nie trzeba było mieć nadzwyczajnej wyobraźni, by przewidzieć, że mieszkańcy są na dole, gdzie bawią się w żołnierzyków.

Zgodnie z planem architektonicznym w Trójce wszystkie mieszkania na szczytowych piętrach mają wyłaz sufitowy. Nie inaczej było w tym przypadku, chociaż z tego wyłazu od dawna nikt nie korzystał. Znając Daaca, pewnie założył pułapki na całej powierzchni dachu. Ja bym się nie szczypała.

Przyciągnęłam sobie skrzynię, stanęłam na niej i uniosłam klapę dosłownie o milimetry. Zamrugało do mnie jakieś ustrojstwo. Wspomnienie Gwynna przemknęło mi przed oczami.

Jeśli coś mi tu odstrzeli ręce, będziemy razem tworzyć zgraną parę. Wymięklam i opuściłam klapę.

Do licha ciężkiego, co ja robiłam? Wyruszałam na poszukiwania szamana mieszkającego w tej samej dzielnicy co człowiek, którym najbardziej pogardzałam, którego za wszelką cenę chciałam zabić... i za wszelką cenę uniknąć. Jakby tego było mało, toczyła się wojna gangów!

A może lepiej zakonspirować się tu i zobaczyć, co się stanie?

Potem zaś, kiedy wygasną walki, zgłosić się do doktora od czubków, który pomoże mi wyleczyć się z halucynacji. Tutaj przynajmniej nie dopadnie mnie milicja ani reporterzy.

Tylko czy na pewno? I czy Daac rzeczywiście żartował z tą atomówką?

Pod wpływem impulsu zeskoczyłam ze skrzyni i zaczęłam grzebać w komie. Błyskawicznie wyszukałam serwis informacyjny.

Na czoło wybijały się – robione przez szpiegusa – zdjęcia panoramy Trójki. Wszystkie możliwe ujęcia. Komentatorzy potwierdzali pogłoski o wojnie gangów. Nadęci socjologowie dyskutowali o ewentualnych konsekwencjach dla mieszkańców Vivy. Bla, bla, bla...

Pod koniec reportażu kopara opadła mi do samej ziemi...

– Odpowiedzialnością za zamieszki należy obarczyć rywalizujące ze sobą gangi w Sektorze Trzecim. Władzę próbuje przejąć ugrupowanie ekstremistyczne, które głosi swoją wyższość rasową. Bojówkami prawdopodobnie dowodzi Parrish Plessis, kobieta poszukiwana w związku z morderstwem dziennikarki Razz Retribution. Po dokonaniu, w iście filmowym stylu, włamania na wyspie M'Grey, wróciła do Sektora Trzeciego, żeby kierować działalnością gangu. Za informacje prowadzące...

Od słuchania tych przekreślonych faktów mózg mi się lasował. O to chodziło Daacowi, kiedy

mówił, że milicja nas zbombarduje?

Gapiałam się na ekran i niczego już nie słyszałam. Bo nie chciałam.

Jak do tego doszło? Jak to się mogło tak pochrzanić? Im bardziej starałam się decydować sama o swoim życiu, tym częściej wymykało mi się spod kontroli. Nie wiedziałam już, czy mam się śmiać, czy ryczeć, czy schować głowę w piasek.

Pewnie wszystko po trochu. Tylko że przez to „wszystko po trochu” gównem bym zdziałała!

Dałam sobie w myślach klapsiora i schowałam pod pachę remingtona. Potem podeszłam do okna i zaczęłam zdejmować siateczkę. W tych budynkach-klocach nietrudno wdrapać się na dach. Z myślą o letnich ulewach nie montuje się rynien i daje krótkie okapy. Martwiłam się głównie o to, że kiedy będę wisiała na zewnątrz, ktoś strzeli mi w plecy.

Wdrapując się na górę, lada chwila spodziewałam się poczuć przeszywający ból między łopatkami.

Upiekło mi się. Może uratował mnie zapadający zmierzch, a może na dole działy się ciekawsze rzeczy.

Pełznąć po lekkim nachyleniu, ostrożnie lawirowałam między czaszami anten. Nagle, kiedy przechodziłam koło dwóch kokonów, ktoś złapał mnie za kostkę i prawie przewrócił.

Drugim obcasem z całej siły przydeptałam delikwenta, po czym wetknęłam do wąskiego otworu lufę remingtona. Wewnątrz rozlegało się buczenie komu.

– Puszczaj, albo tak ci przysolę, że zlecisz z dachu! – warknęłam, przekrzykując hałas.

Ktokolwiek to był, wziął sobie do serca przestrozę.

Czym prędzej wyszłam na szczyt, żeby się rozejrzeć.

Morze dachów nie zmieniło się ani trochę od czasu, kiedyśmy tu stali, ja i Daac. Żadne znaki nie świadczyły o rozruchach w dole, jeśli nie liczyć burych plam – chyba stad psioszczurów, które trzymały się z dala od kłopotów – i pszczelego brzęczenia szpiegusów.

Pas morza na wschodzie był tam, gdzie powinien, to samo mętne błysk rzeki Filder na zachodzie. Tylko ja błędziłam.

Sprawdziłam kompas i obrałam kierunek północno-wschodni, prowadzący na Torley. Pozostało mi więc nie dać się zabić po drodze. Zbliżyłam się do drugiej krawędzi dachu i baletowym krokiem przedostałam się po linowym mostku na sąsiedni budynek. Stamtąd – korzystając ze sznura, którym posługiwali się mieszkańcy dachu – zesłam na ziemię. Tyle wysiłku, a oddaliłam się od niebezpieczeństwa ledwie o trzydzieści metrów. Ale i tak się cieszyłam, że nikt mnie nie zaczepia.

Na ulicy panował nienormalny spokój. Ciszę przerywały odległe strzały z broni palnej i warkot silników.

Wieczór był parny. Nadciągała zwykła o tej porze roku burza (chmur prawie nie widziałam z dołu) i ciężkie powietrze leżało na mnie jak ciasny, mokrawy sweter. Brakowało mi zapachów

gotowanego jedzenia. Ludzie, zdawaloby się, bali się jeść, żeby przypadkiem ktoś nie wykorzystał tej chwili nieuwagi, gdy przestają myśleć o wojnie, i nie sprzątnął ich z tego świata.

* * *

Przemykałam od kąta do kąta, przypominając sobie, z jaką łatwością Bras poruszała się po ciemku. Żałowałam, że nie ma jej przy mnie. Oczywiście, myślałam tu o sobie. Bo jej z pewnością było o niebo lepiej z rodziną króla Bana.

Pod osłoną mroku każdy mógł się czaić z wrogimi zamiarami... lub samemu paść ofiarą. Kilka razy w czasie tej długiej nocy stawałam oko w oko z grupkami nieznajomych, którzy oświetlali sobie drogę pochodniami, latarkami lub pałeczkami świetlnymi. Nie mieli na sobie żadnych barw, żadnych znaków rozpoznawczych.

Tak samo jak ja, co niejedyn raz mnie uratowało. Na froncie, gdzie linie przeciwnika nie są wyraźnie określone, chwila wahania może się okazać zbawienna. Kilkakrotnie słyszałam ostrożne, szeptane zapytania: Z kim ona trzyma? Jest z nami?

Czasem poznawałam, po której stronie walczą; wstawiałam wtedy jakiś bajer. A czasami wykorzystywałam niezdecydowanie napastników i znikałam w ciemnościach.

Parę razy zdarzyło mi się skręcić w ślepią uliczkę, gdzie przejście tarasowały byle jak sklecone rusztowania, łączące sąsiednie budynki. W pewnej alejce natknęłam się na czterech młodych gangsterów, którzy znęcali się nad ofiarą. Jeden z nich nucił coś sobie z nożem w rękę. Drugi w tym czasie zajmował się gwałceniem. A wszystko w blasku reflektora: w górze krążył dziennikarski helikopter.

Nawet się nie zastanawiałam. Gwałciciel zaliczył takiego kopa w potylicę, że stracił przytomność, nim zarył pyskiem w chodnik. Śpiewaka postrzeliłam w udo. Pozostała dwójka uciekła, wlokąc za sobą rannych kompanów.

Kiedy pomogłam wstać kobiecie, szpiegus uniósł się i skręcił, by odlecieć. Posłałam mu kulkę, lecz był to gest bez znaczenia.

Kobieta miała już ładnych parę latek na karku – byłaby mniej więcej w wieku mojej babki, gdyby ta jeszcze żyła.

– Jak ci na imię, dziewczynko? – Przytuliła mnie z niewysłowioną wdzięcznością.

– Parrish. Wie pani, kim byli?

Łzy płynęły jej po policzkach. Skinęła głową, jakby nie umiała znaleźć odpowiednich słów.

– Chłopaki z sąsiedztwa – powiedziała po chwili. – Znam się z ich rodzicami. Chcieli mi zabrać jedzenie.

Jej głośny szloch zmroził mi krew w żyłach.

– Te burdy wyzwalają w nich bestie – rzekła. – Ale o co im właściwie chodzi? Nie wiem, po

co to wszystko.

Zaprowadziłam ją na drugą stronę alejki, pod drzwi zabite deskami. Mieszkańcy na pewno wiedzieli, co się dzieje, lecz trzęśli się ze strachu.

– Otwierać! – krzyknęłam. – Ta kobieta potrzebuje pomocy i schronienia.

W końcu światło zapaliło się w oknie i ktoś nieznacznie uchylił drzwi.

– Proszę, zaopiekujcie się nią. – Przekazałam kobiecie dziewczynie z ogoloną głową i tatuażami na twarzy. Była w moim wieku.

– Odważna jesteś – przyznała. – Pomogłabym ci, ale mam dzieci...

Po prostu przytaknęłam. Rozumiałam jej punkt widzenia.

– Wszędzie wężą szpiegusy z kamerami – dodała. – Straszne to.

– Nie wychodź na ulicę. – Nie miałam z nią o czym gadać, więc odeszłam.

* * *

Burdy wyzwalają w nich bestie. Te słowa zapadły mi w pamięć i nie dawały spokoju – może za sprawą pewnego podskórnego, krępującego uczucia, które najchętniej bym z siebie wyrzuciła. Bo w głębi duszy podniecał mnie widok krwi, przemocy i zezwierzecenia.

Jakby dwie osoby oblekły się w jedną skórę. Za mało miejsca dla dwóch, pomyślałam z drżeniem. Ktoś z nas będzie musiał się wyprowadzić.

Było już dobrze po północy, kiedy zauważyłam, że kontury budynków się zmieniają. A zatem dotarłam na Torley.

Chociaż skradałam się możliwie cicho, szybko otoczyła mnie banda nieprzyjaznych typków, machających pałeczkami świetlnymi. Przekręciłam remingtona, żeby wisiał bardziej z przodu, pod ręką. Jeden magazynek wystarczyłby do położenia trapem paru z nich, lecz po lśnieniu stali i migotaniu diod zorientowałam się, że dysponują porządnym sprzętem.

Zbliżyła się do mnie niemila, tęga baba z półautomatem.

Pomachała mi pałeczką przez nosem i zmrużyła oczy.

– No proszę, kogo my tu mamy!

Postanowiłam negocjować, więc zdjęłam palec ze spustu.

– Nikogo. Pilnuję swoich spraw.

Wpatrywała się we mnie przenikliwie.

– Czy ja już cię gdzieś nie widziałam? – Cofnęła się i pogadała ze stojącym obok facetem. – Należysz do Monda. – Ponownie zbliżyła się do mnie i uśmiechnęła, choć nie była to noc zachęcająca do uśmiechu. – Zdaje się, że mogłabyś być coś warta.

– To źle ci się zdaje.

– Słyszałam, że wyznaczył za ciebie nagrodę.

– To źle słyszałaś.

Z przodu ruszyło na mnie trzech osobników. Prosta sprawa. Chwyciłam pistolet, a ten odpowiedział słodkim terkotem, gdy kosiłam frajerów po nogach. Trudno jednak wszystko przewidzieć, jeśli dokoła w półmroku pełno wrogów. Kiedy odwróciłam się, żeby nikt nie skoczył mi na plecy, rzucono się na mnie ze wszystkich stron naraz. Nim się spostrzegłam, całowałam ziemię.

Co najmniej dziesięciu. I cholera wie, ilu kryje się w cieniu.

Babsko z półautomatem wcisnęło mi lufę w szyję i splunęło w twarz. Charki spłynęły aż za kołnierz koszuli. Starłabym je, gdyby nie wiązano mi rąk na plecach. Żeby nie mieć śliny w oku, przejechałam policzkiem po ziemi.

Przeciągnęli mnie po chodniku i położyli pod starym hydrantem. Obłeśne łapska rozerwały bezrękawnik. Zewsząd rykoszetem trafiały mnie wesołe gwizdy.

– Rozebrać ją! – rozkazała baba.

A więc teraz robili to ze mną. To samo co widziałam niedawno z innej perspektywy. Wstęp do gwałtu, może nawet morderstwa. Bałam się, że skończę jeszcze gorzej: przecież mogli mnie odstawić Jamonowi dla nagrody.

O, nie! Kiedy próbowali mi przywiązać stopy do rąk, wierzgnęłam nogami, szarpnęłam się i potoczyłam w bok.

Bydlaki przewrócili mnie z powrotem na plecy, ale nóg nie umieli powstrzymać. Jednego walnęłam w szczękę na tyle mocno – oby! – żeby strzaskać mu kości. Rycząc, kopałam na lewo i prawo.

Aż w końcu babsko wskoczyło mi na pierś i kazało reszcie przytrzymać mi nogi. Załatwili mnie.

Leżałam nieruchomo, wiedząc, że kobieta czeka, aż ją sprowokuję. Nachyliła się nisko nade mną.

– Tylko spróbuj podskoczyć, a rozwalę ci mordę! – mruknęła ochryple.

Miałam wrażenie, że w półmroku wzrok płata mi figle.

Jej policzek wydawał się zdeformowany, zryty ruchomymi bruzdami.

– Proszę bardzo – odpowiedziałam. – Wolę to, niż czuć na sobie twoje ścierwo.

Oczywiście, kłamałam. Nie chciałam skończyć na ulicy z dziurą w głowie. Nie chciałam umierać. Chciałam ją zabić. O tak, zabić! Ta myśl narodziła się we mnie czysta jak kryształ.

W uszach mi dudniło, głowę rozpieierało nieznośne ciśnienie.

Bałam się, że zaraz i tak umrę. Wyrwał się ze mnie przeciągły ryk – dźwięk, jakiego nie znało moje gardło. Grzmiący, straszliwy okrzyk bojowy. A jednak to ja tak ryczałam. Ciśnienie stale rosło, skóra groziła rozerwaniem. Przed oczami miałam rzekę czerwieni.

Eksplodowałam z hukiem. Przynajmniej tak mi się wydawało.

* * *

Minęło trochę czasu. Błąkałam się w kółko, oszołomiona, z rozwiązanymi rękami. Gdzie spojrzeć, leżeli zabici. Niektóre postacie wycofywały się, przerażone. Dotknęłam trupa. Jeszcze ciepły. Poparzony. Echa okrzyku wojennego, które rozbrzmiewały mi w głowie, zostały zagłuszone przez inne dźwięki. Zgiełk walki. Młode głosy. Wyrostki z prymitywną bronią kończyły krwawe zniwo. Padały nowe trupy. Poniewierały się dokoła jak ochłapy z rzeźni.

– Oja?

Zobaczyłam dziecięcą twarz. Brudną, zdziczałą i pełną nadziei.

– Oja, będziemy dla ciebie walczyć.

Zwilżyłam usta i z niemałym wysiłkiem wypowiedziałam dwa słowa:

– Dla mnie?

Nadchodzili następni. Zebrała się już spora grupa.

– My wszystko widzieliśmy, Oja.

Pokręciłam głową, skonsternowana.

Wstawał ranek. Dwaj wysocy, chudzi chłopcy chwycili mnie pod pachy i pomogli mi wstać. Jeden był ślepy, drugi szczerzył zęby w uśmiechu.

Odchodząc chwiejnym krokiem, tylko raz się obejrzałam.

* * *

Starczyło coś do picia i garść kruszących się kawałków pro-substa, żebym odzyskała jasność myślenia. Dzieciaki zaprowadziły mnie na strych zabezpieczony takimi samymi czujnikami ruchu, jakie miałam u siebie.

Siedzieli wokół mnie na belkach lub, niczym małpki, kołysali się na krokwiach. Patrzyli i słuchali. Ciekawe, czy Jamon o nich wiedział?

– Czemu mi pomogliście?

– Muenowie dają nam jeść dzięki tobie, Oja. Muenowie ciągle o tobie mówią. Palą świece dla ciebie.

Pas! A więc dotrzymał słowa.

– Co tam się działo, kiedy mnie znaleźliście? – zwróciłam się do jednego z wyrostków. – Coście widzieli?

Zmieszał się.

– Widzieliśmy ciebie, Oja. Spaliłaś ich, bo chcieli ci zrobić krzywdę. Jesteś straszna.

Wszyscy zaczęli klaskać i krzyczeć radośnie.

Chłopak utwierdził mnie w moich obawach. To ja narozrabiałam. To ja zabiłam co najmniej dwudziestu ludzi za pomocą dziwnego wyładowania elektrycznego. Spalili się żywcem.

Ciarki mi przeszły po skórze.

– Jesteś pewny?

Pokiwał głową, aż mu się długie włosy rozsypały na twarzy.

– Najpierw na tobie siedzieli. A potem... pssss! – Naśladował odgłos smażącego się jedzenia.

Wtem rozległ się wybuch i owiały nas kłęby dymu. Zatrzeszczały krokwie.

Na strychu zaległa głucha cisza. Wysoki chłopak popatrzył na mnie z troską w oczach.

– Uratujesz nas, Oja?

ROZDZIAŁ 19

Za dużo ich, stanowczo za dużo. Tylko jak się teraz wycofać? Nie dość, że sama musiałam wygrzebać się z tarapatów, to jeszcze byłam odpowiedzialna za los innych.

Skupiłam myśli.

– Znasz szamankę o imieniu Vayu?

Wyrostek się zadumał.

– Skąd jest?

– Stąd, z Torleya.

– Dowiemy się. Maluchy będą wiedzieć. – Pstryknął palcami, a kiedy podpełzła do niego błada dziewczynka o śnieżnobiałych włosach, dodał: – Tina pójdzie spytać.

Dziewczynka uśmiechnęła się bojaźliwie, jakby narażała się na śmierć wesołą miną.

Próbowałam odwzajemnić uśmiech, lecz moje usta cierpiały chyba na stężenie pośmiertne.

– Dziękuję. Jak się wam odpłacę?

Wyrostek potrząsnął grzywą i wskazał na nierówną półkę, przymocowaną do dachu. Strzegły jej z dwóch stron dziewczynki uzbrojone w małe, ostre włócznie. Półka ugięła się pod ciężarem czerstwego chleba i suszonego mięsa.

– Już nam zapłaciłaś. O wiele więcej niż trzeba.

– Macie to od Muenów?

– Tak, chociaż przez tę wojnę niedługo sami zaczną głodować. Pomagają nam, ale sami muszą czymś napęścić brzuchy.

– Powiedzcie Pasowi, że rozmawiałam z wami. Powiedzcie, że choćby nie wiem co, musi wam dawać jedzenie.

– Nie uwierzy mi.

– Wtedy ja z nim pogadam.

– Dzięki, Oja, wielkie dzięki – rzekł, rozpromieniony.

* * *

Resztę dnia i noc przespałam, nie zwracając większej uwagi na osoby ściśnięte wokół mnie. Obudziwszy się w mętym świetle wczesnego poranka, zauważyłam małą dziewczynkę – miała trzy, może cztery lata – ssącą palec i trzymającą się mojej koszuli. Kiedy się od niej odsuwałam, niemal wpadłam na zabiedzonego chłopca, który bez ustanku się wiercił na twardej, niewygodnej podłodze.

Dzieci rozrzucone po wszystkich kątach pojękiwały przez sen, chlipały i cicho krzyczały ze strachu. Poruszyło mnie to do głębi.

Stąpając ostrożnie po belkach między śpiącymi dzieciakami, zbliżałam się do wyjścia.

Obok klapy siedziała Tina. Gryzła twarde chleb, popijała wodę z bidonu i czekała na mnie. Na jej szarej twarzyczce odbijały się ślady zmęczenia i niepokoju.

Kucnęłam przy niej.

– Hej, Tina...

Odłamała kawałek chleba.

– To co, idziemy do Vayu?

Zawahałam się: z jednej strony, przyrzekłam coś tym biedaczynom, z drugiej, pragnęłam się spotkać z kimś, kto uwolni mnie wreszcie od omamów. Jednak w chwili gdy po obudzeniu się zobaczyłam dzieciaki, ufnie stłoczone wokół mnie, przestałam mieć wątpliwości.

– Najpierw pogadam z Pasem.

* * *

Chociaż Tina wydawała się nieśmiała, prowadziła mnie ulicami Trójki z dużą pewnością siebie. Swoim wrodzonym zmysłem orientacji przypominała mi Bras.

Na ulicach za dnia panował względny spokój, lecz zachowały się ślady po nocnych ekscesach: wysychające plamy krwi, splądrowane rudery, poćwiartowane maluchy. Tina grzebała w szczątkach, szukając znajomych twarzy, i skrapiała je wodą z trzymanego kurczowo dzbanuszka.

– Święcona woda? – spytałam, zaciekawiona.

– Nie, kwas. Żeby nikt nie zjadł oczu.

Wzdrygnęłam się, poruszona jej rzeczowym tonem.

– Jak to się stało, że jesteś sama, Tina?

Wbiła we mnie twarde spojrzenie podkrążonych oczu.

– A ty?

* * *

Kierowałyśmy się na południe, prawie w tę samą stronę, skąd przyszedłam. Zamiast zagłębiać się na terytorium Muenów, wolałabym iść na wschód, do centrum Shadoville. Trzymałyśmy się uczęszczanych ulic. Na otwartej przestrzeni było niebezpiecznie, to fakt, ale w ciemnych, bocznych zaułkach znacznie gorzej.

– Masz jakąś broń? – spytałam szeptem, czując na sobie wścibski wzrok przechodniów. Remington, wyratowany i oddany mi przez dzieciaki, dawał marną nadzieję.

Pokazała mi maleńki woreczek zawieszony nad biodrem.

– Rastawirus – odpowiedziała równie cicho. – Zabija w promieniu stu metrów. Jego... ee... siła działania później słabnie. – Martwiła ją chyba ta ostatnia właściwość.

Nic dziwnego, że tak śmiało pokazuje się na ulicy, rozmyślałam. Przecież to chodząca bomba biologiczna.

Od tej pory niewiele rozmawiałyśmy, aż koło południa na fasadach budynków zaczęły się pojawiać pstrokate, wystrzępione proporce, pęki piór i indiańskie plecionki z koralikami.

Milczący, uzbrojeni w noże Muenowie eskortowali nas teraz w niedużej odległości, ale czyje bezpieczeństwo mieli na uwadze, mogłam tylko zgadywać.

Dziewczynka bez wahania wskazała drzwi wymazane zaschniętą krwią.

– Pas mówi, że kurza krew odpędza złe duchy – stwierdziła.

– A tobie jak się zdaje?

– Że szkoda jedzenia.

Jej pragmatyzm prawie zmusił mnie do uśmiechu. Prawie.

* * *

Dzień i noc gościliśmy u Pasa. Od naszego ostatniego spotkania zrzucił kilka kilogramów i nabrał werwy. Ilekroć potrząsał długimi włosami, znać było, że rozpiera go energia.

– Topaz zrobił się naszą zakałą – prychnął. – Daje dupy Mondowi z pogranicza. – Swoje słowa zobrazował obelżywym gestem.

– Czemu od razu zakałą? – spytałam z ciekawością.

Zniżył głos:

– Mówią, że nocą przybiera kobiece kształty.

Posiada zdolność zmiany wyglądu? Nie wiedziałam, czy śmiać się, czy niepokoić.

– Nieważne. Naszym prawdziwym przywódcą jesteś ty, Oja.

Czułam, że chce przede mną upaść na twarz. Na szczęście się pohamował. Powściągnęłam cugle wyobraźni, bo już mnie przechodziły dreszcze.

– Musi się skończyć ta cała bijatyka. Niech Muenowie stoją na uboczu, ewentualnie bronią swojego terytorium. Mondo namawia do wojny, bo chce szerzyć zło. Im więcej krwi, tym więcej

zła. Tyle, że Oja sobie z nim nie poradzi.

– Oja sobie ze wszystkim poradzi.

Komedia, nie rozmowa. Przychodzę przekonać Pasa o konieczności pomagania sierotom i co się dzieje? Znów odgrywam rolę najwyższej bogini Muenów. Co będzie następnym razem? Rytuał namaszczenia?

* * *

Godzinę później siedziałam niezgrabnie na czymś, co pod każdym względem przypominało kości. Na głowie miałam pióropusz z kurzych piór. Powinnam była się zmyć, kiedy Pas zaczął puszczać do mnie ludzi, bym udzieliła im błogosławieństwa, ale nie miałam sumienia podkopywać bezkrytycznej, dziecięcej wiary Tiny.

Pas recytował religijne dogmaty Muenów, opowiedział też legendę o Oi. Dowiedziałam się, że Oja jest potężnym żeńskim bóstwem w kulcie voodoo. Wiedźmą, która wprowadza wielkie zmiany. Przyglądając się setkom przedstawiających ją kukiel, naskładanych w pokoju Pasa, doszłam do wniosku, że ma jakiś problem z włosami.

I gdzie tu podobieństwo?

Szczerze mówiąc, cała ta heca z Oją napędziła mi strachu co niemiara. Nie dość, że zwidywały mi się anioły, to jeszcze co drugi w Trójce uważał mnie za wojowniczkę voodoo. Może i skorzystałabym na tym, gdyby wszystko nie wymykało mi się spod kontroli.

Po litanii pokój wypełnił się ostrzyżonymi na zero kobietami, które dźwigały brudne tace z jedzeniem. Tina chowała do kieszeni, ile tylko się dało.

Gdy tak kisałam na tronie z kości, ciepło ciała w połączeniu z wszechobecnym zapachem krwi przyprawiało mnie o mdłości. Świat przed oczami zaczynał się rozwarstwiać. Walczyłam z tym całą siłą woli, lecz przegrałam...

Anioł. Podrzywanie gardeł, taniec we krwi. Góra skalpów nade mną. Duszę się...

Ocknęłam się rozwalona na tronie w dziwacznej pozycji.

Pięćdziesięciu Muenów leżało przede mną na twarzy. Od tego widoku prawie znowu zemdlalam, a jednak... takiego właśnie zachowania spodziewali się po mnie.

* * *

O brzasku, kiedy szłam na zachód w niewielkiej świcie Muenów, Tina powiedziała mi, że błyszczałam. Mówiła o tym chłodnym tonem, jakby od Oi należało oczekiwać, że coś takiego zrobi.

Próbowałam zakrywać przed nią drżące dłonie i nie zadawać pytań. Przynajmniej Pas obiecał

nadal dokarmiać dzieciaki.

Poleciałam Muenom, by zostawili nas na granicy swego terytorium. Cieszyłam się, że dalej pójdę już tylko w towarzystwie Tiny. Mdlilo mnie na myśl, ile obowiązków nakłada na człowieka rola zbawiciela.

* * *

Późnym popołudniem, nie wdając się w rozróby, dotarliśmy do granic Shadoville. Tina zaprowadziła mnie do niepozornego budynku, wciśniętego w półkole apartamentowców. Miał tylko jedno piętro i szerokość pokoju. Nie pamiętam, żebym go tu kiedyś widziała.

Gdy wskazywała drzwi, jej oczy zdawały się wypełniać całą twarz.

– Nie zabijaj dzieci – rąbnęła prosto z mostu, odwróciła się i odeszła.

Nie zabijaj dzieci, no nieźle! Do czego to doszło?

ROZDZIAŁ 20

Żeby nie rzucać się w oczy na ulicy, czym prędzej zbliżyłam się do drzwi. Nie były zabarykadowane. Ostrożnie obeszlłam pomieszczenia na parterze, zwracając uwagę na pustą kuchnię i bardziej niż skromne umeblowanie. Kiedy usłyszałam hałasy na piętrze, skierowałam się do schodów. Dla dodania sobie otuchy trzymałam luźno remingtona. Odpędziłam od siebie, jak komara, nieprzyjemne uczucie zagrożenia i odbezpieczyłam pistolet.

Dopiero na górze panowała atmosfera typowego domu czarownika, a tworzyły ją symbole malowane na klatce schodowej i kadzidlana woń płynąca nad schodami. Przypomniała mi się Mei. Miałam nadzieję, że żyje. Bo jeśli nie, Stolowski się załamie.

Ostatnie drzwi na górze były zamknięte. Zawahałam się, tknięta złowieszczym przecuciem. Musiałam wejść, ale co będzie, jeśli szamanka odprawi mnie z kwitkiem?

Kończyły mi się pomysły, zaczynałam wariować.

Mignęła mi przed oczami twarz baby na ulicy, zdeformowana czarnymi bruzdami. Kurka wodna, jak to się stało?

Wyciągnęłam rękę do klamki, lecz w tym momencie drzwi się otworzyły. W progu stała drobna kobieta ze zmiętą twarzą.

Rude włosy z paciorkami opadały prawie do ziemi.

– Wejdz, Parrish. Czekaliśmy na ciebie.

Chyba powinnam się zdziwić, choć prawdę mówiąc, niewiele rzeczy mogło mnie jeszcze porządnie zaskoczyć.

– Vayu?

Kiwnęła głową twierdząco.

Weszłam do środka. Wszędzie w pokoju płonęły świece, pod ścianami stały holograficzne figury, mające odpędzać złe duchy. Na podłodze siedziała grupa ludzi ze skrzyżowanymi nogami; byli w różnym wieku i pochodzili z różnych ras, ale mieli też wiele wspólnych cech. Opływały ich fale energii, przez co miałam wrażenie, jakbym wdepnęła w sam środek elektrycznej burzy. Aż mi się włosy zjeżyły na ciele.

Vayu przemknęła za mną na swoje miejsce w kręgu. Skinęła na mnie, żebym usiadła obok.

– Odłóż broń – poleciała mi cicho. – Nic ci nie grozi z naszej strony.

Wierzyłam jej na słowo, bo szamani z reguły są pacyfistami, a mimo to pokręciłam głową.

– Przepraszam, nie mogę.

Westchnęła ciężko, a ja przysiadłam koło niej z pistoletem położonym swobodnie na kolanach. Może i wyszłam na gbura, ale pal to lichu!

Zaległo ciężkie, kłopotliwe milczenie, gdy wszyscy czekali na moje oświadczenie, a mnie tymczasem słowa uwięzły w gardle.

W końcu Vayu się nade mną zlitowała:

– Mei żyje.

Już miałam spytać: Skąd wiesz? – ale byłoby to głupie i bezsensowne. Dlatego bąknęłam tylko:

– No to super wiadomość.

Błysnęła w uśmiechu tak wspaniałymi zębami, że zaczęłam się wstydzić swoich.

– Nie wiem, czy zdołamy ci pomóc, Parrish Plessis. Istota, która w tobie rośnie, stała się bardzo silna.

– Możesz mi to lepiej wytłumaczyć?

– Spróbuję, ale najpierw sama powiedz, co wiesz. Czujemy, jak się zmieniają strumienie ziemskiej energii, to dla nas zupełnie nowa transformacja. – Zadygotała.

No więc zaczęłam opowiadać swoją dziwną historię:

– Poszłam do Mei Sheong, żeby mi pomogła. Ciągłe miałam wizje, a w nich pojawiał się anioł. Wypiłyśmy coś, chyba grzybki w tym były. Potem znowu zobaczyłam zjawę. Rozmawiałam z nią. To... to pasożyt, który żywi się moim ciałem. Powstrzymywał go przedtem układ odpornościowy, ale już się uwolnił.

– Jak?

– Tak do końca to nie wiem. Znam gościa, który zmodyfikował geny miejscowym ludziom.

– Trochę o nim słyszałam. Jak ci się zdaje, do czego zmierza ten pasożyt?

– Powiedział mi, że ewoluujemy, że zmieniamy się w coś innego.

Vayu zbladła. Pozostali wierzili się niespokojnie i szeptali między sobą z poważnymi minami.

– Baliśmy się – powiedziała – ale kto by przypuszczał, że stanie się coś takiego. Cóż my teraz możemy zrobić? Ta sprawa wykracza poza naszą wiedzę i możliwości.

Nie to chciałam usłyszeć.

– A więc nie mam przywidzeń? Ten stwór jest prawdziwy?

– Owszem. Sprawni szamani kontaktują się z duchową sferą za pomocą środków halucynogennych. Ty jednak na swej drodze do świata duchów spotkałaś coś innego. Intruza, czy też pasożyta, jak go nazywasz. Przychodzili do nas ludzie z podobnymi opowieściami. Kto nigdy

nie doświadczył wizji, nazwałby cię szaleńcem, lecz my, szamani, przenikamy wzrokiem materialną powłokę. Widzimy energię.

Wyjaśnienia Vayu równocześnie zatkały mnie, przeraziły i przyniosły mi ulgę. Nie byłam walnięta, tylko opętana. Choć może nie powinnam się z tego zbyt cieszyć.

– Ale jak do tego doszło? – zapytałam. – Skąd się wziął ten stwór?

– Nie wiemy.

– Czemu ja mam go w sobie, a ty nie?

Pokręciła głową bezradnie.

– Sama musisz poszukać odpowiedzi.

– Co mam robić?

Zwiesiła głowę, pogodzona z porażką.

– Pożyjemy, zobaczymy...

Moje zdumienie przerodziło się w złość.

– Chcesz mi powiedzieć, że się poddajesz?

Zauważyłam pewne poruszenie w kręgu. Czyżby zażenowanie? Skorzystałam więc z okazji, mając nadzieję, że obudzę w nich wyrzuty sumienia, ale nie wywołam strachu.

– Coś wam powiem. To chyba jakiś organizm zbudowany z informacji, który potrzebuje do życia adrenaliny. Znaie się na energii, prawda? Czy informacja nie wiąże się z energią?

– Energia uwięziona w ludzkim ciele? Jak to działa? – pytała Vayu z szeroko otwartymi oczami.

Wzruszyłam ramionami.

– Aby człowiek mógł w sobie przechować taką energię – ciągnęła – intruz za pomocą jakiegoś mechanizmu musi chronić ciało. Może gdyby poznać ten mechanizm... – Po kolei zaglądała w oczy zgromadzonym szamanom. Każdy kiwał głową na znak przyzwolenia. Wzięła głębszy oddech. – Parrish Plessis, jeśli się zgodzisz, wyruszmy razem w podróż. W grupie będziemy silniejsi, dowiemy się paru istotnych rzeczy. Oczywiście, niebezpieczeństwo i tak jest spore.

Skrzywiłam się.

– Przyjaciele sobie ze wszystkim poradzą.

Nikt nie zareagował na żart.

Chwycili się za ręce i zaintonowali cichą pieśń, czemu towarzyszyły płynne, wyćwiczone ruchy, przypominające praktyki Mei.

Teraz jednak wiedziałam, czego się spodziewać. Przygotowana na odlot, napiłam się z naczynia, które podała mi Vayu. Tym razem zastartowałam łagodnie, wśliznęłam się wolno w białą mgiełkę.

Siedząc na skrzydłach olbrzymiego, brązowego orła, unosiłam się nad strumieniem nie w

pełni ukształtowanych obrazów. Umościłam się w piórach, niczego nieświadoma prócz rytmicznego ruchu i upojnej wolności.

Przebyliśmy niezmierzone przestrzenie, nim orzeł wolno zanurkował ku ziemi. Nitka rzeki, nad którą lecieliśmy, z czarnej zrobiła się brunatna i na koniec – gdyśmy już byli na niskim pułapie – mazista i czerwona. Jak krew. Moja krew.

Niespodziewanie zrobiło się ciemniej, gdy wielki cień pojawił się na niebie. Coś zaatakowało z tyłu orła, brutalnie poszarpało mu pióra w ogonie. Orzeł zatoczył koło, uniósł szpony zaczepnie, lecz zarzuciło nim jak statkiem z połamanym sterem. Nastąpił drugi atak: nieuchwytny wróg targał ciało i kości.

Twardy grzbiet pode mną pękał, rozpadał się na garstkę płomyków – dusz, które wcześniej tworzyły jedną, zwartą całość, lecz z osobna były gaszone, zasysane w mrok. Pewien płomyk płonął jaśniej i trzymał się dłużej. Vayu. Poczułam, jak sięga do mnie krótką, natarczywą myślą:

„Nie dopuść do zmiany. Powstrzymaj człowieka, który dąży do zmiany „.

Cień zaraz urósł, jakby spał się jej światłem. Nic już nie widziałam, nic nie czułam...

* * *

Po odzyskaniu przytomności klęczałam w mieszkaniu Vayu z wyciągniętymi rękami. Leżący wokół mnie szamani nie dawali znaku życia. Podczołgałam się do każdego z osobna, nasłuchując bicia serca. Biło, a właściwie łomotało tylko moje, wystraszone i dezorientowane.

Kiedy z impetem otworzyły się drzwi i do środka wpadła gromada ludzi, uciskałam mostek Vayu i krzyczałam do niej, żeby oddychała.

Odpowiedziały mi postacie w dredach, z oślinionymi siekaczami. Za nimi weszła drobna persona z lisim uśmiechem, paląca się na spotkanie ze mną: Jamon.

– Dobra robota. – Pogłaskał po głowie zaufanego dingochłopa. – Miałeś rację. – Następnie szerokim gestem ręki wskazał zabitych szamanów i zwrócił się do mnie: – Parrish, ależ narozrabiałaś.

Gapiałam się na niego ze ściśniętym gardłem.

– Moje chłopcy od dawna są na twoim tropie – powiedział swobodnym tonem z porwaną koszulką Beach Boysów w rękę.

– Mam nadzieję, że twój przyjaciel dał ci ją, a nie pożyczył.

Koszulka Teece'a! Co zrobili biedakowi, który ją nosił?

– Zabieramy ją do domu! – rozkazał z nerwowym tikiem na wytatuowanym policzku.

Podźwignęłam się na nogi, uniosłam pistolet i strzeliłam.

Pierwsza kula położyła trupem najbliższego dingochłopa, lecz na tym się skończyło. Magazynek był pusty. Machnęłam remingtonem jak pałką.

Jamon wiedział jednak, że w walce wręcz mogłabym spuścić jego chłopom tęgie manto. Zaczęli do mnie strzelać z kilku metrów paraliżującą skórą.

Rzuciłam się w bok, żeby uniknąć trafienia, lecz dostało mi się w biodro. W ciągu paru sekund runęłam na ziemię bez czucia w nogach.

– Świetnie – powiedział. – Działanie trucizny ograniczy się do nóg, Parrish. Za kilka dni paraliż minie.

Za kilka dni! Równie dobrze mógł strzelić mi w łeb.

Gdy wiązali mi ręce, dotykali mnie z zachłannością hien cmentarnych, a potem zanieśli do siedziby Jamona jak myśliwskie trofeum. Po drodze oglądałam rozpętany na Torleyu zamęt i szaleństwo.

Dosłownie każdy nosił broń. Wielu krwawiło lub ślaniało się z głodu. Zerkałam na znajome twarze, one zerkały na mnie.

Nikt się nie odzywał, nikt nie oferował pomocy. Nie mogłam mieć do nich pretensji, ich głównym zmartwieniem było teraz przetrwanie.

W mieszkaniu Jamona nic się nie zmieniło. Ani stół z lakierowanym blatem, ani dziesiątki aromatycznych świec, ani grawerowane kryształki w kredensie. Jednakże pod ścianą stał duży pojemnik z przezroczystego plastiku, zasłonięty – cały, prócz brzegów – aksamitną makatką. Dziwiłam się jego rozmiarom, kiedy goryle Jamona rzuciły mnie na kanapę.

Podążył za moim spojrzeniem z dziwną, zadumaną miną.

– Uciekłaś, Parrish. Popełniłaś duży błąd. – Walnął mnie z rozmachem.

Od jego piorunującego uderzenia zagrzechotały mi zęby, a kość policzka zapłonęła ogniem bólu. Dysząc z wściekłości, odwróciłam się i wyplułam krew z ust. Niestety, bezużyteczne nogi odmawiały posłuszeństwa, więc osunęłam się na bok.

Bełkot dochodzący z komu za drzwiami odebrałam jak drwinę. Wojna toczyła się na dobre, a ja leżałam z częściowym paraliżem, na dodatek związana.

Podobnie jak Loyl, Jamon nadzorował walki za pomocą ekranu. I mimo to opuścił punkt dowodzenia, żeby mnie schwytać? A mówi się, że nikt nie ma w sobie tyle wściekłości co zraniona kobieta.

Krew sącząca się z ust skąpywała na jedwabną narzutę.

– Nie jestem twoja, bym musiała od ciebie uciekać, Jamon – wychrypiałam.

– Harde słowa, ale tylko słowa. Bo widzisz, Stellar odeszła i teraz ty ze mną zamieszkas.

Racja, harde słowa. Do tego maskowały moje przerażenie.

Miałabym z nim mieszkać? Za żadne skarby świata i zaświatów!

Znowu się uśmiechnęła.

– Czuj się, Parrish, jak u siebie w domu. Na mnie czeka robota. Jeśli spróbujesz prysnąć, moi ludzie chętnie przywiążą cię do palików.

Przywiążą do palików. Wiedziałam, co to znaczy. Stare wspomnienie odżyło w pamięci. Skierowałam wzrok na drzwi, pilnowane przez tych samych czterech dingochłopów, którzy paradowali ze mną po Torleyu.

Jamon zniknął w sąsiednim pomieszczeniu, podesławszy jeszcze do mnie dwóch goryli. Wolał nie ryzykować, choć byłam sparaliżowana i miałam rozbitą twarz. Zaimponował mi... na tyle, że rozerwałabym go na sztuki, gdybym tylko była na chodzie. Policzek rwał, jakby został oskrobany tarką.

Czas biegł koło mnie. Leżałam bezradnie na kanapie, pogrążona w dziwnym świetle bólu, rozpacz i odrętwienia.

W końcu się zdrzemnęłam. Obudziły mnie niespokojne kroki Jamona i zmiana strażników. Wciskali mi do ust rurki z wodą i ze śmiechem trzymali mnie nad wiaderkiem, bym się wysikała.

Gdy wreszcie raczyli mnie odwrócić, mogłam objąć spojrzeniem część gipsowej ściany i mahoniowy stół ze świecami.

Kiedy nie spałam i miałam jasny umysł, słuchałam nadchodzących raportów o walkach. Dzięki nim zapominałam o piekącym policzku i swoim dołującym zniewoleniu.

Mimo że zasapane dingochłopy przynosiły meldunki dość suche, na ich podstawie doszłam do wniosku, że chociaż z Jamonem sprzymierzył się Topaz przeciwko Daacowi, Muenowie powstrzymują się od działania.

Wściekły Topaz raz po raz wyżałał się przed komem:

– Señor Jamon, mam związane ręce. Muenowie nie słuchają moich rozkazów. Pas, człowiek, któremu dotąd ufałem, stanął na czele buntu. Szpiedzy donoszą, że czeka się tam na sygnał od jakiejś Oi.

Docierały też raporty o dingochłopach Jamona, których całe grupki ginęły w pułapkach przygotowanych przez bezdomne dzieci z bronią biologiczną. Był taki przypadek, że zginęło naraz aż pięćdziesiąt chłopów. Dziesięcioletnia dziewczynka uwolniła agresywnego wirusa w koszarach, gdzie spali. Martwą dziewczynkę znaleziono przy wejściu.

Tina! Opłakiwałam jej śmierć bez wstydu. Nigdy w życiu tak nie beczałam. Aż w końcu moje serce wyszło na wiór, na kamień.

Jeden z raportów szczególnie mnie poruszył. Otóż pewien zaufany dingochłop Jamona przepadł bez wieści na wschód od Torleya – w okolicy, gdzie Teece rozkręcił swój interes. Prowadził nocny zwiad, a zniknął podobno przy otwartej studziencie ściekowej. Gdy szukano go pod ziemią, natrafiono tylko na sforę wrogich psioszczurów.

Pod ziemią? Psioszczury? Czy Gwynn maczał w tym palce?

Oświecił mnie promyk nadziei. Postanowiłam wziąć się w garść. Muenowie, bezdomne dzieci, teraz Gwynn. Nie mogłam ich zawieść.

Od czasu do czasu wspominano o Daacu. Jamon ostrzył na niego zęby.

Dużo myślałam o Teesie. Byłe żył – z resztą jakoś sobie poradzę.
Jeżeli zginął, nigdy tego nie wybaczę Loylowi. Ani Jamonowi.
Sobie też.

* * *

Chwilę po raporcie o zniknięciu dowódcy zwiadu Jamon opuścił stanowisko dowodzenia z marsową miną. Dwóch goryli odprawił z pokoju, zostawiając tylko czterech w drzwiach.

Usiadł koło mnie z elektrycznymi piesszczochami, odsunął dół mojej koszuli i potarł nimi gołą skórę. Lekko mnie pokopało.

Nachylił się i przejechał ustami po tym samym miejscu. Potem rozerwał całą koszulę i dosiadł mnie niezgrabnie. Na jego twarzy odbijała się złość i frustracja.

Końcówkami piesszczochów kilkakrotnie poszczypał moje piersi. Trzęsłam się z bólu, lecz mocno zaciskałam zęby, bo pewnie chciał się delektować krzykami. Co pewien czas przerywał tortury, przyglądał się śladom i z zadowoleniem obserwował łzy płynące mi z oczu.

– Czemu to wszystko zaczęłeś, Jamon? Czemu zabijasz ludzi?

Zmarszczył czoło z mściwym wzrokiem.

– Loyl Daac chce przejąć mój teren, Parrish.

– Kto ci tak powiedział?

– Lang.

Lang! Zacisnęłam powieki, gdy pojawiły się przede mną szare, rozmyte urojenia. Pasożyt przejmował kontrolę nad moją świadomością. Pozwoliłam mu przyjść. Równocześnie poczułam straszliwe pieczenie, zapowiadające nagły powrót czucia w nogach.

Starając się panować nad odruchami, poczekałam, aż Jamon zmieni pozycję, zsunie się trochę, żeby zerwać mi majtki... a wtedy przygrzmociłam mu w grdykę z kolanka. Zacharczał i padł na mnie.

Szarpaliśmy się chwilę przed zwałeniem się z kanapy na plastikowy pojemnik. Makatka spadła i zaplątała się między nami. Próbował mnie przydusić tą makatką, ale palnęłam go w pysk z jednej i drugiej pięści.

Hałas zaalarmował strażników, którzy wbiegli do pokoju.

– Każ im odejść! – wrzasnęłam, chwytając go za gardło.

Coś mi tu nie pasowało. Przecież dałam mu takiego kopa, że powinien stracić przytomność.

Dingochlopy otoczyły nas, rozwścieczone i zdezorientowane.

Zacieśniłam chwyt i stuknęłam o ziemię jego łbem.

– Każ im odejść! – powtórzyłam.

– Odejdźcie! – rozkazał, choć jego zimne oczy miały we mnie błyskawice.

Przygwoździłam kolanami jego ręce i wyluskałam mu spod pachy małą berettę. Wcisnęłam mu lufę między oczy.

– Rozwiąż mnie, tylko ostrożnie.

Kiedy niezdarnie spełniał moje żądanie, coś mi wpadło w oko. Jakiś kształt. Ludzka stopa.

Szybko przesunęłam spojrzenie.

W pojemniku z żywicy akrylowej, przezroczystym jak kieliszki koktajlowe Jamona, leżała naga i w stu procentach martwa Stellar. Zakonserwowana w pozycji klęczącej.

– Urocze, co? – mruknął Jamon, rozwiązując ostatni supeł. – Wypchana jak zwierzę. Szkoda, że nie miała piękniejszego ciała. Z ciebie to dopiero będzie piękny model.

Model! Aż się we mnie coś zagotowało. Trzymałam palec na spuście. Tak łatwo byłoby go teraz zdmuchnąć – ciach, i po sprawie. Dingochłopy natychmiast by mnie zastrzeliły i wreszcie miałabym spokój. Żadnego szarpania się, żadnych wizji.

Ale jeśli zginę, wojna będzie trwać dalej, może się nawet nasili. Nie mogłam do tego dopuścić. Tylu ludzi za mnie umierało.

Mierząc Jamonowi w czoło, zasłoniłam się nim przed dingochłopami, razem z nim wstałam i wyszliśmy tyłem do pokoju dowodzenia. Reszta trzymała się od nas w bezpiecznej odległości.

Bez wyraźnego rozkazu nikt nie ważył się strzelać.

W progu popchnęłam Jamona, kopniakiem zamknęłam drzwi i zasunęłam rygiel. Jak przystało na paranoika, zrobił twierdzę ze swojego mieszkania.

– Siadaj! – Szturchnęłam go berettą za uchem.

I wtedy to zauważyłam. Czarną bruzdę, skręconą na skórze jak ślimak. Żołądek podszedł mi do gardła.

– Czego chcesz, Parrish?

Zadziwiająco szybko odzyskał zimną krew.

– Odwołaj wojsko.

To nim jednak wstrząsnęło.

– Zwariowałaś?!

Teraz ja z kolei głupawo się uśmiechałam.

– Chyba tak – zgodziłam się. – Wleziesz na kom i wszystkich odwołasz.

Gapił się na mnie, jakby chciał poznać moje prawdziwe zamiary.

Poruszyłam palcem na cynglu, by wiedział, że to nie żarty.

– Nie trać czasu, Jamon. Odwołaj ich! Potem wyślesz w eter oświadczenie, że się wycofujesz. Że tego nie można wygrać.

Z poszarzałą twarzą przesłał swoim żołnierzom krótki, enigmatyczny rozkaz.

Szturchnęłam go lufą.

– Tak żebyś zrozumiała.

Powtórzył rozkaz zrozumiałym językiem. Oстрыm, lodowatym tonem.

– A teraz w eter. Żeby w Vivie słyszeli. Niech dziennikarze odbiorą sygnał. Przedstaw się jako sprawca wojny gangów. – Cierpliwie ignorowałam dzikie wycie dingochłopów, próbujących wyważyć drzwi z zawiasów.

Spiorunował mnie jadowitym spojrzeniem i odwrócił się z powrotem do komu. Czarna bruzda zaczęła wylewać się na szyję jak melasa. Zmieniał się, ale w co?

– Prędeż! – wrzasnęłam na niego. – I powiedz Loyl-me-Daacowi, że spotkasz się z nim, by rozstrzygnąć kwestie terytorialne.

Rozwarł pięści i uruchomił połączenie dźwiękowe ze wszystkimi sieciami.

– Mówi Jamon Mondo. Rozkazałem wycofać się ludziom. Loyl-me-Daac, spotkajmy się...

Przycisnęłam mu lufę do czaszki.

– ... żeby omówić kwestie terytorialne.

Odetchnęłam z ulgą. Przez kilka minut przyglądaliśmy się i przysłuchiwali wrzeniu we Wspólnej Sieci. W końcu przyszła oczekiwana wiadomość na prywatnej linii.

– Włącz wizję – poleciłam.

Twarz Loyla wypełniła ekran.

– Mondo?

Drobne ciało Jamona aż drżało pod wpływem nienawiści.

– Słyszałeś! – warknął.

– Ale czemu?

– Powiedzmy, że... zadecydowały pewne względy.

Tymczasem ja, ulegając pokusie, popatrzyłam znad jego ramienia na twarz Daaca. Chciałam sprawdzić, czy jest w jednym kawałku. Ten głupi błąd drogo mnie kosztował! Podobnie zachował się Gwynn tamtego ranka w przepuście. Zapomniałam o ostrożności i kapkę opuściłam lufę beretty.

Z szybkością atakującej żmii wyrwał mi broń z ręki i strzelił do mnie z najbliższej odległości. Odruchowo się odsunęłam, co ocaliło mi życie. Kula przebiła lewy bok, lecz nie uszkodziła żadnych ważnych narządów.

Próbowałam nie stracić równowagi, ale Jamon wstawał już z krzesła i ponownie kierował na mnie pistolet. Z całej siły kopnęłam go w nogi, żeby się wywrócił, ale boląca rana ograniczała mi ruchy.

– Parrish! – usłyszałam krzyk Daaca z komu.

Jamon wyprostował się i przymierzył do drugiego strzału.

Twarz już całkiem mu się przeobraziła; w skórze powstawały ciemne zawijasy, jakby w ekspresowym tempie ujawniały się w nim objawy trądu.

Zamarłam w bezruchu, wystraszona jego widokiem.

– Kim ty jesteś? – zapytałam szeptem.

Chyba dotarło do niego moje przerażenie, bo z wycelowanym pistoletem przesunął się, żeby obejrzeć swoje odbicie w ekranie.

– Parrish! – krzyczał Daac. – Co się dzieje!?! Więcej stamtąd!

Jego słowa zmobilizowały mnie do działania. Rzuciłam się do drzwi i stoczyłam gorączkowy bój z rygłem. Gdy zatrzask się odblokował, wystrzeliłam jak z katapulty prosto w objęcia sześciu dingochłopów.

– Uciekać! – krzyknęłam, wskazując na Jamona.

Powarkiwali, wystraszeni i skołowani. Napałam na nich, ale nie przebiłam się przez mur spoconych ciał.

Jamon zbliżył się do nas i dotknął twarzy.

– Lang mówił, że się zmienię – powiedział z trwogą w głosie.

Dingochłopy, przerażone już nie na żarty, wzięły nogi za pas.

Podzielałam ich strach, lecz nie mogłam się ruszyć z miejsca.

– Lang? – wychrypiałam. – Co ci jeszcze powiedział? Że będziesz niepokonany? Łyknąłeś tę bzdurę?

Czemu tu się dziwić? Mnie też nabrał.

Zatrzymał się, jakby moje pytania dały mu do myślenia.

– Będę mógł zmieniać wygląd. Będę żył dłużej. Nie widzisz korzyści?

– Nie!

Wytarł krew z wargi i podsunął mi palec.

– Ty również możesz przejść przemianę.

– Co robisz?

– Moja krew cię zmieni.

– Twoja krew?... – Nagle mnie oświeciło. Ociekające krwią pióra. Krew w ustach. Czyżbym zaraziła się wtedy w domu Muenów? O, nie! – To pasożyt, Jamon. Pożre cię całego. Dla ciebie nic nie zostanie. Nawet jaźni nie zachowasz!

– Jaźni?

– No chyba chciałbyś chociaż w części pozostać sobą?

– Daj spokój, Parrish, nie czujesz pokusy?

– Proponujesz mi wspaniałości, a niedawno próbowałeś mnie otruć – rzuciłam oskarżycielsko.

– O czym ty gadasz?

– Miecznik, którego podano mnie i Stellar, był zatruty rtęcią.

Pokręcił swoją obrzydliwą głową.

– Niemożliwe. To Lang dostarczył żywność. Sam się zaferował. Dlatego opychał się

beztrosko.

A więc to Lang próbował mnie otruć. No to czemu powstrzymał mnie od zjedzenia zatrutego mięsa? W tym rozumowaniu mnożyły się sprzeczności. Zaraz! Chciał, bym myślała, że Jamon dybie na moje życie, bo miał już dla mnie zadanie. W takim razie... Stellar umarła, bym uwierzyła w bajeczkę.

Cała ta historia wydawała się niewiarygodna, a jednak...

– Parrish, pomóż mi przywołać do porządku twojego krewniaka ze Wspólnoty.

– Krewniaka ze Wspólnoty?

– Co, nie wiedziałaś? Loyl-me-Daac należy do Wspólnoty Coomera.

Szczeńka mi opadła. Daac? We Wspólnocie Coomera?

– Kłamiesz!

Adrenalina szalała w moim ciele, świat przewijał się do tyłu na pełnej szybkości. Przeniosłam się do chwili, gdy poznałam Daaca w barze Heina, gdzie załała mnie dziwna fala ciepła.

Ubzdurało mi się, że po prostu zrobił na mnie wrażenie. Że to czysta chemia.

A tu się kadaiczowie kłaniali.

Od tamtej pory karmił mnie kłamstwami. Grzebiąc we wspomnieniach, odnajdywałam ich mnóstwo.

– To czemu jesteś na liście członków jego klanu? – burknął Jamon.

Zwodzono mnie na tyłu poziomach, że już od tego rzygać mi się chciało. Opadłam na kolano, gdy Jamon zbliżył się do mnie. Jego nieludzkie warknięcie przywróciło mnie do rzeczywistości.

Machnęłam pięściami, żeby się obronić, ale nie zdążył mnie tknąć. Rozległa się ogłuszająca eksplozja. Facet rąbnął na podłogę, jakby zmorzył go sen. Odsunęłam się od niego, roztrzęsiona. Spomiędzy łopatek sterczał fragment zdobnej włóczni. Profilowanej, wyrafinowanej i zabójczej. Z wybuchowym grotem. Specjalność Minoja.

ROZDZIAŁ 21

Pomogli mi wstać. Czterej smagli mężczyźni z plemiennymi bliznami, ubrani w wysłużone skórzane płaszcze. Kiedy ośmieliłam się spojrzeć im w twarz, dostrzegłam w nich podobieństwo do Loyl-me-Daaca. Chociaż byli starsi, szczuplejsi i otoczeni aurą dostojeństwa.

Najwyższy podał mi szmatkę, po czym odwrócił wzrok, gdy ścierałam z siebie krew Jamona. Potem odezwał się cichym głosem z twardym akcentem:

– Parrish Plessis, masz teraz gomę, czyli dług krwi, który spłacisz wykonaniem naszego zlecenia. Jeśli sobie poradzisz, zaproponujemy ci azyl we Wspólnocie Coomera.

Azyl. Próbowałam nie szczękać zębami. Obiekt moich odwiecznych marzeń miałam na wyciągnięcie ręki... a jednak człowiek, który obudził we mnie te marzenia, leżał martwy z sercem przebitym plemienną włócznią.

Uniosłam czoło, by pokazać, że mam w sobie trochę dumy.

– Dzięki za pomoc. – Znowu chwytały mnie dreszcze. – On... on się zaraził pasożytem.

– Eskaalim, wiemy. Ta sprawa nas niepokoi. Jak wiele innych rzeczy.

– Cz-czego ode mnie chcecie? – To miało zabrzmieć jak zdawkowe pytanie.

Zapadła grobowa cisza, jakby cała czwórka prowadziła ze sobą milczącą rozmowę. W kręgu szamanów w mieszkaniu Vayu czułam coś podobnego. Porozumiewali się bez słów.

– We Wspólnocie jest zdrajca. Przywłaszczył sobie coś niezwykle cennego, żeby zrealizować własne cele. Wstąpił na ścieżkę cienia, by zmienić w nas to, co powinno zostać nienaruszone. Parrish Plessis, powstrzymasz Loyl-me-Daaca.

– Loyla? – zdumiałam się. – Ale on jest jednym z was. Nie możecie... ?

Inny z czwórki wysunął się do przodu. Starszy z wyglądu i niesamowicie chudy. Wypowiadał się drżącym głosem, jakby mowa była czymś, co nieczęsto praktykował.

– Tradycja... utrudnia nam... to zadanie. Więc chcemy się posłużyć... cudzymi rękami.

– On się na to nie zgodzi, on nie przestanie...

– Wobec tego... będziesz musiała... wysłać go... na drugą stronę.

Na drugą stronę? Na samą myśl o tym cała się zatrzęsłam.

– A... a jeśli się nie... nie zgodzę?

Mężczyźni skurczyli się w sobie, jakby za chwilę mieli całkiem zniknąć.

– Zrezygnowałabyś z azylu? – Wymienili spojrzenia.

Podejrzewałam, że gdyby poruszyli ustami, ułożyłyby się do uśmiechu.

– Po pierwsze, chcę wiedzieć, czy to wyście zamordowali Razz Retribution – wyrzuciłam z siebie, nie myśląc o konsekwencjach. Ta kwestia miała dla mnie kluczowe znaczenie.

W odpowiedzi wolno pokręcili głowami i poradzili mi wnikliwiej zbadać sprawę. Wyszarpnęli włócznię z pleców nieżyjącego Jamona i tyle ich widziałam.

* * *

Osunęłam się na ziemię. Wspólnota żądała ode mnie powstrzymania Loyla! A to dobre! – niemal parsknęłam śmiechem. Nawet oni prowadzili brudną politykę. I co, miałam zrobić czystkę?

Pomyślałam sobie, że Loyl stał się znany. Z tym że nie działał dla Wspólnoty, dla Razz Retribution, czy nawet dla mnie. Nabawił się obsesji na punkcie odtworzenia czystości klanu, jakby tym sposobem pragnął zyskać nieśmiertelność.

Jamon też do niej dążył, nie wahał się rzucić wszystkiego na jedną szalę.

Pragnienia, jakkolwiek formę przybierały, są największym motorem napędowym tego świata. Eskaalimi, pasożyty, chciały je wykorzystać, zaprząć do swoich potrzeb, skonsumować.

W tym momencie najbardziej pragnęłam się wykapać.

W następnej kolejności – najeść się i wziąć coś przeciwbólowego. I wreszcie walnąć się do łóżka z kimś, kto nie wiąże ze mną żadnych zawitych planów, chce tylko drapać mnie po plecach.

Ale życie to dziwka, niestety, w żadnym wypadku dobra wróżka.

Przykryłam makatą zamknięte w pojemniku ciało Stellar.

Czułam, że powinnam się za nią pomodlić lub przynajmniej zapłakać.

Nic z tych rzeczy. Słabym krokiem zrejterowałam do pomieszczenia z komem. OneWorld podawał w wiadomościach, że wojna się skończyła. Wyłączyłam ten bełkot i zebrałam w sobie nędzne resztki sił, żeby skupić się na włamaniu do osobistych plików Jamona. Ilekroć się ruszyłam, w boku rwało mnie niemiłosiernie, lecz upór pchał mnie do przodu. Upór i niepokromione pragnienie dowiedzenia się, czy Jamon nie kłamał. Naprawdę byłam z nim spokrewniona? Myśl wydawała się nedorzeczną, a jednak zawsze coś mnie ciągnęło do Trójki.

Może w tym romantycznym bajdurzeniu Daaca o przynależności do miejsca tkwiło ziarno prawdy?

* * *

Godzinę później znalazłam to, czego szukałam: rejestr przodków Daaca, w formie tablicy genealogicznej, uwzględniający osoby sprzed wieków. Przewijałam strona po stronie, aż natrafiłam na swoje nazwisko. Zarazem na stary adres w Vivie oraz krótką notkę opowiadającą o tym, jak Rene rozstała się z moim biologicznym ojcem. Obejrzałam też sobie drzewo genealogiczne przodków Rene.

Czytałam to w osłupieniu. Rene zawsze zachowywała się tak, jakby urodziła się w reproduktorium. Nie wiedziałam, kim była jej matka, i sądziłam, że ona sama tego nie wie. Ale wiedzieć musiała. Narastała we mnie złość. Te jej cholerne sekrety!

Spakowałam plik z rejestrem, zapisałam go na płycie i jeszcze długo szukałam interesujących rzeczy. W końcu rozbolały mnie napuchnięte oczy. Wyłączyłam peceta, wyciągnęłam dysk i razem z płytą schowałam go w majtkach.

Przed zamknięciem drzwi po raz ostatni rzuciłam okiem na mahoniowy stół. Miałam nadzieję, że za kilka godzin ktoś go spali w czasie plądrowania.

* * *

Nad Torleyem wciąż przelatywały roje szpiegusów filmujących ulice. Ich buczenie brzmiało w tle jak sieciowy bełkot.

Zastanawiałam się, czy nie zaczyna im się już nudzić i który ma na pokładzie interrogatora przeznaczonego do pościgu za mną.

Dlaczego mnie jeszcze nie capnął?

Tymczasem ludziska wyłaziły z kryjówek i pakowały się tłumnie do barów, żeby się dowiedzieć, co jest grane. Podśluchiwałam strzępy rozmów.

– Oja zakończyła wojnę.

– Mondo nie żyje.

– Wspólnota się postarała...

– Wspólnota renegatów...

– Widziałem, jak bezdomna dziewczynka załatwia całą ferajnę. Świeciła jak ci ze świętych obrazków.

Człapałam po schodach do swojego mieszkania. Nie czyhały tu na mnie żadne dingochłopy. Ktoś nawet zerwał z drzwi badziewie z dzinglem Abby. Z ulgą zaryglowałam zamek i klapnęłam na łóżko.

Pozwoliłam sobie na chwilę rozczulania się nad swoim losem, następnie ukryłam dysk i płytę w najbezpieczniejszym schowku. Zaraz potem podreptałam do sanitariatki, bo w ranie na pewno otwierała się już fabryka bakterii.

Kiedy się umyłam, przebrałam w najstarsze ciuchy, połatałam bok i spałaszowałam ostatniego pro-substa, mój mózg wreszcie zaczął pracować. Pobudzona świadomością tego, że tak niespodziewanie ocalałam skórę, szybko wykombinowałam, co teraz muszę zrobić. Pytanie tylko, czy coś z tego wyjdzie.

Na wszelki wypadek wcisnęłam do kieszeni kilka tabletek Tempa. Nie podobała mi się perspektywa karmienia pasożyta tym, co najbardziej mu odpowiadało, czyli adrenaliną, lecz moje ciało miało swoje ograniczenia, a świeciła się już czerwona lampka, oznaczająca skrajne wyczerpanie. Merry 3 sprawdziła stan konta. Okazało się, że mogę jeszcze wykonać parę rozmów.

Na ekranie komu pojawiła się twarz Minoja, stara i otłuszczona. Tym razem nie zdecydował się na renderowany obraz.

– Maleńka – wychrypiał słabowitym głosem – przeżyłaś w pięknym stylu.

– Nie koniec na tym, Minoj. Gram w lidze. – Oznajmiłam mu to z poważną miną i absolutną pewnością siebie.

Spojrzał na mnie z nowym zainteresowaniem. Starość jakby odeszła z jego twarzy, a w głębi zmęczonych oczu błysnęły iskierki. Minoj wprost kochał polityczne rozgrywki.

– Jamon Mondo nie żyje. Należy mi się spadek po nim – oświadczyłam.

– Kto cię poprze?

Nie byłam mistrzynią blefowania. Zazwyczaj przedstawiałam sprawę tak, jak ją widziałam, lecz czasem po prostu trzeba oszukać.

– Ty.

Zamrugał. Tylko raz, ale wystarczyło, bym zauważyła jego zaskoczenie.

– Pomyśl, Minoj. Jamon nie żyje. Biorę ten teren w posiadanie, z twoim poparciem nikt mi nie podskoczy. Będziesz tu sprzedawał na zasadzie wyłączności. Otworzysz hurtownię z bronią.

– Dingochłopy wypną się na ciebie.

– Nie są mi potrzebne, mam swoich ludzi. – Skłamałam, lecz nie dałam po sobie niczego poznać. Liczyłam na to, że słyszał opowieści o Oi, więc kupi ten bajer.

Główkował nad tym przez chwilę, wertując w myślach listę ewentualnych spadkobierców Jamona. W końcu doszedł do wniosku, którego się po nim spodziewałam: poprzeć Parrish, a potem nią manipulować.

– Co mam zrobić? – spytał.

– Roześlij wieści, niech się wszyscy dowiedzą. Jamon Mondo nie żyje. Parrish Plessis przejmuje po nim schedę i ma układy z Minoj Armaments.

– Niektórzy ci się przeciwstawiają. Będziesz potrzebowała ochrony.

Uśmiechnęłam się.

– Raczej to oni będą jej potrzebować.

Odwzajemnił się obleśnym uśmiechem.

– I jeszcze jedno, Minoj. Przekażesz wiadomość Langowi. – Podejrzałam, że jest w stanie skontaktować się z nim. Który handlarz bronią odwraca się plecami do poważnego klienta, potrzebującego na gwałt sprzętu?

– Nic z tego, Parrish. Przejmowanie terenu to jedno, a zadzieranie z Langiem to zupełnie co innego. Nie przyłożę do tego ręki. – Zniżył głos. – On nie jest taki, na jakiego wygląda...

– Kapnęłam się, że chciał wykasować dane. Mam kopię wyników badań. Ma ze mną negocjować na Torleyu. Bezwzględnie. Przekaż mu to ode mnie.

Minoj westchnął.

* * *

Wykonałam jeszcze trzy rozmowy, w tym z Pasem.

– Zakończyłaś wojnę, Oja. Lud się raduje!

Prędko pohamowałam go w tym religijnym ferworze.

– Jesteś mi potrzebny, Pas. Przyprowadź ludzi na Torley.

Rozpromienił się.

– Już się robi! Zaraz wyruszamy.

– Aha, powiedz mi jeszcze, czy wieniec z piór... był skropiony kurzą krwią?

Przez chwilę milczał, jakbym go zadziwiła tym pytaniem.

– Nie, Oja. Zgodnie z tradycją wieniec maczamy w ludzkiej krwi.

W ludzkiej krwi. No to klops. Wiedziałam, że niepotrzebnie się łudzę, no i teraz złudzenia prysły.

* * *

W następnej kolejności porozmawiałam z Teece'em.

– Parrish! – Wyraźnie mu ulżyło. – Do licha, gdzieżeś wtedy tak wyleciała?

– Miałam parę spraw do załatwienia. Zrobiłeś, o co cię prosiłam? – Próbując oddychać miarowo, z niecierpliwością czekałam na odpowiedź. Czy Teece był ze mną, czy nie?

– Jasne. Znalazłem kilka sekwencji genowych. Trochę to zamotane. Zachowała się też część dziennika.

– Co napisała w dzienniku?

– Chyba nie do końca ufała kobiecie, która prowadziła badania. Kazała ją śledzić. Wychodzi na to, że dr Schaum dbała o czystość sumienia, bo odwiedzał ją regularnie pewien człowiek. Kaznodzieja.

Kaznodzieja?! Poziom adrenaliny mocno mi się podniósł, gdy ścierały się w mojej głowie różne podejrzenia. Z ledwością przewyciężyłam drzenie głosu.

– Teece, naprawdę jestem ci wdzięczna. Przynies płytkę na Torley, tylko szybko. Przejmuję schedę po Jamonie.

– Że co!?

Przerwałam rozmowę, zanim mnie zwymyślał. Odczuwałam wewnętrzny dygot, dreszcz emocji. Pasożytowi podobała się moja akcja. Ale nie wiedział wszystkiego.

Przyszedł czas na ostatnią rozmowę.

– Parrish? – Loyl wyraźnie się rozchmurzył. – Kurde, gdzie ty jesteś? Zaraz kogoś wyślę...

– Nie potrzebuję twojej ochrony, Loyl. Przejmuję rządy na Torleyu, w Shadoville i wszędzie, dokąd sięgały wpływy Jamona. Jeśli chcesz ubić ze mną interes, znajdziesz mnie tam, gdzieśmy się pierwszy raz spotkali.

Jego mina była warta sercowych rozterek, o które mnie przyprawił. No, prawie.

Odeszłam od komu i się dozbroiłam. W skrytce z bronią niewiele tego zostało. Dwa noże do rzucania, linka do garoty i prawdziwy, staroświecki luger z dwoma pudełkami amunicji.

Powiesiłam go sobie na biodrze. Czas uderzyć z grubej rury!

* * *

Bar Heina nie ucierpiał w wyniku rozruchów. Lany, właściciel, zauważył mnie już w progu. Nerwowo pomachał ręką na powitanie i podszedł do mnie niespiesznym krokiem.

– Cześć, Lany.

– Cześć, Parrish – odpowiedział lakonicznie, z nutą jakiegoś rozżalenia. Ciekawe, co go ugryzło. Jego głęboko osadzone oczy były schowane nawet w jasnym świetle dnia. Teraz widziałam tylko pręgi tuszu na rzęsach.

– Wpadłaś przelotem?

– Nie, Larry, przejmuję ten teren.

Głośno przełknąłem ślinę.

– Dingochłopy szukają zera. Riko twierdzi, że od dziś on tu rządzi. Mam przez niego kłopoty. Mondo jeszcze nie ostygł, a on urządza sobie „biuro” w moim barze.

Nie znałam za dobrze tego Rika, ale niezadowolenie Larry’ego było aż nazbyt oczywiste.

– Dawaj tequilę i podeślij mi Rika!

Usiadłam plecami do południowej ściany. Jak zwykle.

Popijając wodę, przełknęłam tabletkę i próbowałam wygrać z nerwami. Zarzuciłam szeroko sieci i modliłam się do wielkiego, porąbanego wombata, żebym w stosownej chwili mogła je wyciągnąć.

Gdzieś po godzinie smród dingochłopów wyrwał mnie z nieprzyjemnej zadumy. Jeden ruch osłoniętej szyfonem ręki Larry'ego wystarczył, by serwitorki rozbiegły się pilnować stołów. Szykowała się draka. Zaniepokojeni klienci chwytały mocniej szklanki; wiedzieli, na co się zanosi. Uciszyło się.

Zaraz za smrodem doleciało z zewnątrz wycie i do środka wparowała banda dingochłopów. Klienci przy barze usunęli się na bok. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, między mną a dingochłopami utworzyło się przejście. To mi się najbardziej podobało w Trójce: ludzie tu rozumieli reguły gry.

Od razu namierzyłam Rika: przystrojony w czerwone syntetyki, cuchnął jak padlina. Pozostali, ubrani na szaro i niebiesko, nieco się garbili, żeby szef wydawał się najwyższy. Psie zasady.

Ślina błyszczała im na klatkach jak paciorki.

Lany pochylił się nad barem, żeby rozmówić się z Rikiem.

Po chwili zakapiory obróciły swoje skudłone łby w moją stronę.

Jak do zdjęcia grupowego.

Zduślam w sobie śmiech i wstałam od stolika.

Zaraz na mnie ruszył mur śmierdzącego futra i mokrych, rozwartych pysków, słabo wykształconych w sztuce grzecznej konwersacji. Pięć ich było, bo Riko, oparty o bar, przyglądał się zabawie.

Gdy pierwszy drab przeskoczył przez stół, trzymałam noże w obu rękach. Mogłabym walić z lugera, ale chciałam, by poląła się krew – lepszy spektakl! – oraz dlatego, przyznać muszę, że łatwiej zaleczyć ranę zadaną nożem niż dziurę w głowie. Bo prawda jest taka, że wolałam oszczędzać psie życie. Miałam apetyt wyłącznie na ludzki kąsek.

Pierwszemu poharatałam bebechy, uchylając się przed zatrutymi pazurami rąk i nóg. Numer drugi siedział mi już prawie na plecach, kiedy wybiłam się w górę z półobrotom. Zderzył się z numerem trzecim. Sieknęłam ich po szyjach i uskoczyłam w bok. Pozostali dwaj zaatakowali z różnych stron, ale minęłam ich, jakby stali w miejscu, i rzuciłam się na Rika. Miałam z natury szybki refleks, który pasożyt chyba jeszcze poprawił.

Tabletka też pomagała.

Nasuwała mi się przed oczy jakaś wizja. Uświadomiłam sobie, że działa tak na mnie fetor krwi. Dlatego biegłam dalej ze wstrzymanym oddechem. O krok od Rika nabrałam powietrza w płuca, żeby rozjaśnić umysł.

Ale Riko śmignął w bok, nim wpadłam na miejsce, gdzie stał jeszcze przed sekundą. Trzasnął mnie pięścią w szczękę.

Potknęłam się i zatoczyłam, oszołomiona. Szczerzył zęby, zadowolony z siebie. Triumfował. Przy nim już stały dwa dingochłopy, które wcześniej minęłam.

– Ten teren należy do mnie, dziewczynko.

Dziewczynko! To określenie rozgrzało mnie jak pożar buszu.

Wyciągnął do mnie ręce w geście pojednania.

– Pracuj dla mnie. Będę ci płacił. Będę się tobą opiekował. Inaczej niż twój poprzedni pan.

Garota pojawiła mi się w dłoni nie wiadomo kiedy. Jednym krokiem dopadłam Rika, owinełam mu rękę linką, ścisnęłam i przecięłam skórę, jakby była z galarety. Trysnęła krew, Riko zawył. W otwartej ranie pokazała się kość nadgarstka. Ją też bym rozkroiła, ale nie chciałam pozbawiać go ręki.

– O ty suko! – wrzasnął. I się rozryczał.

Dingochłopy cisnęły się do niego, zatykały ranę i współczująco lizały go po twarzy... choć podejrzewałam, że pragnęły też zakosztować krwi. Wyniosły go na dwór. Gdyby szybko nie znalazły lekarza, mógł się wykrwawić na śmierć.

Kątem oka dostrzegłam Lany'ego, który zaganiał maluchy do sprzątnięcia. Nie przepadał za widokiem krwi. Za dziesięć minut knajpa powinna wyglądać tak, jakby nie odbyła się w niej nigdy żadna burda. Oto zaleta prowadzenia baru, który można myć szlauchem.

Przyjrzałam się milczącym klientom: czasem skulonym i przestraszonym, czasem ubawionym ponurym spektaklem.

Wszyscy jednak uważnie śledzili przebieg wydarzeń.

Napięłam linkę między rękami i ogłosiłam gromkim, ochrypłym głosem:

– Przejmuję teren Jamona Monda. Na wszelkie roszczenia odpowiem osobiście. Lany Hein rozgłosi nowe prawa i będzie moim agentem. Powtórzcie to wszystkim.

Niektórzy bili brawo, inni wydawali się struci. Czuję skrywaną satysfakcję Larry'ego. Ostrzegł mnie przed Rikiem i wiedział, że o tym nie zapomnę. Poza tym, potrzebowałam sprzymierzeńców.

Parrish Plessis, wojowniczką XXI wieku! Kurna chata...

* * *

Czekałam u siebie na wiadomość od Larry'ego. Szarpały mną dreszcze – skutek strachu, który ścisnął mnie w dołku, zejścia po speedzie i obzarstwa pasożyta. Naderżnięcie ręki Rika przyprawiało mnie o mdłości, pasożyta zaś doprowadzało do ekstazy. Wszystko to razem wzięte nie pozwalało mi się uspokoić.

Gnębiły mnie myśli o tym, co mogą przynieść najbliższe godziny. Sporo rzeczy musiało się zgrać w czasie, a ja na to zgranie, cholera, nie miałam najmniejszego wpływu!

Lang z pewnością przyjdzie – zechce odebrać mi kopię wyników badań, które z takim zacięciem usiłował zniszczyć.

Ale jak go rozpoznać? Umiał zmieniać wygląd, więc był niezwykle groźny.

Daac również przyjdzie. Chciał się na mnie wyładować i martwił się, co zrobię z jego tablicą genealogiczną.

Muenowie na czele z Pasem przyjdą, bo byłam dla nich Oją.

Teece przyjdzie, bo mnie kochał. Biedaczysko.

* * *

Drzemałam na łóżku i z drzeniem słuchałam, jak Trójka budzi się do życia. Nadal gdzieś rozlegały się strzały, lecz przeważały krzyki pijanych mieszkańców, świętujących zbawienny koniec wojny.

Raz czy dwa nachodziła mnie wizja anioła, którą odpędzałam, oddychając wolno, medytacyjnie. Przypłaciłam to potwornym bólem głowy.

Żeby zająć czymś myśli, połączyłam się z Infonetem i zaczęłam czytać, co tylko się dało o nadnerczach. Gdzie się znajdowały, jak działały...

* * *

Lany zadzwonił przed północą.

– Parrish, niejaki Daac przyszedł, żeby się z tobą spotkać.

Przyprowadził ze sobą pół armii. Klienci mi się denerwują.

– Idę, Larry.

Stałam przed Merry 3 i przypatrywałam jej się dłuższą chwilę. Żałowałam, że nie możemy zamienić się miejscami.

Połknęłam ostatnią tabletkę.

* * *

Bar Heina śmierdział surowcem rybnym. Klienci Torleya stali ramię w ramię z trzydziestoma – co najmniej – ludźmi Daaca. Mogłam ich łatwo namierzyć w tłumie. Wyróżniali się ponurym, wygłodniałym spojrzeniem, jakby chcieli, żeby wojna się nigdy nie skończyła.

Kiedy weszłam do środka, gwar rozmów wcale się nie uciszył, lecz jak poprzednim razem, otworzyło się przejście przede mną. Wyglądało na to, że z anonimowym życiem rozstałam się równie szybko, jak z namiętymi uczuciami do Loyl-me-Daaca.

No i proszę, oto on: w łapie drink, twarz isticie czartowska.

Koło niego Stolowski, blady i nerwowy. Po drugiej stronie, co mnie od razu wkurzyło, Anna

Schaum.

Zatrzymując się dwa kroki od nich, czułam się pod ostrzałem.

– Witaj Loyl, witaj Stolowski. Ona co tu robi? – Kiwnęłam głową na Annę.

– Chciała przyjść, więc przyszła.

– Żeby obejrzeć króliki doświadczalne w naturalnym środowisku? – Zmierzyłam ją od stóp do głów lekceważącym wzrokiem. Wydawała się dziwnie zmieniona. Podejrzana sprawa. Podkreśliłam wędki, ale przeszkadzała mi woń alkoholu i spoconych ciał.

Daac położył jej rękę na ramieniu opiekuńczym gestem.

– Ze mną będzie bezpieczniejsza.

Nie bardzo w to wierzyłam, lecz nie chciałam – na razie – pozbawiać go złudzeń.

– Gdzie możemy porozmawiać w cztery oczy, Parrish?

– Porozmawiajmy tutaj. – Stałam w lekkim rozkroku, z ręką na lugerze.

Przemknął mu po twarzy wyraz zdenerwowania. Publicznie zmuszałam go do odkrycia kart, czego się nie spodziewał. Rozejrzał się z niewyraźną miną, decydując, jak daleko może się posunąć.

Muenowie się nie pojawili. Część klientów Heina mogła mnie wesprzeć w razie awantury, ale nie wszyscy. Miałam nadzieję, że nie będę musiała się przekonać, jak duża część.

– Jamon Mondo nie żyje. Przejmuję jego teren.

– Mondo ukradł mi pewne informacje. Chcę je odzyskać.

Pokręciłam głową.

– Traktuję je jak gwarancję bezpieczeństwa. U mnie nie zginą. A ty nie będziesz wchodził mi w drogę.

– Należą do mojej rodziny.

– Wspólnota też ich szuka – stwierdziłam spokojnie.

Zamurowało go.

– Co wiesz o Wspólnocie?

– Ona blefuje, Loyl. – Dziewczęcy głos skierował moją uwagę na stojącą przy nim szczupłą kobietę. Była wyjątkowo opanowana, jak na naukowca, który znalazł się w jednej klatce z królikami doświadczalnymi. – Czy ona w ogóle ma to, czym się tak chwali? Niech udowodni!

Daac wolno pokiwał głową.

– Mogę w kilka sekund spacyfikować tę budę, Parrish – powiedział. – Daj mi powód, bym tego nie robił.

Postąpiłam dwa kroki do przodu. Mogłabym go już prawie dotknąć. Nawet bym chciała.

– Co powiesz na armię Muenów? – Pas, gdzie jesteś? – Zabdałam o to, że jeśli mnie tkniesz, wyginą wszyscy, których wpisałeś w drzewa genealogiczne.

– Czego chcesz? – warknął półszepem.

Na zewnątrz rozległy się krzyki.

– Muenowie! – powtarzano w barze z przestrachem. Ze dwunastu wdarło się do środka; mieli bojowo zaplecione włosy i noże na wierzchu. Szukałam wzrokiem Pasa, bojąc się, że zrobi zadymę lub, co gorsza, padnie przede mną na twarz.

Nie doceniałam jego przezorności. Muenowie tylko ustawili się przed drzwiami, blokując drogę ucieczki.

W barze panowało napięcie jak przy rozpedzonej ruletce.

Ludzie wirowali mi przed oczami, krew pulsowała w skroniach z siłą heavymetalowego łomotu. Jeden nieprzemyślany ruch i wszyscy wylądujemy w piekle. Chyba że już tam byliśmy...

– Przerwij eksperymenty, Loyl – powiedziałam. – Są niebezpieczne dla ludzi.

Spoglądał to na mnie, to na Muenów, szacując stopień ryzyka.

– O czym ty gadasz?

Zniżyłam głos:

– Efekty uboczne, o których mówiłeś, są bardzo charakterystyczne. Uwolniłeś coś w ludziach. Pasożyta, który przekształca organizm człowieka.

– A co ty możesz wiedzieć o organizmie człowieka? – prychnęła wzgardliwie Anna Schaum.

– Nie muszę mieć rozległej wiedzy, bo widziałam dowody. Tak się składa, Loyl, że uratowałam pliki Razz. Wiedziała, kto ich potrzebuje i dlaczego. Przez to nie żyje.

Potworna wymowa tego kłamstwa sprawiła, że zebrało mi się na halucynacje. O nie, tylko nie teraz...

Jednak w tym momencie Anna rzuciła się na mnie z niewiarygodną szybkością. Gdzieś w głębi duszy czekałam, aż to zrobi. Od chwili gdy zidentyfikowałam jej specyficzny zapach.

Strzeliłam do niej z najbliższej odległości. Trafiłam mniej więcej w to miejsce, gdzie powinny się gnieździć nadnercza.

Zwaliła się na ziemię w przedśmiertnych drgawkach.

Patrzyłam na nią tylko siłą woli, sparaliżowana strachem, że popełniłam jakąś okropną, przeokropną zbrodnię. Proszę, proszę, niech to nie będzie błąd...

Naokoło błyskały uniesione noże i pistolety.

Na szczęście, gdy drgawki ustały, zmienił się jej wygląd.

Zamiast naukowca, którego Daac tak cenił, leżał przede mną martwy Lang, podobnie jak Jamon kilka godzin temu.

Napięcie w barze zelzało, ludzie musieli się zmierzyć z ponurą rzeczywistością. Zmieniacze wyglądu. Nieludzie. A więc wszystkie te plotki... opowieści... są prawdziwe...

Tym razem nie mogłam się opanować. Zabiłam kogoś...

Coś! Odwróciłam się i wyrzygałam chyba nie tylko całą zawartość żołądka, ale i sam żołądek.

Wojownicza, dobre sobie!

– Parrish.

Kręciło mi się w głowie, gdy mętym wzrokiem popatrzyłam na Loyla. Nie dostrzegłam w nim współczucia, jedynie złość i zdumienie.

– Skąd wiedziałaś?

Wyprostowałam się.

– Z dziennika Razz. Kazała obserwować z ukrycia rezydencję Anny. Nie miałaś pojęcia, że odwiedza ją regularnie pewien typek, kaznodzieja. Domyśliłam się, że to Lang. Popęnił jeden błąd: identyczny wygląd przybrał w mojej obecności.

– Wiedziałaś, że potrafi zmieniać wygląd?

Jego elektryczna ręka drgnęła konwulsyjnie, jakby chciał mnie udusić, ale ja rąbałam mu całą prawdę:

– Dlatego musisz przerwać badania. W ludziach wyzwoliła się jakaś paskuda, z którą nie radzą sobie szamani. Ani oni, ani Wspólnota.

Bezsukutecznie szukałam w jego twarzy świadomości zagrożenia: coś sobie kombinował na chłodno. Zastanawiał się, jak wykorzystać nową wiedzę, jak wkalkulować ją w swoje szalone plany.

Tym bardziej chciałam go przystopować.

– Gdzie Anna? – W jego słowa wkradła się nuta zakłopotania.

Odwrociłam wzrok. Co mu powiedzieć? Zresztą, pal to sześć! To Daaca problem, jak długo Lang podszywał się pod Annę.

– Ostro pogrywasz, Parrish.

– Rzuciłam przynętę. Spodziewałam się go, tylko nie wiedziałam, pod kogo się będzie podszywał.

Nie powiedziałam Loylowi, że poznałam Langa po zapachu. I dzięki instynktowi, który pozwala jednemu pasożytowi rozpoznać drugiego w ludzkim nosicielu. Nie zamierzałam też tłumaczyć, jak podobni są do nas Eskaalimi. Że lubią dominować, walczyć i że tępią się nawzajem, byle dojść do celu.

– Pomyliłem się co do ciebie – przyznał cicho. – Jesteś ambitna i niebezpieczna. Ale w końcu dasz mi to, czego chcę.

– No to się znowu pomyliłeś.

Bez słowa odwrócił się do mnie plecami, zabrał ludzi i wyszedł.

* * *

U Heina zrobiło się nagle przeraźliwie pusto. Powiedziałam Larry'emu, żeby dał jeść

Muenom i dopisał to do mojego rachunku. Potem podziękowałam Pasowi, który uklonił się i wymamrotał coś nabożnym tonem. Zadawałam się z nim, bo wiedziałam, że w razie potrzeby przyjdzie mi z pomocą.

Poklepałam go więc nieporadnie po ramieniu i zapewniłam, że jeśli będzie dokarmiał bezdomne dzieci, ja postaram się, by zajął miejsce Topaza.

Ponownie się uklonił i poszedł coś przekąsić.

Niektórzy klienci baru podchodzili, żeby trójkowym zwyczajem uścisnąć mi dłoń. Inni gapili się na mnie z bliska.

Widać chcieli mnie sobie dobrze zapamiętać.

Znosiłam to, jak długo mogłam, aż w chwili, gdy już myślałam, że zemdleję i gębnię się na podłogę, moje modły zostały wysłuchane.

– Parrish? Co u... ?

– Teece! – ucieszyłam się.

Podbiegł do mnie zmęczony i umorusany, ale chyba ogólnie – taką miałam nadzieję – w lepszej kondycji niż moja.

– Co z Mondem?

– Nie żyje. Lang też. – Wskazałam ciało, które skrzętnie wynosiły serwitorki Larry’ego. – Spóźniłeś się na przedstawienie.

Splunął.

– Płakać po nim nie będę! Przyszedłbym wcześniej, ale wokół mnie trochę się kotłowało. Wszędzie latają szpiegusy, robią programy na żywo. Pełno cię we Wspólnej – dodał z głupią miną. – Jak siedzisz na karku Jamonowi. Jak zmuszasz go do złożenia broni.

Zauważyłam krew na jego rękach.

– Jesteś ranny?

– Tak, ale walki ustały. Każdy nawija o Oi. Mówi się, że uratowała Trójkę, choć tak naprawdę ty to zrobiłaś. – Zaśmiał się. – Najwyższy czas, żeby zjawił się u nas jakiś zbawiciel.

Padalam ze zmęczenia, inaczej wytłumaczyłabym mu, że Oja i ja to jedna i ta sama osoba. Pozwoliłam się zaprowadzić na krzesło dotykowe. Życie u Heina zaczynało się toczyć zwykłym rytmem. Mieszkańcy Trójki patrzyli już w przyszłość, lecz o pewnych rzeczach szybko nie zapomną.

Ktoś wsunął mi szklankę do ręki.

– Dokąd się teraz wybierasz? – Teece czule objął mnie ramieniem. – Fatalnie wyglądasz.

Parsknęłam śmiechem.

– Idę z tobą.

Żeby zobaczyć na jego twarzy taką radochę i zaskoczenie, warto było tydzień niedosypiać. Może przy odrobinie szczęścia zapomni, że wiszę mu motocykl i nowy kask? Co prawda, zbytnio

na to nie liczyłam.

Nie kochałam go, ale zaskarbił sobie mój szacunek. I zaufanie. Czasem to ma o wiele większe znaczenie.

* * *

Kiedy odzyskałam siły, nadal miałam na głowie kupę spraw do załatwienia. Na przykład poprawienie swojego wizerunku medialnego. Musiałam przekonać świat, że to nie ja zabiłam Razz Retribution.

Musiałam również zobaczyć się z dziewczynką bez rąk, podziękować armii Muenów i bezdomnych sierot, a ponadto złożyć obiecaną wizytę Gwynnowi i uwolnić go od Trunka.

Sporo także myślałam o Wspólnocie. Czy zrobiłam to, czego ode mnie żądali, jeśli Loyl nie zaprzestał swoich eksperymentów? Nie wiem.

Daac załazł mi za skórę. Cały czas kłamał jak najęty. Nadal debatowałam, jak go traktować. Przede wszystkim musiałam zdobyć komplet wyników badań. Dziś coś sobie uświadomiłam: Lang, którego uważałam za głównego aktora, okazał się podrzędnym aktorzyną, tak samo jak Jamon. Mój prawdziwy wróg ciągle na mnie czyhał w półmroku. Poza tym, tylko w ten sposób mogłam odwrócić genetyczne zmiany, jakie we mnie zaszły.

Może była dla mnie jakaś nadzieja? Może była dla nas wszystkich? A może tylko odwlekałam w czasie to, co nieuniknione? Póki Eskaalim miksował we mnie koktajle z hormonów, moja wewnętrzna wojna toczyła się w najlepsze. Choć nie wiedziałam, czy wygram, nie zamierzałam składać broni.

Nie uciekałam już, ale polowałam.

– Teece, muszę się przewietrzyć.

Zrozumiał. Pokiwał głową i ruszył do baru.

– Poszukam cię później.

Wysączyłam drink i wyszłam na dwór. Torley rozbrzmiewał zwykłym gwarem tętniącego życia. Koił zszargane nerwy lepiej niż garść valium. Chciałam trochę pobyć sama. Zabiłam człowieka i rozstrzygnęłam spór między gangami. Jak na jeden dzień, to aż nadto.

W połowie drogi do najbliższej przecznicy klapnęłam na wyszczerbionych schodach. Kiedy oparłam się wygodnie, oczy zamknęły się samowolnie, a zmęczenie przyćmiło umysł. Chociaż popękany plastobeton wżynał mi się w plecy, zasnąłam na chwilę (może nawet na długo), póki ktoś nie obudził mnie szarpnięciem.

– Parrish Plessis?

Otworzyłam oczy i zaraz otrzeźwiałam. No, nareszcie!

Szybkim ruchem wyciągnęłam pistolet z kabury i świsnęłam w powietrzu linką do garoty,

lecz czymś takim nie wyrządziłabym krzywdy interrogatorowi, który przykucnął dwa kroki ode mnie.

Po chwili dłużej jak diabli wysunął peryskopowe soczewki, aż mu je ochuchałam z bliska. Wlepiłam wzrok prosto w źrenicę i za jej pośrednictwem, jak sądziłam, w twarz dziennikarza.

Ciągnęłam już ostatkiem sił i wiedziałam, że na zgrywaniu obrażonej daleko nie zajadę. Miałam ochotę krzyknąć: „Żywej mnie nie weźmiecie!”. Na szczęście ugryzłam się w język i zebrałam w sobie resztki godności.

– No co? – Butne słowa szły w parze z miną.

Z boku soczewek wysunęło się mniejsze ramię. Miniaturowa słuchawka sunęła jak wąż w moją stronę. Znieruchomiałam i pozwoliłam jej wpełznąć do ucha. Perspektywa aresztowania, pokazywanego na żywo w telewizji, nagle się oddaliła. Gdyby chciał mnie zabić lub pojmać, nie cackałby się tak długo.

Miałam wrażenie, że pragnie mi coś powiedzieć. Jak wszyscy. Westchnęłam.

Zatrzeszczało mi w uchu, nim odezwał się dziennikarz siedzący w helikopterze:

– Parrish Plessis, mam dla pani osobiste zlecenie.

Podziękowania

Debiutancka książka to niełatwa sprawa, wymagająca wsparcia wielu osób. Czy pisarz doprowadziłby swoje dzieło do końca, kierując się tylko instynktem, niepewny jego przyjęcia?

A zatem swoje najserdeczniejsze podziękowania należą się moim pomocnikom:

Lindzie Curtin, która to wszystko zapoczątkowała. (Tak, Linnie, odpowiedzialność spada na ciebie!).

Robyn i Kerry'emu Smithom za pierwsze czytanie powieści, kiedy Parrish była jeszcze Loretta.

RORetkom: Maxine McArthur za anielską cierpliwość, Rowenie Lindquist za Scallywags, Trent Jamieson za pocieszające e-maile, Tansy Rayner Roberts za urodę oraz Margo Lanagan za niezwykle umiejętności rozpalania ognia.

Lyn Uhlmann, Adriannę Fitzpatrick, Lu Cairncross.

Kath Holliday za „charakterek” i długą podróż po butelkę „Bolly’ego”.

The Vision Writers Group z Brisbane za to, że niosą pochodnię literatury fantastycznej – w szczególności Kate Eltham i Grace Dugan.

Dr Ros Petelin za naukę o doskonałości (ciągle się uczę, Ros!).

Peterowi Bishopowi z Maruna Writers Centre w Nowej Południowej Walii, za to, że znalazł mnie w korcu maku.

Tarze Wynne, mojej agentce, z którą współpraca jest dla mnie przyjemnością i która nie bała się zaryzykować.

Benowi Sharpe'owi, mojemu niesamowitemu wydawcy, za wypuszczenie Parrish na szerokie wody.

Rosę, Nicei i Lornie – bohaterkom z prawdziwego świata.

Całej mojej rodzinie, de Courtenayom i de Pierresom, zwłaszcza chere frere Paulowi i moim chłopcom.

No i oczywiście Nickowi, który jest najjaśniejszym światłem i miłością mojego życia.